
MIESIĘCZNIK
7(58) LIPIEC 1987 CENA 100 ZŁ
Fantastyka
PL ISSN 0209-1631
NR INDEKSU 35839
Siudmak III
JONATHAN CARROLL
Nowa powieść:
Kraina Chichów

Siudmak III





Kto uważnie śledzi nasze sondaże na temat odbioru „Fantastyki", nie może nie dostrzegać jakże charakterystycznego dla naszej epoki rozbicia głosów i poglądów. Każda sprawa, każdy utwór, poddany opinii Czytelników, bywa niezwykle różnorodnie oceniany. Nawet rzeczy, które tradycja i krytyka współczesna czy to uznała za wybitne, czy też odsądziła od czci i wiary, podlegają tym sprzecznym, wysoce zindywidualizowanym osądom. Cóż, widać każdy sobie rzepkę skrobie.

Nic się nie cieszy ogromnym powodzeniem. Jednym podoba się to, co inni ganią, drudzy wybrzydzają na to, co przez jeszcze innych uważane bywa za piękne. Nie żyję krótko na tym świecie, ale takiego rozstrzelenia, takiego rozrzutu gustów, jak to się modnie dziś powiada, jeszcze nigdy nie było. Przykładów nie daję, gdyż znacie je Państwo doskonale. Zresztą przykładem mógłby stać się każdy utwór, zamieszczony na naszych łamach. Nie ma bowiem rzeczy, które spotykałyby się z całkowitą aprobatą, to znaczy z aprobatą wszystkich albo z dezaprobatą wszystkich.

Dlaczego się tak dzieje, skąd się bierze to zjawisko, obserwowane zresztą nie tylko w naszym, skromnym piśmie, lecz dostrzegane powszechnie w środkach masowego przekazu? Nie ulega wątpliwości, że wiąże się ono właśnie z masowością zjawisk kulturowych. Po prostu środki masowego przekazu są w stanie publikować taką liczbę utworów, że... każda potwora znajdzie swego amatora. Sądzę jednakże, iż zjawisko coraz to większego różnicowania gustów i opinii ma także swoje głębsze podłoże.

Masowość środków przekazu trafia po raz pierwszy w naszej epoce na tak masowego odbiorcę i to odbiorcę znacznie lepiej – mimo że psioczy się nieraz na ogólny stan wiedzy czy upodobań – przygotowanego do percypowania utworów, to znaczy wiedzącego czego chce lub czego chciałby. W tym sensie współczesna krytyka czy się jej to podoba, czy nie, odgrywa coraz to mniejszą rolę. I rzecz zastanawiająca: dawniej recenzja służyła nie przygotowanym odbiorcom jako cenna porada, była czymś niezbędnym, czymś bez

...3...2...1...



czego trudno było się zorientować w kształtowaniu własnego stosunku do dzieła. Dziś krytycy i recenzenci piszą raczej sobie, swoim kolegom i muzom niż szerokim rzeszom odbiorców.

Cytowaliśmy już nieraz na łamach sąsiedniej rubryki listy Czytelników, odżegnujące się od czytelnictwa recenzji, osądzające obecność utworów krytycznych negatywnie. Twierdzenia, że zajmują one tylko miejsce możliwe do wykorzystania dla zbożniejszych celów nie należą do odosobnionych. Wobec tej samowiedzy i samowoli wielu dyletantów-odbiorców, coraz mniejszą rolę odgrywać musi profesjonalizm, fachowość ocen. W powszechnym odczuciu czysto zawodowe kwalifikacje nie są już konieczne w procesach twórczych.

Na pytanie, czy to dobrze czy źle – można wskazać jedynie jako przykład – poziom zarówno literacki, jak i muzyczny piosenki w środkach masowego przekazu, albo wymienić książki i filmy, które się na ogół najbardziej podobają. Jeżeli rozrzut opinii da się uznać za wyraz ugruntowywania się indywidualnych osądów na zjawiska otaczające współczesnego odbiorcę sztuki (w szerokim tego słowa znaczeniu), wyraz awansu kulturowego jednostek, które same sobie sterem i okrętem, to jednocześnie nie można uniknąć przykrego wrażenia, że awans ten zmienia zasadniczo skalę dotychczasowych wartości etycznych i estetycznych i że nie jest to najczęściej ruch wzwyż.

Cóż, człowiek współczesny, żyjący w wielkich skupiskach, narażony z tego powodu na ciągłe mniejsze lub większe konflikty – odosobnia się, indywidualizuje. Jest to zarazem ucieczka od tłumu i odkrywanie własnej odrębności. Zapadanie się w samotność, lecz także i coraz bardziej świadome działanie zgodne z tą własną jednostkową odrębnością.

Po prostu odkrywa się w jednakowym tłumie własne odrębne cechy. Nie mam tutaj absolutnie zamiaru zajmowania jakiegoś bardzo osobistego stanowiska dla oceny tego stanu rzeczy, który obserwuję dookoła, zresztą nie tylko ja sam. Z grubsza tylko określiłem zjawiska tego niektóre plusy i jednocześnie minusy.

Pragnę natomiast, aby ci, co zajmują się zawodowo sprawami publikacji różnego rodzaju utworów, dostrzegali w ogóle zjawisko, o którym mowa, zjawisko w gruncie rzeczy nowe. W każdym razie dające coraz bardziej znać o sobie. I żeby to *novum* poczęli uwzględniać w swojej pracy. W swojej chęci przekazywania, organizowania współczesnej przeogromnej widowni, trafiania z właściwymi dziełami do właściwych ludzi. Staje się to coraz trudniejsze. Nawet w tak zmasowanych środkach przekazu jak telewizja, która przecież także cierpi na pewne ograniczenia. Człowiek z natury i tradycji mniej lub bardziej ściśle obserwuje pory różnorodnych swoich czynności. Telewizja, żeby zadowolić współczesnego widza musiałaby więc w tych samych godzinach największego szczytu widowni publikować najbardziej zróżnicowane w treści i formie dzieła. Nie jest tego robić w stanie, publikuje wobec tego najczęściej jedno dzieło... nie najwyższych lotów, do powierzchownego przyjęcia przez wszystkich. Oto przykład *pars pro toto* współczesnych kłopotów estetycznych i także etycznych w dziedzinie sztuki.

Rzecz do wnikliwej dyskusji nie tylko w gronie profesjonałów, lecz i szerokich rzesz odbiorców telewizji, wideo, filmów, a także naszej „Fantastyki".

10–9–8–7–6–5–4–3–2–1–0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI **Fantastyka**

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA,
ul. Mokotowska 5/6

Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nacz., sekretariat, działy: zagr., krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.
Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski, (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziemkiewicz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-35-36. Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Oddano do składu 26 lutego 1987 r. Druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 3066
Nakład 150 000 egz.

NR INDEKSU 35839 PL ISSN 0209-1631 Oddano do składu 28 kwietnia 1987 r.

LĄDOWANIE LIII

Dzisiaj kolej na listy wymagające wyjaśnień redakcji, a więc mego bezpośredniego w korespondencji udziału, którego często unikam jak ognia. Nie dlatego jednak, abym nie chciał, czy nie był w stanie, dawać wyczerpujących wyjaśnień czy odpowiedzi, lecz przede wszystkim dlatego, iż rubrykę tę traktuję jako możliwość dyskusji między Czytelnikami i tak się staram ją redagować. Ale chcecie Państwo mego udziału, no to będziecie go mieć.

Konkurs – grzech redakcji?

...Styczeń 85. Powodowany naiwnym wyobrażeniem, że miesięcznik literacki jest między innymi do tego, by młody pisarz mógł wysłać do jego redakcji próbę literacką i otrzymać jakąś jej ocenę, wysłałem do Was opowiadanie. Miało tytuł „Śmiech to zdrowie", podpisane było pseudonimem Krzysztof Brag, z podaniem prawdziwego imienia i nazwiska oraz adresu. Minęły dwa lata i dwa miesiące. Nie ma żadnej reakcji z Waszej strony. Na wyraźną już Waszą zachętę (II konkurs „Fantastyki"), w sierpniu 1985, wysłałem do Was trzy opowiadania („Czas spokoju", „Banalny erotyk w gatunku SF", „Szalone piękno"). Od tego czasu minął rok i trzy miesiące. Tym razem dotyczy nie tylko mnie, ale i setek innych młodych ludzi. Kiedy dowiemy się czegoś o sobie? Może to i drobiazg, ale podobnie potraktowano mnie i w innym czasopiśmie. I nie podziałało to na mnie dobrze. Dlatego, że nie lubię kpin i lekceważenia. Zarówno mnie, jak i Waszych obowiązków. A jak inaczej mam odczytać Wasze przechwałki o promocji młodych pisarzy? Kpicie?...

Krzysztof Brag

No, dość tej szarży i wymyślania nam nowych obowiązków, do których należy rzekomo jakieś poradnictwo literackie dla młodych, czy prowadzenie szkółki. Świadectwem prawdziwej promocji młodych pisarzy, czy się to podoba czy nie, jest publikacja po pierwszym konkursie literackim 19 utworów nowych młodych pisarzy i książka „Trzecia brama", opublikowana przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie i na pniu rozkupiona! To znaczy, że orientujemy się niezgorzej jakich młodych pisarzy należy promować, na kogo warto stawiać! Natomiast nigdzie nie zobowiązywaliśmy się do prowadzenia za rączkę tych, którzy za pisarzy chcą się uważać, nie wykazując po temu większych czy nawet najmniejszych możliwości. A nadesłanych i nie zamówionych tekstów nie zwracamy ani nie komentujemy.

Jeśli chodzi o wyniki nowego konkursu, to jeszcze przed ich ogłoszeniem, od kilku już miesięcy, drukujemy ciekawsze, nadające się do publikacji na naszych łamach prace. Konkurs został obesłany przez setki autorów, stąd opóźnienie (jeśli to w ogóle opóźnienie) w publikacji wyników. Każdy z członków jury musi się zapoznać z wszystkimi utworami. Podchodzimy do swych obowiązków rzetelnie i uczciwie, tak aby nawet iskierki prawdziwego talentu autorów (przeważnie młodych) nie przegapić. Z ostatecznymi wynikami tej niełatwej pracy wkrótce zapoznamy uczestników konkursu, ogłaszając – zaraz potem – nową fazę tego konkursu, jako że ten nasz konkurs jest nieustający. Żadne próby nacisku nie wywrą na nas wrażenia i nie odmienią naszych opinii.

Więcej czytać

Mam 17 lat i często czytam wasze pismo. Bardzo podoba mi się pomysł zamieszczania poezji w „Fantastyce". Przesyłam kilka moich wierszy: „Mówicie że Bóg jest silny i wieczny/ Że świat i wy jest bezpieczny/ Nic bardziej zgubnego!/ Spójrzcie uważniej na niego!/ Zajrzyjcie w Jego oczy!/ Czy widzicie jak się boją?

***Jarosław Wys** z Radomia*

Trzeba jednak więcej poezji czytać. Nie tylko tej co w „Fantastyce". I pilnie śledzić lekcje gramatyki w szkole, żeby to co się pisze zabrzmiało poprawniej niż na przykład zdanie „Że świat i wy jest bezpieczny". I aby nie używać częstochowskich rymów w rodzaju „wieczny – bezpieczny", „brzmieniem – cieniem". Pisanie jest trudną sztuką, szczególnie pisanie wierszy.

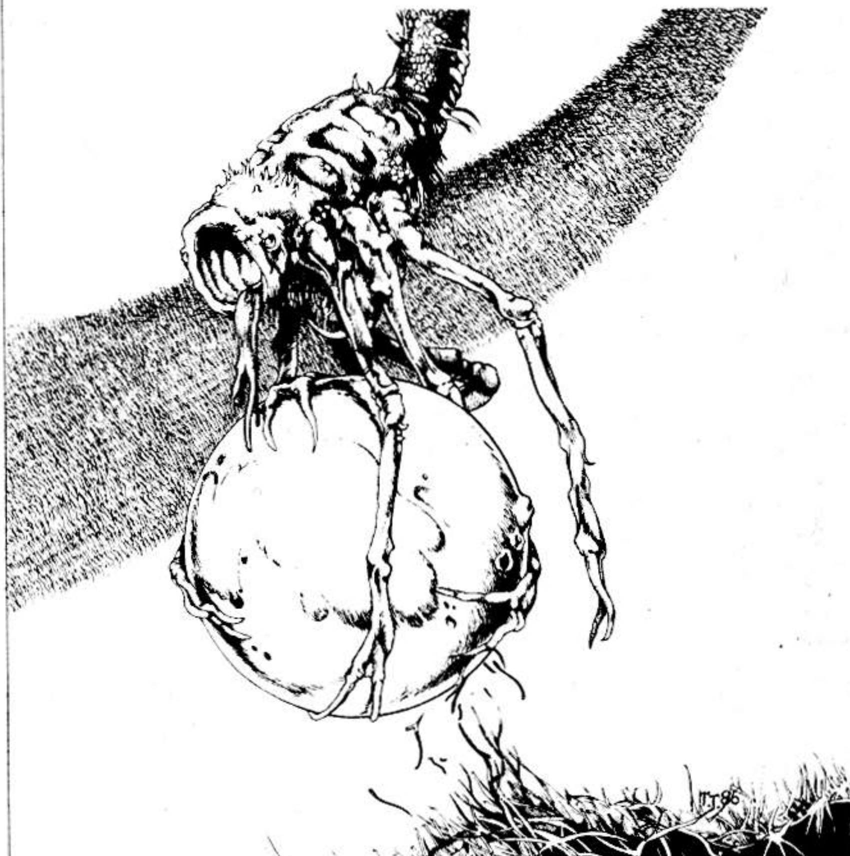
Zostawcie sondaże dla GUS-u

...Fantastyką zainteresowałem się dzięki Waszemu pismu, ale były wtedy po temu sprzyjające okoliczności. Ożeniłem się. Przed tym faktem interesowało mnie wszystko co dotyczy życia realnego i możliwości jego przeżywania. Czytywałem książki, które pomagały mi zagłębić i pogłębić siebie samego. Ale odkąd się ożeniłem, proza życia dała mi się tak mocno we znaki, że po raz pierwszy zwróciłem uwagę na... gwiazdy. Ale do rzeczy: przeczytałem wyniki ANKIETY i wiem, że błądzicie. Zostawcie sondaże dla GUS-u, Wy sami, jako zawodowcy SF poszukujcie i proponujcie, i nie pytajcie czy dobrze robicie. Wcale nie szukajcie jakichś rozwiązań u nas, u Czytelników. Nie kokietujcie nas i nie podniecajcie pochwalnymi listami. Kogo pragniecie zadowolić? Wszystkich? Dobrze wiecie, że to niemożliwe. Oczywiście czasopismo, aby żyło, rozwijało się, potrzebuje trochę zmian. Wy sami jednak powinniście rozstrzygać jakich. Bo Wy to prowadzicie. Nie pytajcie, bo otrzymacie same „czeskie odpowiedzi". Więcej inicjatywy! Nie bójcie się swoich postanowień, swoich koncepcji. Zostawcie w spokoju wszelkie procenty. Nie są wiele warte, nawet jako ciekawostki. Wierzę w Wasz gust.

***Ireneusz Lorenc** z Luksemburga*

Po raz pierwszy spotkaliśmy się z takim stosunkiem do naszych sondaży i ankiet. Czytelnik uważa, że zupełnie nie potrzeba nam czytelniczych porad i że powinniśmy się kierować wyłącznie własnym gustem. Coś w tym na pewno jest. I nasze postępowanie ma istotnie charakter własnych, wyważonych decyzji. Ale w tym wyważaniu własnych sądów odgrywa i zdaje się, że powinno odgrywać pewną rolę także to, co Czytelnicy o naszym piśmie myślą i co proponują. Nie popiekliśmy się nigdy na korzystaniu z dobrych, czytelniczych rad. Panu Lorencowi dziękuję w imieniu kolegów i swoim własnym za wyrazy uznania dla naszych możliwości.

Redaktor



Tomasz Tomaszewski

Robert Sheckley

skazaniec

I

Detringer został wygnany ze swojej ojczystej planety Ferlang za „akty szczególnego chamstwa" – bezczelnie wysysał z zębów resztki jedzenia podczas medytacji rekreacyjnej, a kiedy Wielki Okręgowy Ubikwitor raczył na niego splunąć, machnął ogonem w kierunku niezgodnym z ruchem wskazówek zegara.

Normalnie takie impertynencje nie kosztowałyby go więcej niż kilkadziesiąt lat całkowitego ostracyzmu, ale Detringer pogorszył swoją sytuację przez świadome nieposłuszeństwo podczas konwentyklu Bożejpamięci, kiedy to z całym uporem głośno wspominał swoje niesmaczne wyczyny seksualne.

Jego ostanie przestępstwo nie miało precedensu we współczesnej historii Ferlang: pozwolił sobie na jawny gwałt wobec pewnego Ukanistra dopuszczając się tym samym pierwszego od czasów prymitywnej ery Gier Śmiertelnych aktu otwartej agresji Publicznej.

Ten ostatni odrażający czyn, w wyniku którego Ukanister poniósł nieznaczny wprawdzie szwank na ciele, ale za to poważny na duchu, sprawił, że zastosowano do Detringera najwyższy wymiar kary – wieczne wygnanie.

Ferlang jest – licząc od jej słońca – czwartą planetą w piętnastoplanetowym układzie położonym prawie na skraju galaktyki. Detringera wywieziono statkiem głęboko w próżnię kosmiczną, pomiędzy galaktyki, i pozostawiono w maleńkim sportolocie bez zapasu paliwa. Ochotniczo towarzyszył mu jego wierny mechaniczny sługa Ichor.

Żony Detringera – wesoła, roztrzepana Maruskaa, wysoka, poważna Gwenkifer i kłapoucha, nieokiełznana Uu – wszystkie rozwiodły się z nim w uroczystym akcie dozgonnego obrzydzenia. Ósemka jego dzieci dokonała obrzędu odtrącenia rodzicielskiego, chociaż słyszano, jak Deranie, najmłodszy, mamrotał już później pod nosem: „Mnie tam wszystko jedno, tato, coś ty zrobił, ja cię i tak kocham".

Ale Detringer nie miał oczywiście zaznać pociechy, jaką byłaby świadomość tego ostatniego. Rzucony w bezmiar oceanu przestrzeni kosmicznej maleńki stateczek o zbyt słabym systemie zasilania nieuchronnie musiał odmówić posłuszeństwa. Detringer cierpiał głód, zimno, pragnienie i nieustanny pulsujący ból głowy wynikający z niedotlenienia, ponieważ dobrowolnie przeszedł na oszczędnościowe racje tlenu. Dokoła siebie miał bezkresną martwotę kosmosu urozmaiconą jedynie bezlitosnym blaskiem odległych gwiazd. Wyłączył całkowicie silniki sportolotu – nie było sensu tracić i tak skromnych zasobów paliwa w próżni międzygalaktycznej, która obciążała nawet ogromne rezerwy wielkich statków. Wolał oszczędzać paliwo na manewry międzyplanetarne – gdyby mu się taka mało prawdopodobna okazja trafiła.

Czas był czarną nieruchomą galaretą, w której Detringer tkwił uwięziony. Ktoś słabszy psychicznie pozbawiony swoich zwykłych punktów zaczepienia, musiałby się załamać. Ale właśnie miarą siły Detringera był fakt, że zamiast się poddać rozpaczy, której obiektywne przesłanki miał dokoła siebie, walczył: zmuszał się do wykonywania najdrobniejszych bodaj czynności przy zamierającym statku, co „noc" dawał koncert dla swojego sługi Ichora, któremu słoń nadepnął na ucho, uprawiał gimnastykę i medytację szybkobieżną, odprawiał skomplikowane rytuały autoseksualne według „Podręcznika samotnego przetrwania" i na setki różnych sposobów starał się odwrócić swoją uwagę od porażającej świadomości własnej niemal pewnej śmierci.



Maciej Żerdziński

Po nieokreślonym upływie czasu charakter przestrzeni kosmicznej zmienił się nagle. Cisza i lekkie wiatry ustąpiły zakłóceniom. Pojawiły się skomplikowane zjawiska elektryczne zapowiadające nowe niebezpieczeństwo. Wreszcie nadszedł zimny front, szalejąca burza uderzyła w sportolot, porwała go i cisnęła bezładnie w samo serce przestrzeni kosmicznej.

Mały stateczek uratował się jedynie dzięki własnej niedoskonałości. Nieodparcie gnany przez rozszalały żywioł, poddał mu się i to go ocaliło.

Zbędne byłoby mówić, co działo się w tym czasie z załogą, poza tym, że po prostu przetrwała. Detringer przez jakiś czas był nieprzytomny. W pewnym momencie otworzył oczy i skołowany rozejrzał się dokoła. Następnie wyjrzał przez luki i zajął się instrumentami nawigacyjnymi.

– Przemierzyliśmy całą próżnię kosmiczną – oznajmił Ichorowi. – Zbliżamy się do zewnętrznych granic układu planetarnego.

Ichor podparł się jednym ze swoich aluminiowych łokci i zapytał:

– A jakiego typu jest słońce?

– Typu O.

– Chwała Bożejpamięci – odparł Ichor i padł z powodu wyładowanych baterii.

Ostatnie porywy sztormu ucichły, zanim sportolot przekroczył orbitę najdalszej planety, dziewiętnastej, licząc od krzepkiego życiodajnego słońca średniej wielkości typu O. Detringer naładował Ichora podłączając go do akumulatorów statku, chociaż robot protestował uważając, że lepiej oszczędzać energię na wypadek jakiegoś niebezpieczeństwa.

A niebezpieczeństwo nadeszło prędzej, niż sobie Detringer wyobrażał. Odczyt instrumentów wykazał, że jedynie piąta planeta, licząc od słońca, mogłaby zaspokoić jego życiowe wymogi bez importu jakichkolwiek sztucznych urządzeń. Ale była ona położona za daleko jak na mizerne zasoby paliwa statku, a że ponownie znaleźli się w strefie ciszy, nie mogli liczyć na żadną siłę, która by im nadała przyspieszenie, zbliżając do celu.

Jako jeden z wariantów postępowania można było

(A Suppliant in Space)

w kosmosie

przyjąć, że siedzą spokojnie i czekają na jakiś zabłąkany, a skierowany do środka układu prąd czy nawet następną burzę. Ale byłaby to postawa wyraźnie konserwatywna. Jej przyjęcie groziło niebezpieczeństwem, że w tym krótkim czasie, na jaki starczy im zasobów ze statku, nic takiego się nie zdarzy. Albo, że nawet jeśli porwie ich jakiś prąd czy burza, to w niepożądanym kierunku.

Oczywiście ryzyko istniało niezależnie od tego, jaką by przyjęli linię działania. Ale, w sposób dla siebie charakterystyczny, Detringer obrał plan trudniejszy, a zarazem bardziej niebezpieczny. Kalkulując jak najoszczędniej kurs i prędkość postanowił przebyć taką odległość, na jaką mu starczy paliwa, oddając się potem w ręce opatrzności.

Pocąc się przy sterach i ręcznie dawkując paliwo zdołał się zbliżyć do celu na odległość dwustu milionów mil. Następnie wyłączył silniki pozostawiając sobie paliwa na skąpą godzinę manewrowania już w granicach atmosfery.

Sportolot zaczął więc znów dryfować w przestrzeni kosmicznej, wprawdzie dalej w kierunku piątej planety, ale tak wolno, że i tysiąca lat by nie starczyło, żeby sięgnął granic jej atmosfery. Nie wysilając specjalnie wyobraźni można było przyjąć, że statek jest trumną, a Detringer jej przedwczesnym lokatorem. Ale zamiast się przejmować, Detringer przywrócił reżim gimnastyki, koncertów, medytacji szybkobieżnej, rytuałów autoseksualnych.

Dla Ichora wszystko to było z lekka szokujące. Sam poglądów dość ortodoksyjnych, łagodnie wytknął swemu panu, że jego zachowanie jest niestosowne do sytuacji, a tym samym nierozsądne.

– Naturalnie masz rację – odparł Detringer wesoło. – Ale chciałbym ci uświadomić, że nadzieja, nawet bez szans na spełnienie, jest w dalszym ciągu uważana za jedno z Ośmiu Dobrodziejstw Irracjonalnych i jako taka (według Drugiego Patriarchy) nadrzędna w stosunku do Nakazów Zdrowego Rosądku.

Pobity argumentami zaczerpniętymi z Pisma Ichor niechętnie przystał na praktyki Detringera i nawet posunął się do tego, że wraz z nim zaśpiewał pieśń (z wynikiem tyleż zabawnym co kakofonicznym).

Nieubłaganie opuszczała ich energia. Zredukowane do połowy, a potem do jednej czwartej racje zmniejszyły ich wydajność powodując niemal całkowitą bezczynność. Na próżno Ichor błagał swego pana, żeby mu pozwolił zasilić jego własnymi osobistymi bateriami zimne grzejniki statku.

– Nie przejmuj się – odparł Detringer dygocąc z zimna – wyjdziemy stąd razem na równych prawach i o takich władzach, jakie są nam dane, o ile wyjdziemy w ogóle – w co zaczynam szczerze wątpić pomimo poważnych danych przeciwnej natury.

Niewykluczone, że siła woli ma wpływ na przyrodę. W każdym razie dla nikogo poza Detringerem natura nie zdobyłaby się na taki gest, by zesłać silny prąd skierowany do wewnątrz układu słonecznego właśnie w momencie, kiedy zasoby energii statku pozostały właściwie już tylko wspomnieniem.

Samo lądowanie nie przedstawiało problemu dla pilota o tych kwalifikacjach i szczęściu co Detringer. Posadził statek lekko jak wiatr nasienie wśród gościnnej zieleni piątej planety. Kiedy wyłączył silniki, zostało mu jeszcze paliwa na jakieś trzydzieści osiem sekund lotu.

Ichor padł na swoje ferruminiowe kolana dziękując Bożejpamięci, za to, że o nich nie zapomniała i przywiodła do tego miejsca schronienia.

– Zanim się rozkleimy z tej wdzięczności, chodźmy lepiej zobaczyć, czy będziemy mogli tu żyć – powiedział Detringer.

Ale piąty świat okazał się dość gościnny. Wszystko, co niezbędne do życia – poza jednakże wygodami – można było zdobyć kosztem niewielkiego wysiłku. Ucieczka nie wchodziła w grę: tylko bowiem rozwinięta cywilizacja techniczna mogła dostarczyć skomplikowanego paliwa, jakiego wymagał ich statek. A już nawet pobieżna obserwacja z lotu ptaka przekonała ich, że piąta planeta, choć malownicza i gościnna, cywilizacji żadnej nie miała. Nie mówiąc o inteligentnym życiu.

Dokonawszy pewnych prostych połączeń drutów Ichor przygotował się, że tutaj dokona swoich dni. Poradził Detringerowi, żeby i on pogodził się z nieuniknionym. Ostatecznie, zauważył, nawet gdyby w jakiś sposób zdobyli paliwo, to dokąd pójdą? Szanse na to, że znajdą planetę z jakąś rozwiniętą cywilizacją, nawet dysponując dobrze wyposażonym statkiem badawczym, były znikome. Z małym stateczkiem jak ich sportolot podobne przedsięwzięcie równałoby się samobójstwu.

Ale to rozumowanie nie przekonało Detringera.

– Lepiej umrzeć poszukując, niż wegetując żyć – oświadczył.

– Panie, to jest herezja – zaznaczył z szacunkiem Ichor.

– Jasne, że herezja – odparł wesoło Detringer – ale zgodna z moim wewnętrznym przekonaniem. Mój nos mówi mi, że coś nam się trafi.

Ichor wzdrygnął się; ze względu na duchowe dobro Detringera był rad, że wbrew swoim nadziejom jego pan dozna pociechy wiecznej samotności.

Kapitan Makepeace Macmillan stał w głównej kabinie nawigacyjnej swojego statku badawczego „Jenny Lind" i przeglądał taśmę wychodzącą z komputera koordynacyjnego typu 1100. Było jasne – na ile mógł to ocenić za pomocą przyrządów pokładowych – że nowa planeta nie przedstawiała żadnego niebezpieczeństwa.

Macmillan odbył długą drogę, żeby doczekać tej chwili. Skończywszy błyskotliwie wydział nauk o życiu na uniwersytecie w Taos, zrobił magisterium z teorii i sterowania nukleonicznego. Jego praca doktorska zatytułowana „Uwagi wstępne na temat pewnych rozważań z dziedziny nauki manewrowania międzygwiezdnego" została przez radę wydziału entuzjastycznie przyjęta, a następnie opublikowana dla szerokiego odbiorcy pod tytułem „Zagubiony i odnaleziony w najgłębszej przestrzeni kosmicznej". To, wraz z długim artykułem „Zastosowanie teorii deklinacji w modalności lądowania statków kosmicznych, zamieszczonym w piśmie „Nature", przesądziło o tym, że w wyborze na stanowisko kapitana pierwszego amerykańskiego statku międzygwiezdnego praktycznie nie miał konkurencji.

Był to wysoki, przystojny, potężnie zbudowany mężczyzna o włosach przedwcześnie przyprószonych siwizną, która zadawała kłam jego trzydziestu sześciu latom.

W sprawach nawigacji kosmicznej odznaczał się pewnością i szybkim refleksem, a ze statkiem radził sobie w sposób godny podziwu.

Znacznie gorzej radził sobie z ludźmi. Przekleństwem Macmillana była jego nieśmiałość, brak zaufania do siebie i niepewność, która opóźniała proces podejmowania decyzji – cecha chwalebna u filozofa, ale słabość u człowieka powołanego do kierowania innymi.

Rozległo się stukanie do drzwi i nie czekając na zaproszenie wszedł pułkownik Kettelman.

– Wygląda całkiem nieźle tam na dole, co? – zagaił.

– Profil planety rzeczywiście wydaje się korzystny – odparł sztywno Macmillan.

– To i dobrze. – Kettelman patrzył nierozumiejącym wzrokiem na taśmę komputerową. – Coś ciekawego?

– I to bardzo – odrzekł Macmillan. – Już nawet obserwacja z dużej odległości pozwoliła się domyślać unikatowych organizmów roślinnych. A poza tym nasze badania mikrobiologiczne wykazują pewne anomalie, które...

– Nie o to mi chodzi. – Kettelman wykazywał naturalną u zawodowego wojskowego obojętność dla robactwa i roślin. – Miałem na myśli rzeczy naprawdę ważne, jak obce wojska, floty kosmiczne i tym podobne.

– Nic nie wskazuje na istnienie jakiejkolwiek cywilizacji na planecie – poinformował go Macmillan. – Wątpię, czy napotkamy tam inteligentne życie.

– Nigdy nie wiadomo – odparł z nadzieją w głosie Kettelman, krępy, potężny w ramionach i nieugięty mężczyzna. Był on weteranem Amerykańskich Kampanii Sojuszniczych z roku 34, walczył jako major w dżunglach zachodniego Hondurasu w tak zwanej wojnie Owocowej, skąd wyszedł w randze podpułkownika. Na pułkownika awansował podczas niefortunnego Powstania Nowojorskiego, w którym osobiście poprowadził swoich ludzi na budynek Podskarbca, a następnie obronił pozycje na 42. ulicy przed atakiem Batalionu Pedałów.

Nieustraszony, cieszący się opinią żołnierza z krwi i kości oraz nieposzlakowaną kartą w swojej karierze wojskowej, człowiek zamożny i nie pozbawiony inteligencji, przyjaciel amerykańskich senatorów i teksaskich milionerów, Kettelman zyskał stanowiącą przedmiot pożądania wielu nominację na komendanta operacji militarnych na pokładzie „Jenny Lind".

Właśnie oczekiwał chwili, w której wyprowadzi swoją grupę bojową liczącą dwudziestu żołnierzy piechoty morskiej na powierzchnię piątej planety. Ta perspektywa podniecała go ogromnie. Bo Kettelman wiedział, że niezależnie od tego, co mówiły instrumenty, mogło ich czekać dosłownie wszystko, co okaleczy i zabije – chyba że on się okaże szybszy – a to właśnie miał w planie.

– Jest jedna rzecz – odezwał się Macmillan – odkryliśmy na planecie obecność statku kosmicznego.

– No proszę – rzekł Kettelman – wiedziałem, że coś będzie na pewno. Zauważyliście tylko jeden statek?

– Tak. I to mały, o wyporności przeszło dwadzieścia razy mniejszej niż nasza i najwyraźniej nieuzbrojony.

– Właśnie o to im chodzi, żebyśmy w to uwierzyli – rzekł Kettelman. – Ciekawe, gdzie jest reszta.

– Jaka reszta?

– Pozostałe statki z załogami, rakiety ziemia-kosmos, i tak dalej.

– Z obecności jednego obcego statku wcale nie musi wynikać obecność innych obcych statków – zauważył kapitan Macmillan.

– Nie musi? Wiesz, co ci powiem, Mac? Ja się uczyłem logiki w dżunglach Hondurasu – odparł Kettelman. – A tam jeśliś się nadział na jednego pokurcza z maczetą, mogłeś być pewien dalszych pięćdziesięciu ukrytych w zaroślach, gotowych obciąć ci uszy, jeślibyś im tylko dał szansę. Stosując abstrakcyjną logikę mógłbyś łatwo stracić życie.

– Okoliczności były trochę inne – zaznaczył kapitan Macmillan.

– I co z tego?

Macmillan skrzywił się i odwrócił. Rozmowy z Kettelmanem sprawiały mu trudność i wobec tego unikał ich, jak tylko mógł. Pułkownik był osobnikiem kłótliwym, upartym, łatwo wpadającym w gniew i wyznającym pewne prawdy, których większość zasadzała się na niewzruszonych podwalinach niemal całkowitej ignorancji. Kapitan zdawał sobie sprawę, że antypatia, jaką darzy Kettelmana, jest wzajemna. Był świadom tego, że pułkownik uważa go za człowieka niezdecydowanego i niesprawnego, wyjąwszy może wąską dziedzinę jego naukowej specjalności.

Szczęśliwie zakres ich kompetencji był ściśle określony i bardzo wyraźnie rozgraniczony. A przynajmniej tak było do tej pory.

II

Detringer i Ichor stali w kępie drzew i patrzyli na bezbłędne lądowanie wielkiego statku.

– Obojętne, kto prowadzi ten statek – powiedział Detringer – uważam, że jest mistrzem w tej sztuce. Chciałbym go poznać.

– Niewątpliwie będzie pan miał okazję. To z pewnością nie przypadek, że mając do wyboru powierzchnię całej planety posadzili swój statek prawie dokładnie koło nas.

– Oczywiście musieli nas zauważyć – rzekł Detringer. – I postanowili zagrać śmiało, dokładnie tak, jak ja bym zrobił na ich miejscu.

– To się trzyma kupy – odparł Ichor. – A co by pan zrobił na swoim miejscu?

– I ja zagram śmiało.

– To jest moment historyczny – oznajmił Ichor. – Przedstawiciel Ferlang po raz pierwszy w dziejach spotka się wkrótce z inteligentnymi obcymi. Co za ironia, że taka okazja trafiła się akurat kryminaliście!

– Ta okazja, jak ją nazwałeś, została mi narzucona. Zapewniam cię, że jej nie szukałem. Ale à propos – mam nadzieję, że nie będziemy nic mówili na temat moich nieporozumień z władzami Ferlang.

– Chce pan powiedzieć, że pan będzie kłamał?

– To bardzo ostre sformułowanie – rzekł Detringer. – Powiedzmy, że chcę oszczędzić moim ludziom niezręcznej sytuacji wynikającej z tego, że ich pierwszym przedstawicielem wobec obcej rasy jest przestępca.

– Aha, no chyba że tak – uspokoił się Ichor.

Detringer spojrzał surowo na swego mechanicznego sługę.

– Widzę, że niezupełnie ci się podobają moje metody.

– Istotnie, ale niech pan mnie zrozumie, sir: jestem panu wierny bez najmniejszych zastrzeżeń. W każdej chwili gotów do największych poświęceń. Będę panu służył do śmierci, a może nawet i dłużej, o ile to możliwe. Ale lojalność w stosunku do drugiej osoby nie może oznaczać wyrzeczenia się zasad religijnych, społecznych i etycznych. Kocham pana, sir, ale nie akceptuję pana postępowania.

– Dobrze – odparł Detringer – czuję się ostrzeżony. A teraz wracając do naszych obcych przyjaciół: otwiera się luk i wychodzą.

– Wychodzą żołnierze – zauważył Ichor.

Przybysze byli też dwunożni i też mieli po dwie kończyny górne. Każdy z nich miał tylko jedną głowę, jedne usta i jeden nos, tak jak i Detringer. Nie było widać żadnych ogonów czy jakichkolwiek anten. Sądząc ze sprzętu, z pewnością byli to żołnierze. Każdy z nich dźwigał wyposażenie, w którym można się było domyślać małych wyrzutni, granatów gazowych i rozrywających, broni promieniowej, broni atomowej bliskiego rażenia i jeszcze wielu innych rzeczy. Mieli też osobiste zabezpieczenie, a głowy chroniły im przezroczyste bańki plastykowe. Było ich w ten sposób wyposażonych dwudziestu plus jeden, najwyraźniej ich przywódca, bez widocznego uzbrojenia. Posługiwał się on czymś w rodzaju elastycznej pałki – stanowiącej najprawdopodobniej insygnium jego władzy – którą idąc na czele swoich żołnierzy, uderzał się rytmicznie w górną część lewej kończyny dolnej.

Żołnierze podeszli bliżej, w szyku luźnym, ukrywając się chwilowo za obiektami naturalnymi, i całą swoją postawą demonstrując najwyższą podejrzliwość i czujność. Oficer wystąpił naprzód, bez żadnej osłony, przejawiając tym samym brawurę czy po prostu głupotę.

Robert SHECKLEY

Pisarz amerykański, urodzony w roku 1928. Wiele lat spędził w Anglii, obecnie mieszka na hiszpańskiej wyspie Ibizie. Sheckley jest znany głównie jako autor znakomitych opowiadań z lat pięćdziesiątych. Nie zestarzały się – jedynie ceny wskazują, że powstały trzydzieści lat temu – co daje powód do nieprzewidzianego przez autora wzruszenia. Zamieszczone tu opowiadanie pochodzi z późniejszego okresu, otrzymało nagrodę Jupiter w roku 1973.

L.J.

– Nie uważam, żebyśmy dalej musieli kryć się po tych krzakach – powiedział Detringer. – Czas wyjść i stawić im czoła w sposób godny przedstawicieli planety Ferlang. – Z tymi słowy wystąpił i eskortowany przez Ichora zbliżył się do żołnierzy. Był w tym momencie wspaniały.

Każdy z członków załogi „Jenny Lind" wiedział o obcym statku odległym zaledwie o milę. Dlatego obecność obcego, który właśnie śmiało zmierzał na spotkanie żołnierzy Kettelmana, nie powinna być dla nikogo zaskoczeniem.

A jednak była. Nikt nie był przygotowany na spotkanie z autentycznym, najprawdziwszym pod słońcem, niesamowitym z wyglądu nieziemcem z krwi i kości. W tej sytuacji nasuwało się wiele pytań – żeby wymienić choć jedno: co człowiek właściwie powinien powiedzieć, kiedy się wreszcie spotka z nieziemcem? Czy potrafi sprostać niezwykłości tej historycznej chwili? Cokolwiek wymyślisz, musi zabrzmieć jak: „Doktor Livingstone, jak sądzę?" Przez całe wieki będą się potem nabijać z ciebie i twoich słów – napuszonych czy banalnych. Spotkanie z nieziemcem potencjalnie jest nad wyraz krępujące.

Zarówno kapitan Macmillan, jak i pułkownik Kettelman gorączkowo szykowali tekst powitania odrzucając kolejne wersje i mając nadzieję, że w komputerze przekładowym C31 wysiądzie tranzystor. Żołnierze modlili się: „Jezu, spraw, żeby nie chciał rozmawiać akurat ze mną". Nawet kucharz myślał: „Chryste, na początek go zainteresuje, jak się odżywiamy".

Ale Kettelman szedł na czele. „Do cholery – pomyślał – nie mam zamiaru z nim pierwszy rozmawiać". Zwolnił kroku pozwalając swoim ludziom się wyprzedzić. Ale żołnierze stanęli w miejscu jak wryci czekając na pułkownika. Kapitan Macmillan, który podążał tuż za nimi, również przystanął, żałując, że ma na sobie mundur ze wszystkimi dystynkcjami. Najbardziej ze wszystkich rzucał się w oczy i dlatego wiedział, że obcy podejdzie prosto do niego.

Ziemianie stali nieruchomo. Nieziemiec szedł w ich stronę. W szeregach ludzi skrępowanie ustąpiło panice. Żołnierze patrzyli na obcego i myśleli: „Jezu, co to będzie". Oczywiście byli bliscy ucieczki. Kettelman widział to i myślał: „Zhańbią całą jednostkę i mnie!"

Ta myśl go otrzeźwiła. Nagle przypomniał sobie o dziennikarzach. Tak, dziennikarze! Niech to wezmą na siebie ludzie prasy– ostatecznie za to biorą pieniądze.

– Pluton, stój! – rozkazał. A następnie dodał: – Prezentuj broń.

Obcy też się zatrzymał, prawdopodobnie, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– Kapitanie – Kettelman zwrócił się do Macmillana. – Proponuję, żeby w tym historycznym momencie spuścić ze smyczy... to znaczy uruchomić dziennikarzy.

– Doskonały pomysł – odrzekł kapitan i polecił wydobyć dziennikarzy ze stanu hibernacji i natychmiast ich przyprowadzić.

Nastała chwila oczekiwania.

Dziennikarze byli zainstalowani w specjalnym pomieszczeniu. Na drzwiach wisiała tabliczka: *„HIBERNACJA – osobom nieupoważnionym wstęp wzbroniony"*. I poniżej odręcznie dopisano: *„Budzić tylko w razie rewelacji"*.

A w kabinie – każde w swojej kapsule – spoczywało czterech dziennikarzy i jedna dziennikarka. Wszyscy oni zgodzili się z tym, że prowadzenie aktywnego życia przez jałowe lata, potrzebne na dotarcie „Jenny Lind"do jakiegokolwiek punktu przeznaczenia, byłoby dla nich stratą czasu subiektywnego. Dlatego wyrazili zgodę na przejście w stan hibernacji pod oczywistym warunkiem, że zostaną przywróceni do życia natychmiast, jak tylko zaistnieje sytuacja wymagająca obsługi dziennikarskiej. Decyzję co do tego, jaka sytuacja zostanie za taką uznana, pozostawiono kapitanowi Macmillanowi, który na drugim i trzecim roku studiów na uniwersytecie Taos pracował jako reporter dla „Słońca Feniksa".

Polecenie obudzenia dziennikarzy dostał Szkot, inżynier Ramon Delgado, człowiek o dziwnym życiorysie. Poustawiał odpowiednio systemy zabezpieczające poszczególnych osób i w ciągu piętnastu minut wszyscy byli lekko oszołomieni, ale przytomni i domagali się wyjaśnień.

– Wylądowaliśmy na planecie – poinformował ich Delgado. – Jest to planeta typu ziemskiego, ale nie widać, żeby była na niej jakaś cywilizacja czy inteligentne życie.

– I to był powód, dla którego nas obudziłeś? – zapytał Quebrada z Południowowschodniej Agencji Prasowej.

– Nie tylko – odparł Delgado. – Na planecie jest jakiś obcy statek i nawiązaliśmy kontakt z inteligentną istotą.

– No, to już lepiej – rzekła Millicent Lopez reprezentująca dziennik „Ubiory damskie" i inne. – A czy może zauważyłeś, w co ten obcy jest ubrany?

– A można ocenić stopień inteligencji tego osobnika? – zapytał Mateos Upmann z „New York Timesa" i „Los Angeles Timesa".

– A co do tej pory powiedział? – chciał wiedzieć Angel Potemkin z NBC-CBS-ABC.

– Nic nie powiedział – poinformował ich inżynier Delgado. – Bo jeszcze nikt z nim nie rozmawiał.

– Czy mamy przez to rozumieć – zdziwił się E.K. Quetzala z Zachodniej Agencji Prasowej – że pierwszy nieziemiec, jakiego kiedykolwiek spotkali ziemianie, stoi tam teraz jak ten głupi i nikt nie przeprowadza z nim wywiadu?

Dziennikarze runęli do wyjścia – wielu z nich wlokło jeszcze za sobą rurki i przewody – wstępując jedynie do pokoju reporterów po magnetofony. Na zewnątrz, mrużąc oczy w ostrym słońcu, troje z nich podłączyło się do komputera przekładowego C31. Następnie wszyscy razem ruszyli naprzód roztrącając żołnierzy i otoczyli nieziemca.

Upmann włączył komputer, wziął jeden z mikrofonów, a drugi podał obcemu, który po chwili wahania wyciągnął rękę.

– Próba: raz, dwa, trzy – powiedział Upmann. – Zrozumiałeś, co powiedziałem?

– Powiedziałeś: „Próba: raz, dwa, trzy".

Wszyscy odetchnęli z ulgą, ponieważ wreszcie zostały wypowiedziane pierwsze słowa do pierwszego w dziejach nieziemca i Upmann rzeczywiście miał wyjść w książkach historycznych na kompletnego idiotę. Ale Upmannowi było dokładnie wszystko jedno, na co wyjdzie, byleby się w ogóle znaleźć w książkach historycznych, dlatego nie przerywał sobie wywiadu. Po chwili inni poszli w jego ślady.

Detringer musiał odpowiedzieć, co jada, jak długo i jak często sypia, scharakteryzować swoje życie seksualne i jego odchylenia od normy przyjętej dla Ferlang, opisać pierwsze wrażenie, jakie zrobili na nim ziemianie, przedstawić swoją osobistą filozofię, wyznać, ile ma żon i jak mu się układa współżycie z nimi, ile ma dzieci i jakie to jest uczucie, jak się jest nim. Musiał podać swój zawód i hobby, ze szczególnym uwzględnieniem zainteresowań ogrodniczych lub ich braku. Musiał się przyznać, czy kiedykolwiek się upił i w jakich okolicznościach, opisać swoje pozamałżeńskie doświadczenia seksualne, o ile miał takie, i wymienić uprawiane sporty. Musiał wyrazić swój pogląd na przyjaźń międzygwiezdną pomiędzy rasami inteligentnymi, przedyskutować ze swoimi rozmówcami korzyści i/albo kłopoty wynikające z posiadania ogona i wiele innych.

Macmillan, nieco zawstydzony z powodu zaniedbania obowiązków kapitana, wystąpił teraz naprzód i uratował Detringera, który dzielnie i z wielkim nakładem trudu próbował wytłumaczyć niewytłumaczalne.

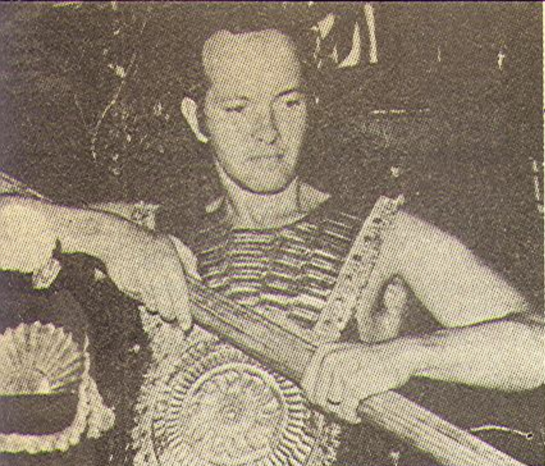
Podszedł również pułkownik Kettelman – ostatecznie to on był odpowiedzialny za sprawy bezpieczeństwa i do niego należało wnikać głęboko w naturę i intencje obcego.

Nastąpiło drobne spięcie pomiędzy tymi dwiema osobistościami co do tego, kto pierwszy powinien się spotkać z nieziemcem czy też może spotkanie ma być wspólne. Ostatecznie zdecydowano, że to Macmillan, jako symboliczny przedstawiciel ludów Ziemi, pierwszy będzie rozmawiał z obcym. Było jasne, że to spotkanie ma mieć charakter czysto formalny. Dopiero Kettelman, jako następny w kolejności, będzie już rozmawiał konkretnie.

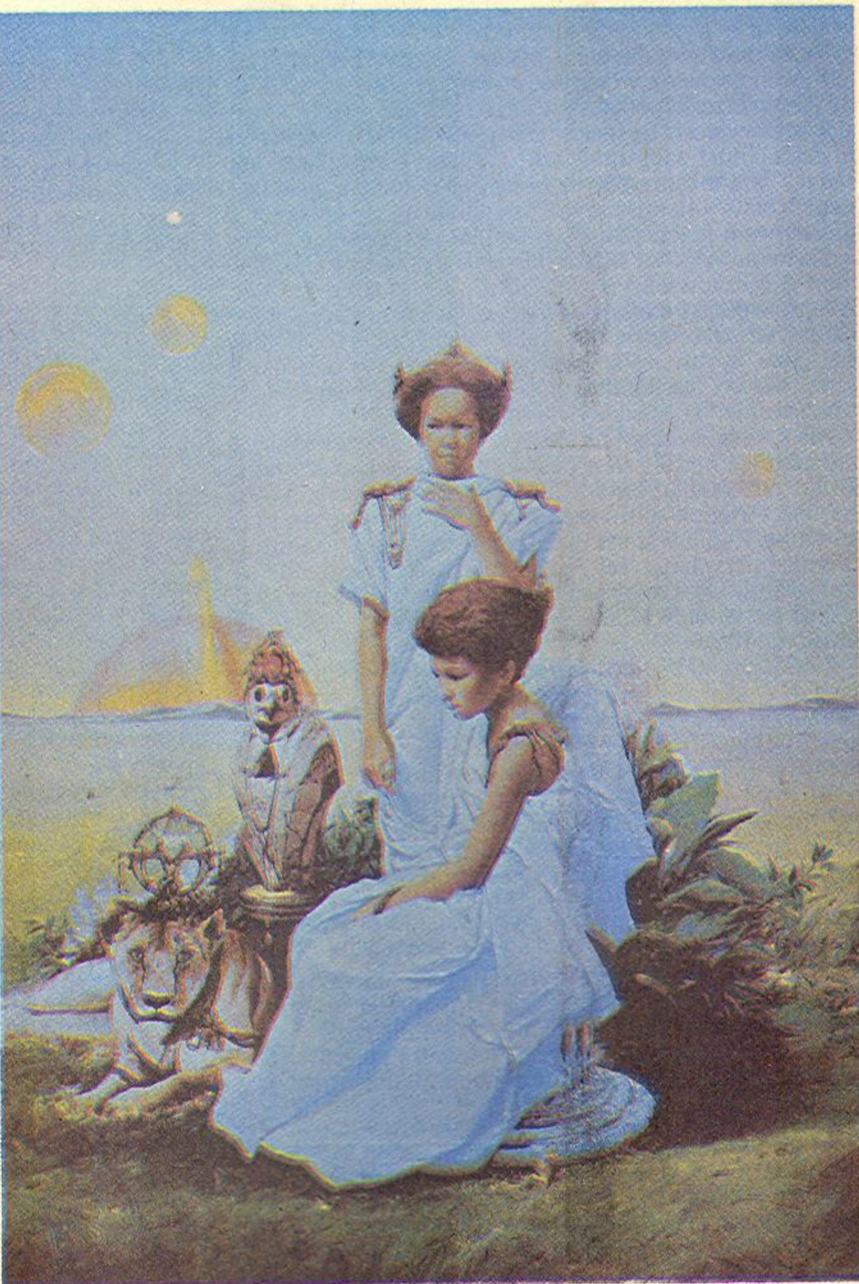
Ten plan ładnie sprawę rozwiązał i Detringer oddalił się z Macmillanem. Żołnierzy odesłano na statek, gdzie złożyli broń i wrócili do pucowania butów.

Trzymającego się z tyłu Ichora dopadł przedstawiciel Agencji Środkowozachodniej i poprosił o wywiad. Ten sam dziennikarz, Melchior Carrera, współpracował także z takimi pismami, jak: „Popular Mechanics", „Play-





Siudmak III



21 sierpnia 1984 roku, godzina 18, Galeria „Forum" w Krakowie. Zbliża się moment otwarcia wystawy. Zbierają się zaproszeni goście, wśród nich rodzina artysty. W Galerii ciemno, wygaszone światła, okna szczelnie zasłonięte. Równocześnie z wydobywającymi się z głośników dźwiękami „Equinoxe" Jeana Michela Jarre'a na ogromnym ekranie pojawiają się, przenikając wzajemnie barwne obrazy i ich zbliżenia. To diarama Wojtka Siudmaka przygotowana specjalnie na otwarcie wystawy jego plakatów. Te kilkanaście minut pokazu obrazów w nastroju muzyki przyjaciela (tak, Siudmak i Jarre są przyjaciółmi) wywiera na widzu niezatarte wrażenia. Po zakończeniu projekcji zapalają się lasery i reflektory ukazując dotychczas jeszcze niewidoczne kilkadziesiąt plakatów. Kilka sekund absolutnej ciszy i entuzjastyczne przyjęcie zgromadzonych widzów, tego jeszcze nie było. Setki wpisów do księgi pamiątkowej i kilka tysięcy zwiedzających, przedłużenie wystawy – potwierdziły celowość i sens tej pierwszej w Polsce promocji polskiego artysty działającego od kilkunastu lat we Francji. Mimo swej ogromnej pracowitości (kilkaset okładek i ilustracji w tomikach światowych wydawnictw SF i kilkadziesiąt plakatów głównie dla wielkich festiwali filmowych) oraz niepodważalnej popularności na Zachodzie, Siudmak nie znalazł dotąd pełnego, należnego mu uznania zarówno w kręgach polskich krytyków sztuki, jak i muzealników i wystawców.

Z plakatami Siudmaka po raz pierwszy zetknąłem się w czasie VI Międzynarodowego Biennale Plakatu w Warszawie. Uderzyła mnie wówczas ich odmienność od pozostałych prac prezentowanych na Biennale, ale równocześnie jakby obojętność w ich przyjęciu, również ze strony organizatorów. Następne spotkania z plakatami Siudmaka tak mnie wciągnęły w krąg jego działań artystycznych, że osobiste poznanie artysty i jego działalności artystycznej stało się dla mnie z jednej strony obowiązkiem kolekcjonera i równocześnie animatora ruchu wystawienniczego, z drugiej natomiast – wspaniałym przeżyciem poznania człowieka największego formatu. Potwierdzenie zainteresowania i entuzjazmu dla Siudmaka znalazłem w opinii słynnego francuskiego kompozytora, poety i piosenkarza Guy Bearta. Powiedział on między innymi: *„Piękno jego dzieł jest tak przejmujące, że zatrzymałem się natychmiast, podobnie jak przed wspaniałym widokiem tęczy na niebie, ponieważ ten jej urok jest pięknem oczywistym"*. Pod podobnymi opiniami o pracy artysty podpisali się również inni wielcy: George Lucas – słynny amerykański reżyser filmowy, Paul Guth – słynny pisarz i historyk francuski, Jacques Goimard – profesor paryskiej Sorbony, krytyk, historyk, wielki specjalista w dziedzinie literatury SF, Francis Lai – kompozytor francuski, i wielu, wielu innych.

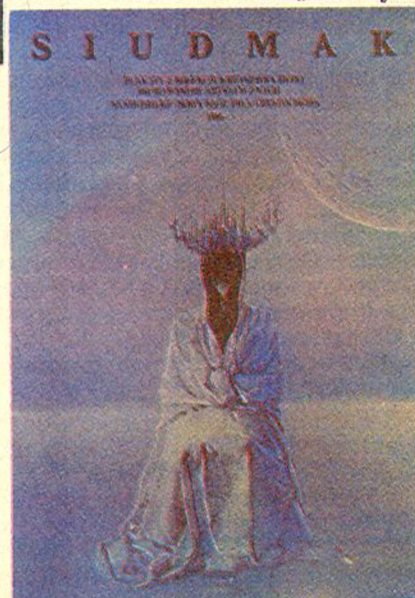
Wojtek Siudmak urodził się w Wieluniu 10 października 1942 roku. Jak wspominają jego dawni nauczyciele, już od najmłodszych lat swoimi plastycznymi zainteresowaniami odróżniał się od kolegów. Po ukończeniu warszawskiego Liceum Plastycznego wstąpił w 1961 roku do Akademii Sztuk Pięknych, a po jej ukończeniu opuścił Warszawę, by kontynuować studia malarskie w Paryżu. Od 1971 roku datuje się współpraca Siudmaka z wielkimi agencjami wydawniczymi i galeriami sztuki we Francji, RFN,

Japonii, Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Jego obrazy malowane na wielkich płótnach, często reprodukowane jako plakaty do wielkich imprez kulturalnych i filmowych, wzbudzają duże zainteresowanie. Siudmak uprawia malarstwo, grafikę, rzeźbę, tworzy ilustracje książkowe i plakaty. Jego sztuka jest pasjonująca, emanuje z niej niezrównany spokój. To on w dużej mierze przyciąga widza. Trudno więc dziwić się spontanicznemu przyjęciu prac artysty w Polsce. Pierwsza wystawa w krakowskiej Galerii „Forum" poparta promocją galerii „Fantastyki" otworzyła pracom Siudmaka drogę przez całą Polskę.

Dzięki BWA w Sandomierzu ukazał się pierwszy kolorowy katalog jego 20 plakatów. Trzeba dodać, że wcześniej wystawy indywidualne artysty miały miejsce w renomowanych galeriach Paryża, Londynu, Berlina, Cannes i wielu innych miast. Sam Siudmak uważa się za przedstawiciela tzw. realizmu fantastycznego (Hausner, Escher, Fini i inni). Przewrotnie określa swoją twórczość terminem „hiperrealizmu fantastycznego", świadomie akcentując własną odrębność. Często powołuje się na więź swojej sztuki ze sztuką Salvadore Dali. Widać to wyraźnie w oddawaniu iluzji trójwymiarowej. Siudmak wykracza jednak poza surrealistyczane środki wyrazu, dorzuca do swych obrazów hiperrealistyczne chwyty: zarówno perfekcjonizm w cyzelowaniu detalu i ostrego konturu, jak i posiłkowanie się szczegółem fotograficznym. Nie ma uprzedzeń kolorystycznych; posługując się akrylami swobodnie zestawia barwy. Przewagę nad plamą ma natomiast w jego obrazach rysunek, opanowany w sposób godny Ingresa, którego twórczością, co często podkreśla, jest zafascynowany. Jak napisał Jacques Goimard: *„Sztuka Siudmaka jest jedną z najbardziej pasjonujących, jakie mogą istnieć. Nie tylko przez niezrównany spokój, który z niej płynie, ale także dlatego, że nie osłabia warstwy znaczeniowej. Sztuka alegoryczna, jeśli kto woli, gdzie każdy detal może być przekładany na słowo, zdanie, ideę; sztuka całkowicie przesiąknięta literaturą bądź refleksją, bądź opowiadaniem; sztuka gdzie każda partia obrazu odbija inną, wytwarzając łańcuchy skojarzeń bez końca".*

Wojtek Siudmak to jeden z niewielu polskich artystów, którym dzięki uporowi, ciężkiej pracy, wytrwałości i ogromnemu talentowi udało się sięgnąć po najwyższe międzynarodowe uznanie. Sam jest człowiekiem nadzwyczaj skromnym, ma dwie urocze córki i nadzwyczaj sympatyczną żonę. Od 1975 roku mieszka w okręgu Seine-et-Marne w okolicy Paryża, przedkładając spokój i życie rodzinne nad wartkie i głośne życie wielkiej metropolii.

Krzysztof Dydo





boy", „Rolling Stone" i „Automation Engineers' Digest". Był to ciekawy wywiad.

Rozmowa Detringera z kapitanem Macmillanem szła bardzo gładko. Obaj mieli poglądy liberalne na większość problemów, obaj odznaczali się wrodzonym taktem i każdy z nich starał się okazać maksymalne zrozumienie dla punktu widzenia, którego nie podzielał. Przypadli sobie nawzajem do gustu i kapitan Macmillan nie bez zdziwienia stwierdził, że Detringer jest mu mniej obcy niż pułkownik Kettelman.

Spotkanie z Kettelmanem, które nastąpiło zaraz potem, miało zupełnie inny charakter. Po krótkiej wymianie uprzejmości pułkownik przeszedł wprost do rzeczy.

– Co pan tu robi? – zapytał.

Detringer, przygotowany na konieczność udzielania podobnych wyjaśnień powiedział:

– Prowadzę statek zwiadowczy kosmicznych sił Ferlang. Sztorm zwiał mnie daleko z kursu i byłem zmuszony wylądować tutaj dokładnie w momencie, kiedy skończyło mi się paliwo.

– To znaczy, że jest pan unieruchomiony.

– Jestem. Czasowo, oczywiście. Jak tylko moi ludzie zorganizują załogę i sprzęt, wyślą po mnie statek ratowniczy. Ale to może potrwać. Gdybyście więc wsparli mnie paliwem, byłbym wam głęboko zobowiązany.

– Hmmm – mruknął pułkownik Kettelman.

– Przepraszam, bo nie dosłyszałem?

– Hmm – powiedział komputer przekładowy C31 – to uprzejmy odgłos oznaczający u ziemian chwilę zastanowienia.

– Gadanie – przerwał mu Kettelman. – „Hmmm" nie znaczy dosłownie nic. Aha, więc potrzebuje pan paliwa?

– Tak, pułkowniku, potrzebuję – odparł Detringer. – Z różnych oznak zewnętrznych wnioskuję, że nasze systemy napędowe są porównywalne.

– System napędowy „Jenny Lind"... – zaczął C31.

– Chwileczkę, to jest tajne – przerwał mu Kettelman.

– Nie, już nie jest – odpowiedział komputer. – Wszyscy na ziemi używają tego systemu od dwudziestu lat i został w ubiegłym roku oficjalnie odtajniony.

– Tak jak myślałem – powiedział Detringer. – Nie będę nawet musiał zmieniać składu paliwa. Mogę użyć tak, jak jest. Naturalnie o ile mi użyczycie.

– Z tym nie ma problemu – odrzekł Kettelman – paliwa mamy dość. Ale przedtem musimy omówić kilka spraw.

– Na przykład?

– Na przykład: czy danie panu paliwa będzie służyło sprawie naszego bezpieczeństwa.

– Nie widzę tu żadnego problemu – odparł Detringer.

– To dziwne. Ferlang jest najwyraźniej planetą o wysoko rozwiniętej cywilizacji technicznej. Jako taka może stanowić dla nas potencjalne zgrożenie.

– Drogi pułkowniku, nasze planety należą do różnych galaktyk.

– Cóż z tego. My, Amerykanie, zawsze walczymy tak daleko od domu, jak tylko to jest możliwe. Być może wy z Ferlang robicie tak samo. Jaką przeszkodę stanowi odległość, skoro można ją pokonać?

Detringer opanował się i odpowiedział:

– Jesteśmy rasą pokojowo usposobioną, nastawioną na obronę i głęboko zainteresowaną w rozwoju przyjaźni i współpracy międzygwiezdnej.

– Tak pan mówi, ale skąd mogę być pewien, że to prawda?

– Pułkowniku, czy pana zachowanie nie jest przypadkiem... – Detringer szukał przez chwilę odpowiedniego sformułowania i wreszcie wybrał nieprzetłumaczalne w sensie dosłownym – „urmuguahtt"?

C31 podsunął właściwe słowo:

– Zastanawia się, czy pana zachowanie nie jest z lekka paranoiczne.

Kettelman najeżył się. Nic go tak bardzo nie wyprowadzało z równowagi, jak to, kiedy go uważano za paranoika. Czuł się wtedy szykanowany.

– Tylko niech mnie pan nie drażni – ostrzegł złowrogo. – Dlaczego na przykład nie miałbym kazać pana zabić, a pańskiego statku zniszczyć do najdrobniejszej części w interesie bezpieczeństwa Ziemi? Do czasu kiedy pańscy ludzie się tu zjawią, nas już dawno nie będzie i Ferlangerzy, czy jak tam się nazywacie, ni cholery się o nas nie dowiedzą.

– Naturalnie, że moglibyście tak postąpić – powiedział Detringer – gdyby nie to, że zawiadomiłem swoich o was drogą radiową, jak tylko zobaczyłem wasz statek, i byłem z nimi w łączności radiowej aż do chwili kiedy przyszedłem na spotkanie z wami. Przekazałem Dowództwu Bazy wszelkie możliwe informacje na wasz temat, łącznie z oceną typu waszego słońca na podstawie waszego wyglądu zewnętrznego, jak również i kierunku, w jakim znajduje się wasza planeta – na podstawie analizy ścieżki jonowej.

– Bystry z pana facet – powiedział złośliwie Kettelman.

– Zawiadomiłem też ich, że poproszę was o udzielenie mi paliwa z waszych najwyraźniej obfitych zasobów. Poczytają wam to za szczególnie nieprzyjazny akt, jeśli mi odmówicie tej uprzejmości.

– O tym nie pomyślałem – rzekł Kettelman. – Hmm. Mam rozkaz niewywoływania żadnych międzygwiezdnych niesnasek.

– No więc? – Detringer zawiesił głos.

Zaległa długa, niezręczna cisza. Kettelman zżymał się na samą myśl, o tym, że mógłby udzielić na dobrą sprawę wojskowej pomocy osobnikowi, który kto wie, czy nie okaże się jego najbliższym wrogiem. Z drugiej strony nie wiedział, jak z tego wybrnąć.

– W porządku – powiedział wreszcie – jutro przyślę panu paliwo.

Detringer podziękował i całkiem otwarcie i szczerze zaczął mówić o ogromnych rozmiarach i skomplikowanych rodzajach broni kosmicznych sił zbrojnych Ferlang. No, powiedzmy, że trochę przesadził. W gruncie rzeczy nie powiedział ani słowa prawdy.

III

Wczesnym rankiem do statku Detringera przyszedł ziemianin z kanistrem paliwa. Detringer poprosił go, żeby je zostawił gdziekolwiek, ale osobnik nalegał, że osobiście wniesie kanister do maleńkiej kabiny sportolotu i wleje paliwo do zbiornika. Taki ma rozkaz od pułkownika – powiedział.

– To dopiero początek – zwrócił się Detringer do Ichora. – Jeszcze ze sześćdziesiąt takich baniek.

– Ale dlaczego przysyłają nam po jednej ? – zainteresował się Ichor. – To bardzo nieekonomicznie.

– Nie wiadomo. Zależy, co Kettelman chce osiągnąć.

– Co pan ma na myśli?

– Nic. Mam nadzieję. Poczekamy, zobaczymy.

Czekali, mijały godziny. Wreszcie nastał wieczór, ale paliwa już więcej nie przysłano. Detringer poszedł do statku ziemskiego, odsunął na bok dziennikarzy i zażądał rozmowy z Kettelmanem.

Ordynans zaprowadził go do kabiny pułkownika. Pokój był urządzony z dużą prostotą. Na ścianie wisiało kilka pamiątek – dwa rzędy odznaczeń na czarnym aksamicie w solidnej złoconej ramce, fotografia dobermana pinczera z obnażonymi kłami i wysuszona głowa – trofeum z oblężenia Tegucigalpy. Sam pułkownik, rozebrany do szortów koloru khaki, ściskał w każdej dłoni i w każdej stopie po kauczukowej piłeczce.

– Słucham, Detringer, co mogę dla pana zrobić?

– Przyszedłem zapytać, dlaczego przestał pan przysyłać mi paliwo.

– O? - Kettelman wypuścił wszystkie piłeczki na raz i usiadł w dyrektorskim skórzanym fotelu z jego nazwiskiem wytłoczonym na oparciu. – Odpowiem panu na to pytanie pytaniem. Jak pan mógł nawiązać łączność radiową ze swoimi ludźmi nie mając żadnego sprzętu radiowego?

– A kto mówi, że ja nie mam żadnego sprzętu radiowego?

– Z tą pierwszą porcją paliwa wysłałem do pana inżyniera Delgado. Miał się zorientować, jakiego pan używa sprzętu. Powiedział mi, że na pańskim statku nie ma ani śladu urządzeń radiowych. Inżynier Delgado jest ekspertem od tych spraw.

– Mamy sprzęt zminiaturyzowany – odpowiedział Detringer.

– My też. Ale to i tak wymaga wielu elementów, których u pana nie widać. Dodam jeszcze, że odkąd zbliżyliśmy się do tej planety, prowadzimy nasłuch na wszystkich długościach fal radiowych. Nie natrafiliśmy na żadne transmisje.

Detringer powiedział:

– Mogę wszystko wyjaśnić.

– Bardzo proszę.

– To jasne. Kłamałem.

– Tyle wiem. Ale to niczego nie tłumaczy.

– Jeszcze nie skończyłem. My, Ferlangowie, też mamy swoje siły bezpieczeństwa, pan rozumie. Dopóki nie dowiemy się o was czegoś więcej, zdrowy rozsądek wymaga, żebyśmy się sami nie odsłaniali. Wasza naiwność, której dowiedliście wierząc, że posługujemy się tak prymitywnym systemem łączności jak radio, byłaby dla nas okolicznością pomyślną w przypadku gdybyśmy się mieli kiedykolwiek spotkać na stopie nieprzyjaznej.

– To wobec tego jak się komunikujecie? Czy może wcale?

Detringer zawahał się, po czym odparł:

– Myślę, że to by nie miało żadnego znaczenia nawet gdybym panu powiedział. Prędzej czy później sami byście odkryli, że my się porozumiewamy drogą telepatyczną.

– Telepatyczną? Twierdzi pan, że potraficie przesyłać na odległość myśli?

– Otóż to – odparł Detringer.

Kettelman wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym zapytał:

– Okay. A co ja wobec tego w tej chwili myślę?

– Pan myśli, że jestem kłamcą.

– Zgadza się.

– Ale to było oczywiste i tej wiadomości nie uzyskałem czytając pańskie myśli. My, Ferlangowie mamy zdolności telepatyczne tylko wewnątrz naszego gatunku.

– Wie pan co – powiedział Kettelman – ja w dalszym ciągu uważam, że jest pan cholernym łgarzem.

– Oczywiście. Problem polega na tym, czy jest pan pewien.

– Jestem cholernie pewien – odparł Kettelman ponuro.

– Ale czy to jest wystarczające? To znaczy z punktu widzenia waszego bezpieczeństwa. Niech pan pomyśli: jeśli ja mówię prawdę, to wczorajsze powody, żeby dać mi paliwo, są równie ważne i dzisiaj. Zgadza się pan ze mną?

Pułkownik niechętnie skinął głową.

– Jednocześnie, jeśli ja kłamię, a wy mi dacie paliwa, to i tak nic złego dla was z tego nie wyniknie. Pomoże pan drugiemu w potrzebie zobowiązując tym samym wobec siebie mnie i moich ziomków. To obiecujący początek wzajemnych stosunków pomiędzy naszymi rasami. A ponieważ obie prą coraz głębiej w kosmos, nasze spotkanie jest prędzej czy później nieuchronne.

– Zgadzam się, że jest nieuchronne – odparł Kettelman – ale mogę tu przynajmniej pana przytrzymać i opóźnić oficjalne kontakty do chwili, kiedy będziemy lepiej przygotowani.

– Proszę, niech pan próbuje opóźniać te kontakty – rzekł Detringer – ale i tak może do nich dojść w każdej chwili. A ma pan przynajmniej okazję zrobić dobry początek. Następnym razem okoliczności mogą nie być dla was takie pomyślne.

– Hmmm – mruknął Kettelman.

– O, właśnie dlatego ma pan powody pomóc mi, nawet jeśli kłamię. Ale, proszę pamiętać: ja jednak mogę mówić prawdę. W tej sytuacji pańska odmowa będzie uważana za akt wielkiej wrogości.

Pułkownik przemierzył wąski pokój tam i z powrotem, potem odwrócił się w miejscu i rzucił z furią:

– Pańska argumentacja jest cholernie logiczna!

– Moje szczęście, że akurat logika mi sprzyja.

– Ma rację – wtrącił komputer przekładowy C31 – to znaczy z tą logiką.

– Zamknij się! – warknął Kettelman.

– Myślałem, że podkreślanie takich rzeczy należy do moich obowiązków – bronił się C31.

Pułkownik przestał spacerować i potarł czoło.

– Wynoś się, Detringer – powiedział znużonym głosem. – Przyślę ci paliwo.

– Nie pożałuje pan tego.

– Już tego żałuję. A teraz proszę, niech pan sobie idzie.

Detringer pospieszył do swojego statku i zakomunikował Ichorowi dobrą nowinę. Robot był zdziwiony.

– Nie sądziłem, że on to zrobi.

– On też nie sądził. Ale zdołałem go przekonać. – Opowiedział Ichorowi swoją rozmowę z pułkownikiem.

– To znaczy, że pan kłamał – rzekł ze smutkiem Ichor.

– Tak. Ale Kettelman wie, że kłamałem.

– To dlaczego chce panu pomóc?

– Ze strachu, że jednak mógłbym mówić prawdę.

– Panie, kłamstwo jest zarówno grzechem, jak i przestępstwem.

– Ale skazać się na pozostanie tutaj byłoby czymś gorszym – odrzekł Detringer. – Byłaby to niewybaczalna głupota.

– Nie jest to pogląd ortodoksyjny.

– Myślę, że możemy sobie darować dalsze dyskusje na temat ortodoksyjności. Mam robotę. A ty mógłbyś się przejść i skombinować mi coś do jedzenia.

Służący usłuchał w milczeniu i Detringer zasiadł z atlasem gwiezdnym, żeby opracować jakąś trasę na wypadek gdyby mógł się stąd ruszyć.

Wstał ranek, pogodny i wspaniały. Ichor poszedł na ziemski statek pograć w szachy z robotem-pomywaczem, z którym zawarł znajomość poprzedniego dnia. Detringer czekał na paliwo.

Nie był tak bardzo zdziwiony, kiedy do południa żadne paliwo nie nadeszło. Ale poczuł się zawiedziony i przybity. Odczekał jeszcze dwie godziny i poszedł na „Jenny Lind".

Wszystko na to wskazywało, że jest tam oczekiwany, ponieważ z miejsca zaprowadzono go do messy oficerskiej. Kettelman siedział w głębokim fotelu. Po obu jego stronach stali uzbrojeni żołnierze piechoty morskiej. Pułkownik miał surową minę, ale jednocześnie na jego pobrużdżonym obliczu igrał złośliwy uśmieszek. Obok siedział kapitan Macmillan, którego przystojna twarz była nieprzenikniona.

– Słucham, Detringer – odezwał się pułkownik. – O co tym razem chodzi?

– Przyszedłem spytać o paliwo, które mi pan obiecał. Ale już teraz widzę, że pan nie zamierza dotrzymać słowa.

– Źle mnie pan zrozumiał. Uczciwie zamierzałem dać paliwo przedstawicielowi sił zbrojnych Ferlang. Ale osoba, którą widzę przed sobą, nikim takim nie jest.

– A kogo pan wobec tego widzi przed sobą? – zapytał Detringer.

Kettelman opanował nieprzyjemny uśmieszek.

– Widzę przed sobą kryminalistę z wyroku sądu najwyższego jego własnego ludu. Przestępcę, którego czyny zostały uznane za nie mające precedensu w rocznikach nowoczesnego wymiaru sprawiedliwości Ferlang. Osobnika, którego niewysłowione zachowanie zasłużyło na najwyższy wymiar kary znany jego ziomkom – wieczne wygnanie w głęboki kosmos. Oto jest właśnie ktoś, kogo przed sobą widzę. Czy może pan zaprzeczyć?

– Chwilowo ani nie zaprzeczam, ani nie potwierdzam. Chciałbym się najpierw dowiedzieć źródła pańskich szczególnych informacji.

Pułkownik Kettelman skinął w stronę jednego ze swoich żołnierzy. Żołnierz otworzył drzwi i wprowadził Ichora, w ślad za którym szedł robot-pomywacz.

Mechaniczny sługa wybuchnął:

– Panie, podałem pułkownikowi Kettelmanowi prawdziwy przebieg wydarzeń, które doprowadziły do pańskiego wygnania na tę planetę. Proszę o wyrażenie zgody na skorzystanie przeze mnie z przywileju, jakim jest prawo do samozniszczenia – a to wszystko w akcie częściowego chociaż zadośćuczynienia za moją nielojalność.

Detringer milczał, z wściekłością myśląc, co by tu zrobić. Kapitan Macmillan nachylił się do Ichora i zapytał:

– Dlaczego zdradziłeś swego pana?

– Nie miałem wyboru, panie kapitanie! – wykrzyknęła nieszczęsna maszyna. – Zanim władze Ferlang wyraziły zgodę na to, żebym towarzyszył mojemu panu, w określony sposób mnie zaprogramowały. Ich polecenia zostały wzmocnione skomplikowanymi układami.

– Co to za polecenia?

– Sprowadzają się one do narzucenia mi roli zwykłego policjanta i stróża więziennego. Zażądano ode mnie, żebym natychmiast podjął odpowiednie kroki, gdyby Detringer jakimś cudem znalazł sposób na uniknięcie słusznej kary.

– On mi to wszystko wygadał wczoraj, kapitanie – wybuchnął robot-pomywacz. – Błagałem go, żeby nie wykonywał tych rozkazów. Wyglądało mi to na kiepski show, panie kapitanie, jeśli pan wie, co mam na myśli.

– I rzeczywiście, jak długo mogłem, powstrzymywałem się przed wykonaniem tych rozkazów – rzekł Ichor – ale w miarę jak szanse ucieczki mego pana stawały się coraz realniejsze, imperatyw, by jej zapobiec, przybierał we mnie na sile. Mogłoby mnie przed tym powstrzymać jedynie usunięcie pewnych obwodów.

Na to wtrącił się robot-pomywacz:

– Chciałem go zoperować, panie kapitanie, mimo że jedyne narzędzia, jakimi dysponuje, to łyżki, noże i widelce.

– I ja bym się chętnie poddał takiej operacji, ja nawet chciałem dokonać aktu samozniszczenia po to, żeby z mojego mimowolnego zdradzieckiego pudła dźwiękowego nie wyszło ani jedno słowo. Ale władze Ferlang przewidziały i to. Zastosowano wobec mnie przymus niedopuszczania do jakiegokolwiek grzebania w moim mechanizmie czy tym bardziej zniszczenia, dopóki nie wykonam poleceń. Mimo to wstrzymywałem się aż do dziś rana i kiedy wreszcie, na skutek tego konfliktu wewnętrznego, rozładowałem się prawie zupełnie, poszedłem do pułkownika Kettelmana i wszystko mu powiedziałem.

– I oto koniec tej żałosnej historii – Kettelman zwrócił się do kapitana.

– Niezupełnie koniec – powiedział łagodnie Macmillan. – Na czym dokładnie polegały pańskie zbrodnie, Detringer?

Detringer wyrecytował je pewnym głosem – poczynając od aktów szczególnego chamstwa poprzez świadome nieposłuszeństwo aż do ostatniego wykroczenia – jawnego gwałtu. Ichor skinął głową w pełnym rezygnacji potwierdzeniu.

– Wydaje mi się, że to wystarczy – oświadczył Kettelman. – Pozwolę sobie teraz ogłosić wyrok w tej sprawie.

– Chwileczkę, pułkowniku – przerwał mu kapitan Macmillan i zwrócił się do Detringera: – Czy służy pan obecnie albo czy może kiedykolwiek pan służył w siłach zbrojnych Ferlang?

– Nie – odparł Detringer i Ichor potwierdził prawdziwość tej informacji.

– A więc ten osobnik jest cywilem – rzekł kapitan Macmillan – i jako taki musi być sądzony raczej przez władze cywilne niż wojskowe.

– Ja nic o tym nie wiem – odezwał się Kettelman.

– Sprawa jest zupełnie jasna. Detringer jako cywil został osądzony przez sądy cywilne. A nasze narody nie są w stanie wojny ze sobą. Jego sprawa nie podlega więc jurysdykcji wojskowej.

– Ale ja mimo to uważam, że powinna być w moich kompetencjach. W niczym panu nie ujmując, kapitanie, lepiej się na tym znam...

– Ja sprawę rozstrzygnę – uciął Macmillan – chyba że zechce pan siłą przejąć dowództwo statku.

Kettelman potrząsnął głową. – Nie zamierzam w ten sposób plamić swego honoru. Proszę, kapitanie, niech pan go sądzi.

Kapitan Macmillan zwrócił się do Detringera:

– Musi pan zrozumieć, że nie mogę kierować się w tej sprawie moimi osobistymi sympatiami. Pańskie władze pana skazały i uchylenie tego wyroku byłoby z mojej strony niewskazane, aroganckie i niepolityczne.

– Święta racja – wtrącił Kettelman.

– Dlatego utrzymuję w mocy wyrok wiecznego wygnania, ale będę go egzekwował znacznie surowiej niż dotychczas.

Pułkownik uśmiechnął się złośliwie. Ichor wydał odgłos rozpaczy. Robot-pomywacz szepnął: „Biedak!" Detringer stał niewzruszenie patrząc kapitanowi w oczy.

Macmillan powiedział:

– Wyrokiem tego sądu więzień ma dalej przebywać na wygnaniu. Co więcej, sąd stwierdza, że pobyt więźnia na tej przyjemnej planecie jest przywilejem, którego udzielenie nie leżało w intencjach władz Ferlang. Dlatego, Detringer, musi pan niezwłocznie opuścić to miejsce i wrócić w całkowite odosobnienie przestrzeni kosmicznej.

– No, to go pan załatwił – skomentował pułkownik Kettelman. – Nie sądziłem jednak, kapitanie, że będzie pana na to stać.

– Cieszę się, że jest pan zadowolony – odparł kapitan. – Dlatego proszę, żeby pan dopilnował wykonania wyroku.

– Z przyjemnością.

– Mam nadzieję – podjął Macmillan – że z pomocą swoich ludzi zdoła pan napełnić zbiorniki paliwa Detringera w ciągu jakichś dwóch godzin. Po zakończeniu tankowania więzień jest zobowiązany natychmiast opuścić planetę.

– Nie ma obawy, wyprawię go jeszcze przed nocą – powiedział Kettelman, gdy nagle uderzyła go pewna myśl. – Jak to tankowania?! Przecież to jest właśnie to, o co mu chodziło od samego początku.

– Sądu nie interesuje, o co chodzi skazanemu – orzekł kapitan Macmillan. – Życzenia skazańca nie mają tu nic do rzeczy.

– Człowieku, ale czy pan nie widzi, że pan go zwalnia? – zaperzył się Kettelman.

– Ja mu umożliwiam odejście, a to zupełnie co innego.

– Zobaczymy, co na to powiedzą tam na Ziemi – rzekł złowieszczo Kettelman.

Detringer skłonił się, wyrażając w ten sposób poddanie się wyrokowi. A następnie z trudem zachowując powagę, opuścił ziemski statek.

Z zapadnięciem nocy wystartował. Towarzyszył mu wierny Ichor – tym wierniejszy teraz, że wolny od nakazów. Wkrótce znaleźli się w głębokiej przestrzeni kosmicznej i robot zapytał:

– Panie, a dokąd my lecimy?

– Na jakiś nowy wspaniały świat – odparł Detringer.

– Czy może raczej na śmierć?

– Może. Ale ze zbiornikami pełnymi paliwa nie mam zamiaru się tym przejmować.

Milczeli przez chwilę, po czym odezwał się Ichor:

– Mam nadzieję, że kapitan Macmillan nie będzie miał z tego powodu kłopotów.

– Wygląda na faceta, który wie, co robi – odrzekł Detringer.

Na Ziemi czyn kapitana Macmillana był przedmiotem licznych kontrowersji. Zanim jednak zdołano podjąć jakąś oficjalną decyzję, doszło do drugiego, tym razem oficjalnego, spotkania pomiędzy Ferlang i Ziemią. Sprawa Detringera w sposób oczywisty wyszła na szersze forum i została uznana za zbyt skomplikowaną, żeby ją można było szybko rozstrzygnąć. Przekazano ją więc ciału prawnemu składającemu się z przedstawicieli obu cywilizacji.

Ten przypadek dostarczył pełnoetatowego zajęcia pięciuset sześciu prawnikom z Ziemi i z Ferlang. Jeszcze wiele lat później trwały spory na ten temat, ale do tego czasu Detringer znalazł już cichą przystań i przyzwoitą pozycję wśród ludów Oumenke na rubieżach galaktyki.

Przełożyła **Zofia Uhrynowska-Hanasz**

Czy znacie to obezwładniające uczucie przerażenia, które opanowuje człowieka, kiedy musi wyłożyć ogromną sumę pieniędzy na coś, czego już w tym momencie tak naprawdę wcale nie pragnie? To właśnie odczuwał Hartstein. Strach siedział mu w żołądku, a jego ręka, gdy podawał swoją kartę mężczyźnie za kontuarem, silnie drżała.

Urzędnik uśmiechnął się niesympatycznie. Ubrany był w uniform Agencji, srebrnobłękitny mundur ze skórzanym kołnierzykiem. Na piersi widniało pięć rzędów baretek wskazujących na jakieś całkowicie tajemnicze stanowisko czy funkcję.

Człowiek ten był najwyraźniej zatwardziałym weteranem Agencji. Hartsteinowi wydało się dziwne, że ktoś taki występuje w roli zwykłego urzędnika z biura podróży lub sprzedawcy biletów lotniczych.

– Czy chce się pan jeszcze zastanowić? – zapytał przedstawiciel Agencji.

– Nie – odpowiedział Hartstein. Nie chciał pokazać temu wyjadaczowi, że na samą myśl o podróży w czasie czuje się niepewnie. Miał stracha, ale nie na tyle, żeby to zmieniło jego decyzję. Tym co naprawdę nią zachwiało, były nie grożące niebezpieczeństwa, ale koszt wycieczki.

Możliwe jednak, że gdzieś głęboko, schowany dokładnie pod warstwami trosk materialnych, czaił się strach,



Ptak czasu niesie gorzki owoc

George Alec Effinger

(The Bird of Time Bears Bitter Fruit)

że i on może znaleźć się wśród tych dwóch procent podróżników, którzy nigdy nie wracają.

Hartstein był młodym człowiekiem, który ukończył właśnie uniwersytet i miał rozpocząć nowe życie zatrudniając się jako pomocnik cukiernika. W prezencie na nową drogę życia otrzymał od swoich dziadków pokaźną sumę pieniędzy, lecz z zaznaczeniem, że ma je wydać na coś, co poszerzy jego horyzonty, przez co rozumieli podróż po Europie lub wycieczkę w przeszłość.

– Marzę o podróży w przeszłość – tłumaczył ojcu. – Europa zawsze będzie tam gdzie jest.

Pan Hartstein rozważył silne pragnienie syna zobaczenia przeszłości, która tak jak on to widział, będzie z a w s z e tam gdzie jest, i powiedział:

– Masz przed sobą wielką przyszłość w wytwórni ciasteczek, synu.

Tak więc Hartstein stał teraz za kontuarem w holu budynku Agencji, wznoszącej się pośrodku placu jej imienia, w samym centrum miasta.

– Czy ma pan ze sobą jakiś bagaż? – zapytał mężczyzna w uniformie.

– Owszem – Hartstein wskazał na walizkę z wytłaczanego plastyku, która stała obok niego. Były tam zapasowe majtki i skarpety, aparat fotograficzny i film oraz parę innych rzeczy, które jak myślał, mogły mu się przydać.

– W czasach starożytnych nie używano plastykowych walizek – zauważył agent.

– Tak, rzeczywiście – Hartstein wyglądał na speszonego.

– Proszę się tym nie przejmować. Dostarczymy panu wszystko, co będzie potrzebne: ubranie, odpowiednie akcesoria, pieniądze i tak dalej. Dostosujemy pana fryzurę i zarost do wymagań ówczesnej mody. Przejdzie pan krótki kurs wiadomości o języku, zwyczajach i stworzymy dla pana odpowiednią legendę. O nic nie musi się pan martwić.

– Ale ja – odpowiedział Hartstein niepewnym głosem – wcale się nie martwię. – Spojrzał na wiszący na ścianie, za plecami urzędnika, napis:

Kiedy w świecie dzieją się wielkie sprawy, okazuje się, że jesteśmy duchami, nie zwierzętami i że coś dzieje się w przestrzeni i czasie i poza przestrzenią i czasem, co, czy lubimy to czy nie, oznacza obowiązek.

Sir Winston Churchill

Czytając te słowa Hartstein poczuł się lepiej, po to zresztą umieszczono je w tym właśnie miejscu.

– No, dobra – powiedział mężczyzna w uniformie i znowu uśmiechnął się ani trochę bardziej miło, niż za pierwszym razem. – Pan jest moim typem człowieka. Proszę nic nie mówić, sam zgadnę czego pan potrzebuje. Chciałby pan odwiedzić albo Bibliotekę Aleksandryjską, albo Katarzynę Wielką.

Hartstein zdziwił się.

– Bibliotekę – przyznał – ale skąd pan wiedział?

– Wy, chłopcy po uniwersytetach, jesteście wszyscy tacy sami. OK, proszę wziąć ten kwit i pójść na dziewiąte piętro, pokój 972. Tam dostanie pan wszystkie potrzebne papiery. W podróż może pan się udać, kiedy pan tylko zechce, musimy być jednak o tym powiadomieni na dwadzieścia cztery godziny wcześniej. Przychodzi pan, odbywa sesję ESM, bierze potrzebne rzeczy i zostaje wypchnięty przez ekran na pański dzień w przeszłości. Nie...

– Czy mógłbym to zrobić dzisiaj?

– Co?

Hartstein przełknął ślinę.

– Czy mogę tego nie odkładać?

Agent wzruszył ramionami.

– Ależ tak, oczywiście. Tak się panu śpieszy? Biblioteka nigdzie nie ucieknie.

– Ale spali się, nieprawdaż?

– Obiecali, że poczekają z tym aż pan opuści miasto.

– Wspaniale.

Urzędnik wręczył mu kwit.

– Teraz proszę pójść na górę. I powodzenia. Następny?

Zanim winda wywiozła go na dziewiąte piętro, w umyśle Hartsteina zrodziła się niepokojąca myśl. Wyobra-

ził sobie, że podczas gdy taka masa osób podróżuje w tę i z powrotem przez czas, studenci i profesorowie, uciekający zbrodniarze, turyści, archeologowie i wszyscy ludzie będący na bakier z własną osobowością, oraz dodając do tego fakt, że Biblioteka Aleksandryjska była tak popularną atrakcją, to muszą być to tysiące i tysiące współczesnych mu ludzi tłoczących się w jej budynku, ramię przy ramieniu, stanowiących niezłe przedstawienie dla rzeczywistych mieszkańców tamtego okresu. To przedziwne, że Agencja sama dotąd na to nie wpadła. Hartstein czuł, że musi komuś o tym powiedzieć, zanim on także uda się w przeszłość i będzie musiał wywalczyć sobie drogę wśród tłumów.

Piętra od siódmego do osiemnastego zajmowały pomieszczenia przeznaczone dla tych, którzy chcieli odwiedzić Bibliotekę Aleksandryjską. Korytarze były pełne ludzi, między którymi Hartstein musiał się przepychać, ściskając w dłoni kwit i szukając pokoju 972. Zastanawiał się, czy oni wszyscy będą przechodzić przez ekran w tym samym czasie co on i czy zjawią się wobec tego w Aleksandrii razem, jak pielgrzymka lub wycieczka szkolna. W jaki sposób Agencja zaaranżuje przybycie takiej ilości osób, żeby wyglądało to naturalnie? Rozejrzał się. Byli tu ludzie wszystkich ras i narodowości. Czuł, że on sam wtopiłby się jakoś w środowisko Aleksandrii, o ile oczywiście ktoś z miejscowych nie przyjrzałby mu się z bliska. Wysocy, o jasnych włosach i niebieskich oczach mogliby uchodzić za germańskich najemników w rzymskich legionach. A Murzyni mogli udawać Nubijczyków lub egzotycznych królów z nieznanych lądów. Ale co robiono z ludźmi o rysach orientalnych? Albo z Indianami? Albo...

Pokój 972 był dość duży. Jedną stronę zajmowało biurko, zwrócone dłuższym bokiem w kierunku stojących przed nim rzędów ławek. Wyglądało to jak pomieszczenie w Urzędzie Skarbowym, do którego zapraszają nas, gdy chcą nam zadać parę wścibskich pytań. Hartstein znowu poczuł swój żołądek. Powiedział sobie, że nie ma żadnego powodu do niepokoju, ale nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, że zagraża mu niebezpieczeństwo. Katastrofa, którą sam sobie ściągnął na głowę, płacąc za to na dodatek pieniędzmi swoich dziadków.

– Czym mogę panu służyć? – zapytała go młoda kobieta. Wyglądała na bardzo znudzoną. Ubrana była w taki sam srebrnobłękitny uniform, ale bez naszywek. Także krój stroju był mniej surowy, co ujawniało pewne cechy jej charakteru. Kiedy oczy Hartsteina zwróciły się od kipiącego tłumu na atrakcyjną urzędniczkę, część jego niepokoju się ulotniła.

– Wybieram się do...

– Do Biblioteki, wiem. Proszę o żółtą kartę. – Podał jej kwit. – Kiedy chce pan wyruszyć?

– Jeżeli to możliwe to jeszcze dzisiaj.

Spojrzała na niego i strzeliła gumą do żucia. Odrobinę uniosła w górę jedną brew.

– Tak się panu spieszy? – zapytała.

Hartstein wzruszył ramionami. W tym pokoju również wisiał oprawny w ramy napis:

Ptak czasu nie ma długiej drogi,
by lecieć... i patrz! Już niosą go skrzydła.

Omar Khayyam

Hartstein nie znalazł w tych słowach żadnego sensu.

– Dzisiaj – powiedziała urzędniczka. – Zaraz zobaczymy.

Sprawdziła kilka kartek przypiętych do tablicy i zajrzała do czarno oprawnego w plastyk notesu.

– No, ma pan szczęście. Nie będzie z tym właściwie żadnego problemu. Jest... zaraz... jest prawie jedenasta. Będzie więc pan gotowy przed drugą. W przeszłości spędzi pan dokładnie dwadzieścia cztery godziny. Jeżeli więc opuści pan teraźniejszość o drugiej, również o drugiej znajdzie się pan tu z powrotem. Zgadza się?

– Rozumiem – odpowiedział Hartstein.

– Czy zostaje tu ktoś, nad kim sprawuje pan opiekę? Zresztą, wszystko jest w tych papierach. Więc, czy jest jeszcze coś, co chciałby pan zmienić? To jest pana ostatnia szansa.

Hartsteina zaniepokoiły jej ostatnie słowa.

– Jak to moja ostatnia szansa? – spytał.

Zniecierpliwiona spojrzała w sufit.

– Nie można przecież zacząć krzyczeć: „Chwileczkę, zapomniałem o czymś", kiedy się już przechodzi przez ekran. Jeżeli wolałby pan zamiast Biblioteki obejrzeć dajmy na to zamach na Juliusza Cezara, to lepiej podjąć decyzję już teraz. Nie chcemy wysłuchiwać skarg i narzekań po powrocie.

Pomysł z Juliuszem Cezarem i Brutusem, i mową pogrzebową Marka Antoniusza wydał się Hartsteinowi bardzo pociągający, więc rozważał go przez chwilę.

– Ale gdybym była na pana miejscu – dodała urzędniczka – raczej bym nie zmieniała decyzji. W Bibliotece można spędzić cały dzień. Cesarz pada i umiera w ciągu minuty, a potem wszyscy rozchodzą się na obiad. A to, co się ogląda przez resztę dnia, można równie dobrze zobaczyć na wystawie sklepu z pamiątkami w holu budynku Agencji.

– Ma pani rację. Będę się trzymał pierwotnego planu.

– No to w porządku – powiedziała. – Z tym kwitem przejdzie pan teraz przez te obrotowe drzwi, a następnie proszę iść wzdłuż żółtej linii aż do biura sierżanta Brannicka. Życzę miłego pobytu w Aleksandrii.

Jak za naciśnięciem guzika wyraz nudy pojawił się znowu na jej pospolitej twarzy.

Hartstein zawahał się, złożył żółty papier na pół, potem jeszcze raz na pół i jeszcze raz.

– Zanim pójdę – odezwał się – chciałbym zadać pani pytanie.

– Osobiste? – kobieta spojrzała na niego podejrzliwie.

– Nie. Po prostu chciałbym wiedzieć, czy kiedy znajdę się w Bibliotece, to będzie tam również cały ten tłum ludzi? Mam na myśli ludzi stąd, takich samych turystów jak i ja. Przecież muszą być miliony takich, którzy się tam udali. Miałem wykładowcę historii, który spędził w Bibliotece tydzień. Sądzę, że Agencja powinna się nad tym zastanowić, zanim tam w przeszłości spowodujemy zamieszanie. Agencja robi cudowne rzeczy, to nie ulega wątpliwości, ale może przeoczyła ten jeden mały problem. Jestem pewien, że można to jakoś rozwiązać, jeżeli się nad tym trochę pomyśli.

Wolno pokręciła głową.

– Naprawdę myślał pan, że nikt na to nie wpadł wcześniej? Prymusik? Zawsze mądrzejszy od innych?

Hartstein zaczerwienił się.

– Tego przecież nie powiedziałem. Ja tylko martwiłem się...

Jeszcze raz spojrzała w sufit.

– No to już pan może przestać – powiedziała wzdychając. – To nie ma żadnego znaczenia.

– Oczywiście. Ja tylko... – urwał. Nie bardzo wiedział co chciał powiedzieć.

– Proszę przejść przez te drzwi – wskazała dziewczyna. Nacisnęła przycisk i rozległ się brzęczyk. Hartstein poszedł tam, gdzie mu wskazała i skierował się dalej wzdłuż żółtej linii.

Szedł przez gąszcz wypoliturowanych biurek, który zakończył się nagle ozdobnym dębowym stołem sierżanta Brannicka.

– Proszę o kwit – powiedział sierżant. Był potężnym mężczyzną, tak samo dużym jak agent, który sprzedał Hartsteinowi bilet. I miał na sobie uniform z równie dużą liczbą baretek, jak tamten. Hartsteinowi wydało się dziwne, że Brannick jest zatrudniony jako urzędnik wskazujący drogę turystom. Czyżby Agencja nie potrzebowała doświadczonego personelu pracującego w terenie, patrolującego przejścia czasowe, walczącego z czasowymi terrorystami knującymi niewyobrażalne zbrodnie przeciwko spokojnie śpiącym obywatelom różnych czasów?

– Proszę o kwit – głośniej już powtórzył Brannick.

– Przepraszam – bąknął Hartstein podając żółtą kartkę złożoną w mały schludny kwadracik. – Czy Biblioteka będzie pełna innych ludzi z teraźniejszości, kiedy się tam pojawię?

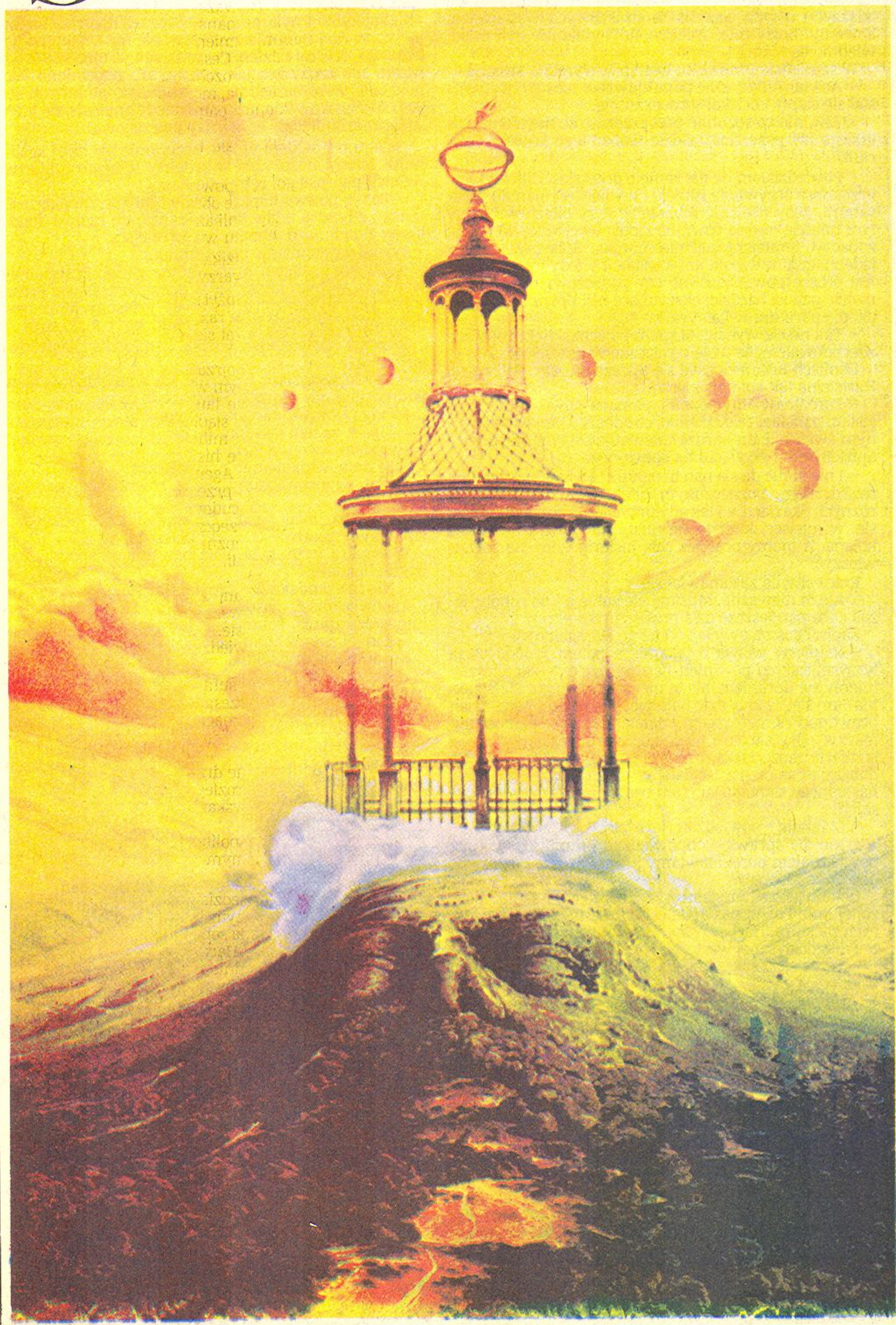
Brannick zmrużył oczy.

– Nie zobaczy pan tam nikogo poza miejscowymi – odpowiedział.

– Co? W jaki sposób? Dlaczego Biblioteka nie jest zapchana ludźmi z naszych czasów jak pudełko sardynkami?

– Ponieważ „przeszłość" nie jest pojęciem obiektywnym i nie istnieje w taki sposób. Niech się pan przyjrzy sprzączce, którą ma pan przy pasku. Subiektywnie jest to łańcuch, chociaż obiektywnie to tylko zbiór połączeń. Z

Siudmak III



czasem jest inaczej, nie jest to ciąg połączeń rozciągających się od „wtedy" do „teraz".

– Ach, rozumiem – powiedział Hartstein, chociaż nie miał najmniejszego pojęcia o czym Brannick mówi. Ale nie chciał mu sprawiać przykrości.

– Nieraz zastanawiałem się nad podróżami w czasie, na czym one polegają i jakie straszne rzeczy mogłyby się zdarzyć i o tych wszystkich straszliwych wypadkach, które by mogły mieć miejsce, gdybyście nie byli odpowiednio ostrożni.

W sierżancie Brannicku nastąpiła wyraźna zmiana.

– Ach tak? Interesuje pana zjawisko czasu? – jego głos stał się ciepły i ociekał serdecznością.

– Tak. Ale co rozumie pan przez to, że nie ma czegoś takiego jak przeszłość. Gdzie wobec tego ja się wybieram?

– Powiedziałem, że nie istnieje przeszłość obiektywna. Przeszłość oczywiście istnieje i wybiera się pan do Aleksandrii, żeby obejrzeć Bibliotekę. Przy okazji wizyty w tym mieście można również zrobić wycieczkę do Faras, zobaczyć tamtejszą latarnię morską. Była uważana za jeden z cudów świata antycznego. I wtedy jeszcze stała. Ale proszę powiedzieć mi, czy podróżowanie w czasie uważa pan za bardziej ekscytujące niż, powiedzmy, spędzenie paru dni w Las Vegas?

– Tak mi się wydaje. Mogłem pojechać do Europy, ale zdecydowałem, że wolę wycieczkę w przeszłość.

Uśmiech Brannicka stał się jeszcze szerszy. Patrzył na Hartsteina jak kot na szperkę.

– Porozmawiamy później, po pana powrocie. Ciekaw jestem pańskiej reakcji na to, co zobaczy pan w starożytnym świecie. Sam bardzo interesuję się tym okresem. – Spuścił oczy i wyglądał na speszonego.

– I niech nie da się pan tu ogłupić. Można być młodym twardzielem, poznaczonym bliznami zdobytymi przy różnych okazjach, a i tak gdy przychodzi do skoku w czasie, w miejsce, którego się nigdy nie widziało, miękną kolana. A mamy przecież całą historię, żeby się po niej włóczyć.

Przez chwilę zastanawiał się.

– Ale to nieważne. Musimy się zabierać do roboty, jeżeli chce pan jeszcze dziś przejść przez ekran.

Zapisał coś na kwicie i oddał go Hartsteinowi.

– Najpierw wizyta u lekarza, a potem krótka lekcja wszystkiego, co powinien pan wiedzieć. Na końcu zajmiemy się ubraniem, ale to nie potrwa długo. Biała suknia – myślę, że to będzie najlepiej pasowało – będzie pan prawdopodobnie kupcem z dalekich krajów, to może tłumaczyć obcy akcent i nieznajomość obyczajów. Trochę biżuterii, może laska – nie, to dobre dla starszych. No dobrze, teraz proszę iść dalej wzdłuż tej żółtej linii aż do następnego stanowiska. Tam będzie punkt badań lekarskich.

– Dziękuję – powiedział Hartstein.

– Nie ma sprawy – odpowiedział Brannick. – Jak już powiedziałem porozmawiamy jutro. I proszę pozdrowić ode mnie Kleopatrę.

Doktor kazał Hartsteinowi rozebrać się i stanąć przy żółtej linii. Potem nastąpiła cała masa upokorzeń, z których niektóre, Hartstein był tego pewien, nie miały żadnej diagnostycznej wartości.

– Teraz zastrzyk – odezwał się zmęczonym głosem lekarz.

– Na wszystko byłem już szczepiony – zaprotestował Hartstein. – Jeszcze w szkole.

Doktor pokręcił głową.

– Musimy uodpornić pana na takie choroby, które występowały w przeszłości, a dziś już w ogóle nie istnieją. Na niektóre z nich nie mamy żadnej odporności. Bez tych zastrzyków w tydzień po powrocie wyglądałby pan jak portret Doriana Graya.

– Jak co?

Lekarz machnął ręką.

– Proszę się nie ruszać – powiedział.

Następnie żółta linia zaprowadziła Hartsteina do sekcji ESM. Sama procedura była szybka, bezbolesna i miła. Podano mu łagodny środek uspokajający, po którym zapadł w ciepły, spokojny sen trwający tylko parę minut. Nie był pewien, jaka wiedza została mu przekazana przez Elektroniczny Stymulator Mózgu. Ta nazwa brzmiała groźnie, ale Hartstein przyzwyczaił się już do tego zabiegu, przechodząc go kilkanaście razy na różnych etapach zdobywania edukacji. Była to procedura rutynowa i nie obawiał się jej bardziej niż innych sztuczek medycyny. Położył się na leżance powierzając opiekę nad zawartością swojego mózgu technikowi, który przeglądał jego papiery. Godzinę później było już po wszystkim. Znowu ruszył szlakiem wyznaczonym przez żółtą linię. Starał się sprawdzić swoją nową wiedzę testując znajomość języka używanego przez Egipcjan i panujących w Aleksandrii zwyczajów, ale nic z tego nie wychodziło. Trochę się denerwował, że być może ESM tym razem nie zadziałało jak należy, lub popełniono jakiś błąd. Ale pamiętał też, że tak samo było po innych sesjach. Wszystko samo przyjdzie, kiedy znajdzie się już w Aleksandrii i będzie tej wiedzy potrzebował.

Ostatnim punktem w jego programie był dział kostiumów. Młody mężczyzna w świetnie leżącym uniformie Agencji poprosił go, żeby usiadł.

– To nie potrwa długo – powiedział kostiumolog. – Co innego gdy ktoś udaje się do Francji, do czasów feudalnych albo innego interesującego miejsca.

Wydał westchnienie pełne smutku.

– Zawsze chciałem pracować na górze. Przygotowywać ludzi wybierających się w epokę Renesansu. Proszę sobie tylko wyobrazić: te materiały, te fasony. Może pewnego dnia. No, dosyć tych narzekań, oto pański strój.

Wręczył Hartsteinowi wielką, zamkniętą plastykową torbę.

– Czy to wszystko? – zapytał ten z powątpiewaniem. Podrzucił paczkę w ręce. Ważyła tyle co nic.

Młody człowiek wzruszył ramionami.

– Myślę, że tam jest gorąco.

Hartstein otworzył torbę.

– Może powinienem to przymierzyć.

Agent, wyprowadzony już z równowagi, zamknął oczy.

– Jeden rozmiar pasuje na wszystkich – powiedział znużonym głosem. – O, Boże! Dlaczego ja?

Wewnątrz torby była biała bawełniana spódniczka i trochę biżuterii.

– Nie ma sandałów? – zapytał Hartstein.

Młody człowiek masował sobie czoło z wyrazem absolutnego znużenia. Potrząsnął głową.

– Żadnej sukni? Mam chodzić z nagą piersią?

Kostiumolog przytaknął.

– Ale za to jest tu coś na głowę. Coś w rodzaju ręcznika kąpielowego.

– Eee – mruknął Hartstein bez entuzjazmu.

Obejrzał biżuterię: była tam złota bransoleta z wielkim skarabeuszem, inkrustowanym lapis lazuli, był artystycznej roboty naszyjnik z lapisowym księżycem żeglującym na złotej łodzi, były dwa piękne kolczyki, dwa złote sokoły, których skrzydła tworzyły idealne koło inkrustowane kwarcem, fajansem i kolorowym szkłem, był ciężki złoty sygnet z podobizną jakiegoś egipskiego bóstwa. Bezcenna biżuteria kontrastowała z prostą, surową, bawełnianą spódniczką.

– Czy to prawdziwe złoto? – zapytał Hartstein.

– Oczywiście, że tak. Nie można wyjść z tego budynku, zanim się tego nie zwróci. Ale my zawsze możemy jej mieć więcej. Wystarczy po prostu przenieść się do starożytnego Egiptu i wziąć. Czy pomóc panu z tą spódniczką?

– Nie, dziękuję – odpowiedział Hartstein. – Myślę, że dam sobie radę. Ale kim ja mam w zasadzie być?

Mężczyzna w uniformie poskrobał się po swojej rzadkiej brodzie.

– Przypuszczam, że skrybą albo jakimś ważnym niewolnikiem w zamożnym domu. Nie wiem. Ja sam tam nigdy nie byłem.

– Gdy chodziłem na wykłady z historii, parę tygodni poświęcono Egiptowi i widziałem to wtedy – Hartstein trzymał napierśnik – to należało do skarbów króla Tutenchamona.

– To wszystko pochodzi z tego właśnie źródła, mój drogi.

Hartstein gapił się na niego przez chwilę nie rozumiejąc.

– I ja mam w tym wszystkim paradować udając, że należę do średniej klasy i moim hobby jest czytanie klasyków? A poza tym ja wybieram się w okolice roku 50 przed narodzinami Chrystusa, a król Tut żył mniej więcej 1300 lat wcześniej. Całe to przebranie: spódnica i biżu-

teria są anachronizmem. I ten strój na głowie także. Tam, gdzie ja się udaję odczuwane są potężne wpływy greckie i rzymskie.

Kostiumolog ziewnął.

– Nie, nie są.

– Nie? Dlaczego nie?

– Po prostu nie są i to wszystko. Poczekaj aż się tam znajdziesz i wtedy się rozejrzyj. Tylko pamiętaj, mój drogi, że przeszłość nie jest zawsze taka, jak ją sobie wyobrażamy po lekturze różnych książek. To byłoby przerażające.

Hartstein miał coraz więcej złych przeczuć.

– Czy mógłbym prosić o pomoc przy tych kolczykach – powiedział. – Czy za panowania Ptolomeusza znane już były klipsy?

– Nie, oczywiście, że nie, ale jeżeli chcesz, mogę ci przekłuć uszy?

Hartstein pokręcił przecząco głową.

– To zamknij się i stój spokojnie.

Ekran transmisyjny nie robił dużego wrażenia. Hartstein słyszał o nim od dziecka. Widział też jego zdjęcia, ale wyobrażenie, jakie sobie stworzył, bardziej wywodziło się z podniecenia i oczekiwania na przygodę niż z rzeczywistego wyglądu. Przez dwadzieścia minut czekał siedząc na zniszczonej, pomalowanej na zielono ławce, podczas gdy parę dziesiątków innych ludzi nurkowało w różne epoki. Niekiedy łatwo było odgadnąć, gdzie się wybierali widząc ich kostiumy. Pewien otyły łysy mężczyzna w jesieni swego życia odziany był w skórę zwierzęcą i niósł nie ogładzony kamienny topór, dwie nastolatki podróżujące razem, przebrane za dzieci kwiaty, przenosiły się w lata sześćdziesiąte, wysoki, chudy mężczyzna o donośnym, szyderczym głosie nosił togę rzymskiego senatora. Hartstein poczuł się jak odstawiony na bocznicę, rozglądając się po poczekalni i odgadując kultury i epoki reprezentowane przez całą gamę ubiorów. A pochodziły one, jak uprzytomnił sobie, z plastykowych toreb z magazynów Agencji.

Gdy usłyszał swoje nazwisko wstał i podszedł do ekranu.

– Pan Hartstein? Poproszę o pańskie papiery. Dziękuję. OK. Zaraz przeniesie się pan do Aleksandrii. Zjawi się tam pan wczesnym rankiem 15 maja, w 48 roku przed narodzeniem Chrystusa, równo rok przed pożarem Biblioteki podczas oblężenia Aleksandrii przez armię Juliusza Cezara. Czy jest pan gotów?

Hartstein przełknął ślinę. Był potwornie zdenerwowany. Jego żołądek przesyłał mu mocniejsze informacje niż zwykle.

– Czuję się w tym stroju jak błazen – powiedział.

Urzędniczka słyszała to zdanie najprawdopodobniej już wiele razy. Nic nie odpowiedziała. Ujęła go za ramię i popchnęła w stronę migoczącego ekranu. Hartstein zobaczył, że i tu widniał na ścianie napis:

Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate,

Dante Alighieri

Nie znał włoskiego, ale łacina, której liznął trochę na uczelni pomogła mu zrozumieć jedno słowo: „speranza" znaczyło albo „nadzieja", albo „oddech", ale nie pamiętał, które z nich.

– Wróci pan jutro o tej samej godzinie – mówiła urzędniczka. – Nic pan na to nie będzie mógł poradzić. Gdziekolwiek pan będzie i cokolwiek będzie pan robić, zostanie pan przeniesiony tutaj. Proszę próbować kontrolować czas, żeby uniknąć przykrej niespodzianki.

– W porządku – powiedział Hartstein, nie zwracając uwagi na jej słowa, podczas gdy kierował się w stronę czerwonej poświaty.

I w ten sposób znalazł się w Egipcie. Wiedział, że jest właśnie tam, ponieważ widział palmy i wielbłądy. Jego pierwszą myślą było: „Tu jest zupełnie tak, jak sobie wyobrażałem". Stał na długiej, szerokiej ulicy. Rozejrzał się w prawo i w lewo, ale ulica ciągnęła się dalej niż mógł sięgnąć wzrokiem. Po obu jej stronach stały imponujące gmachy, z których, jak uprzytomnił sobie zdziwiony, wszystkie poznawał. Z tyłu za nim stał wielki budynek Sądu, a obok niego publiczne gimnazjum, przed nim po lewej stronie wznosił się słynny amfiteatr, dalej, po przeciwnej stronie ulicy znajdował się stadion miejski i hipodrom, a na wprost niego stała nieśmiertelna Biblioteka. Z nawyku rozejrzał się w obie strony, czy coś nie jedzie i przeszedł na drugą stronę.

Wygląd Biblioteki zadziwił go. W górę, do głównego wejścia prowadziły ogromne, granitowe stopnie, strzeżone przez siedzące po bokach kamienne sfinksy o pogodnym spojrzeniu. „To wygląda jak Miejska Biblioteka Publiczna w Nowym Jorku" – pomyślał. Podobieństwo zwiększały dziesiątki ludzi, którzy obsiedli schody. Były tam młode pary, trzymające się za ręce, grupki rozmawiających ze sobą ludzi, i samotnicy, leniwie przyglądający się życiu głównej ulicy, próżniacy drzemiący na ciepłym słońcu. Wszyscy mężczyźni ubrani byli tak samo jak on – bose stopy, bawełniane spódnice, zawój na głowie i bogata biżuteria. Kobiety bardziej przyciągały uwagę w swych obcisłych, płóciennych sukniach, cienkich szalach okrywających ramiona, szerokich złotych koliach, inkrustowanych napierśnikach, złotych bransoletach pokrywających im ręce od nadgarstków po ramiona i złotych pierścieniach na palcach. Hartstein zauważył, że miejscowa ludność nosi na sobie ogromne ilości złota. Oczy każdego z przechodniów podkreślone były czarną lub zieloną kreską. Wszyscy mężczyźni wyglądali jak faraonowie, a kobiety jak boginie. Spędzali czas ciesząc się ładną pogodą.

Hartstein stał na poboczu wahając się, jakby były w nim dwie osoby. Chciał wbiec po stopniach Biblioteki, żeby dotknąć własnymi rękami straconych, wspaniałych dzieł świata antycznego i jednocześnie odwlec tę chwilę.

– Przepraszam, która godzina? – zwrócił się do niego jeden z siedzących na stopniach mężczyzn. Egipcjanin obejmował ramieniem atrakcyjną, ciemnoskórą młodą kobietę. Gdy odwróciła się bokiem, jej twarz wyglądała jak rysunek na fresku.

Hartstein automatycznie spojrzał na nadgarstek, ale oczywiście nie miał zegarka. Zwrócił więc wzrok ku niebu, żeby ocenić czas według Słońca.

– Przypuszczam, że dziewiąta – odpowiedział.

– Dziękuję, – Egipcjanin wstał podając rękę dziewczynie. – Chodź kochanie, za chwilę otwierają.

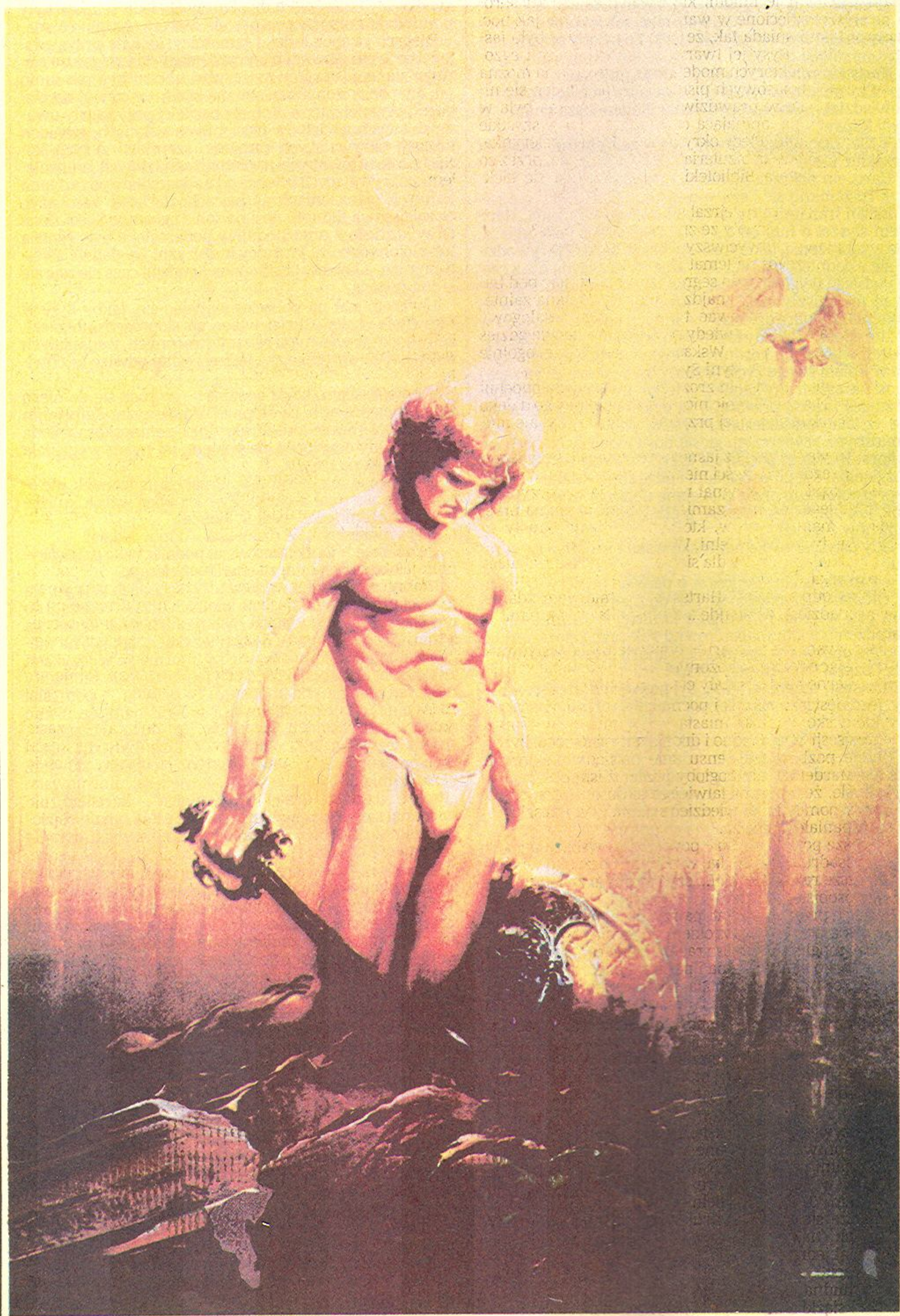
Hartstein minął ich wchodząc po schodach w górę. Na szczycie znajdowało się troje wielkich drzwi. Podszedł do najbliższych. Przyczepiona była na nich mała karteczka z informacją podaną w dwóch językach, tak jak na niektórych lotniskach podawane są informacje w językach angielskim i hiszpańskim. Tutaj jednak były to hieroglify na górze i łacina pod spodem. „To dziwne" – pomyślał Hartstein. „Na lekcjach historii mówili nam, że pismo demotyczne zastąpiło hieroglify już dużo wcześniej". Dzięki seansowi ESM egipskie symbole były dla niego zrozumiałe, podczas gdy jedynym łacińskim słowem, które pamiętał było „ianuam". Karteczka informowała: „Proszę używać drzwi środkowych". Hartstein uśmiechnął się. „Plus ça change, plus c'est la même chose" – mruknął do siebie. Podszedł do środkowych drzwi i pchnąwszy otworzył je.

Wewnątrz było jasno od światła wpadającego przez wielkie okna znajdujące się na każdej ze ścian, wysoko nad półkami z książkami. Hartstein stał w wejściu, sparaliżowany przez moment oszałamiającymi rozmiarami tego gigantycznego pomieszczenia, perspektywą przewertowania tych wszystkich bogactw utraconej mądrości. Zdał sobie sprawę z panującej ciszy, z przenikliwego zapachu starych, rozsypujących się książek. Czuł prawie fizycznie wielkie intelektualne bogactwo tak niedaleko, na półkach, w zasięgu jego rąk i dalej w rzędach po drugiej stronie ogromnego holu, w innych salach, ukrytych za odległymi drzwiami, bogactwo niezliczonych tomów zapomnianych autorów.

I nagle jak grom z jasnego nieba uderzyła go pewna myśl. Tym, co było najbardziej zadziwiające w tej Bibliotece, to uczucie, że miejsce to jest tak mu znajome. To dzięki ESM – powiedział do siebie. Ale to było coś więcej. Nazbyt przypominało jego teraźniejszość. Bardziej niż by przypuszczał.

Na środku ogromnego, otwartego holu stało duże biurko. Siedziały za nim dwie kobiety przeglądające jakieś papiery i książki. Były najwyraźniej tu zatrudnione – Hartsteinowi trudno było na początku nazwać je bibliotekarkami. Postanowił rozpocząć swoją wędrówkę od nich. Podszedł do biurka i poczekał aż jedna z kobiet uniosła głowę.

Siudmak III





– Hello – powiedział.
– Hello – odpowiedziała i dodała: – Czy mogę panu w czymś pomóc?
Hartstein oniemiał. Była to najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widział. Jej spojrzenie było głębokie i fiołkowe, czy może błękitne jak Nil. Oczy wydawały się jeszcze większe, niż były w rzeczywistości, dzięki czarnym, podkreślającym je liniom, które zaginały się ku skroniom. Włosy splecione w warkocz były ciemne jak noc. Skóra gładka i śniada tak, że na rękach widać było jaśniejsze włoski. Rysy jej twarzy były uderzające i egzotyczne, jak u niektórych modelek, których zdjęcia można zobaczyć w luksusowych pismach, kobiet, jakich się nigdy nie spotyka w prawdziwym życiu. Ubrana była w taką samą długą, opinającą ciało suknię, jak wszystkie inne kobiety tutaj. Plecy okrywała jej krótka pelerynka, zdobiła ją królewska biżuteria. Uśmiechnęła się, przez co zatęchła atmosfera Biblioteki jakby napełniła się elektrycznością.
– Ja... – Hartstein rozejrzał się w panice.
– Czy ma pan kłopoty ze znalezieniem czegoś?
Skinął głową uchwyciwszy się tego pomysłu.
– Szukam czegoś na temat filozofii.
– Proszę pójść tam, do segregatora i poszukać pod hasłem „filozofia". Kiedy znajdzie pan coś, co pana zainteresuje, proszę wynotować tytuł i numer katalogowy książki. Znajdziemy ją wtedy na półce. To będzie gdzieś tam, pod samą ścianą. – Wskazała za jego ramię, ogólnie gdzieś w kierunku Pustyni Synajskiej.
– Dziękuję. – Hartstein zrozumiał od razu, że popełnił duży błąd. Nie chciał robić nic, co odciągnęłoby go daleko od tego biurka i siedzącej przy nim dziewczyny, ale musiał pójść do katalogów.
Szafka była zrobiona z jasnego drewna, ale przy łączeniu poszczególnych części nie użyto gwoździ tylko drewnianych szpilek. Wyciągnął rękę, żeby ją otworzyć, ale nie zrobił tego. Nie miał zamiaru spędzić czasu na przeglądaniu manuskryptów, których treści nie bawiły go nawet, kiedy był na uczelni. Wrócił do biurka.
– Czy znalazł pan coś dla siebie? – zapytała urzekająca bibliotekarka.
– Nie – odpowiedział Hartstein. – Zmieniłem zdanie. Miałem nadzieję, że znajdę... a przy okazji, jak pani na imię?
– Nazywam się Pamari – odpowiedziała wstydliwie spuszczając oczy ku rozłożonym na biurku papierom. Jej długie czarne rzęsy rzucały cień na policzki.
– A ja jestem Stulectis i pochodzę z miasta Mardenes.
I nazwisko i nazwa miasta wryły mu się w pamięć podczas sesji ESM. I jedno i drugie brzmiało obco, były to zupełnie pozbawione sensu słowa. Nigdy nie istniało miasto Mardenes, ale mogłoby przecież istnieć.
– Myślę, że wolę coś łatwiejszego do czytania, coś co mogłoby pomóc mi dowiedzieć się, jak żyją mieszkańcy tego wspaniałego miasta.
– Proszę poszukać tam – powiedziała wskazując półki na wprost drugiego biurka, w pobliżu bocznego wyjścia.
– Jeszcze raz dziękuję. I... czy mógłbym zadać pytanie natury osobistej?
Pamari przez moment patrzyła na niego po czym zmieszana powróciła wzrokiem do swoich papierów.
– Czy moglibyśmy zjeść razem kolację? Będę w Aleksandrii tylko do jutra rana i pomyślałem...
– Raczej nie – wyszeptała czerwieniąc się gwałtownie.
– Przepraszam bardzo – powiedział Hartstein wściekły na własną głupotę. – Powinienem był...
Przerwał i poszedł obejrzeć książki. Próbował przypomnieć sobie, że przybył tu, żeby się zapoznać z nimi, a nie z kobietą, która nie żyje od przeszło dwóch tysięcy lat.
I rzeczywiście widok książek kazał mu zapomnieć o innych sprawach. Były one właśnie tylko... książkami. Nie zwojami pergaminu. I nie był to pergamin pocięty, oprawny w świńską skórę i połączony bawełnianym sznurkiem. To były zupełnie normalne, współczesne książki, ze starannie wydrukowanymi hieroglifami na okładkach, nazwiskami autorów i tytułami. Hartstein wyciągnął jedną z nich. Tytuł brzmiał: „Przewodnik po Organizacji", autor Shekel Mądry. Wewnątrz włożona była schludna kartka z numerem katalogowym. Po otwarciu książki zdumiony zobaczył, że stronice są zadrukowane, nie było tam żadnych ręcznie rysowanych hieroglifów. Aż krzyknął ze zdziwienia i prawie biegiem wrócił do biurka Pamari. W zdenerwowaniu wymachiwał książką nad głową.
– Co to jest? – zapytał głośno.
– Przepraszam pana – powiedziała druga bibliotekarka – ale proszę mówić nieco ciszej. To jest...
– Co *to* jest? Tu nie może być druku!
– ... to jest biblioteka.
Pamari wzięła od niego książkę.
– Panie Stulectis, o co chodzi? – Pamari była wyraźnie zmartwiona jego zachowaniem.
– I proszę pamiętać, gdzie pan jest – dodała druga kobieta.
– Pamiętam, gdzie jestem – odpowiedział Hartstein już nieco spokojniej. – Tak, pamiętam. Bardzo mi przykro. Nie, nic się nie stało. Popełniłem błąd. Myślę, że popełniłem ogromny, bardzo kosztowny błąd.
Pamari nie rozumiała o czym mówi. Patrzyła na niego zaciekawiona. Poczuł, że krew napływa mu do twarzy i odwrócił się w stronę książek, żeby ukryć swoje zakłopotanie. Zauważył nazwę działu, w którym znalazł magnum opus Memneta: lektury wakacyjne.
– Zgadza się – zamruczał do siebie Hartstein. Spojrzał na inne, stojące obok książki. Było tam „Morderstwo zwykłego skryby" Adasirmata. „Dieta w oparciu o siemie lniane" Architydesa z Kitery. „Samorealizacja a pewność siebie" Epimandera. Było ich znacznie więcej: „Czerwony skarabeusz namiętności" autorstwa Germaniki Drusilli Tarkwinni, „Hetycki spisek" Monotepseta i gruby tom „Who is who w Niższym Królestwie. Ozyrys umiera ponownie" Ekartisa, który zajmował kiedyś wysokie stanowisko jako kapłan w świątyni Amarna.
„Wojenne rydwany w konflikcie Niniwy", tom II, „Nowe głosy w literaturze etruskiej" wydane przez Kwintusa Flawiusza Mummo i wiele innych. Twarz Hartsteina coraz bardziej ciemniała z wściekłości, gdy kolejno oglądał te tytuły.
„Jeżeli mogłem przenieść w przeszłość rzeczy – myślał – tak jak tę śmieszną biżuterię, mogę też prawdopodobnie zabrać ze sobą coś do teraźniejszości. Wezmę jedną z tych książek. Ciekaw jestem jak sierżant Brannick mi to wyjaśni". Hartstein wybrał książkę z działu „nowości literackie" pod tytułem „Rozgrzeszenie" napisaną przez Karheshuta, autora „Przepaści" oraz „Narzędzia z brązu a masakra tebańska". Wściekłość Hartsteina zamieniła się w zimny, morderczy gniew. Miał zamiar po powrocie do swego czasu zdemaskować Agencję i narobić takiego szumu, żeby cały ten szwindel z podróżami w czasie skończył się raz na zawsze. Przez chwilę jeszcze kręcił się po Bibliotece, zapisując wszystko, co chciał zamieścić w swoim raporcie.
„Brytania, Wyspa Błękitnych Ludzi" – głosił ręcznie rysowany poster powyżej małego stojaka na książki. Hartstein wertował je przez kilka minut. Przez chwilę oglądał rozbawiony pozycję pod tytułem „Papirusowe łodzie bogów", w której autor starał się udowodnić, że pamiątki takie jak Stonehenge i inne tego typu na terenie Brytanii były w rzeczywistości miejscami postoju Ra, Horusa, Izis i reszty mieszkańców niebios, kiedy ci udawali się z wizytą do swych letnich posiadłości na północy. Książka ta podsunęła Hartsteinowi pewien pomysł. Zdecydował, że odwiedzi kiedyś Stonehenge w czasie, kiedy było ono wznoszone, tylko po to, żeby dowiedzieć się, co jego prehistoryczni twórcy budowali. Ale zaraz uprzytomnił sobie, że jeżeli jego wizyta w Aleksandrii była typowa dla działalności Agencji na niwie historii, równie dobrze mógłby być świadkiem budowania przez antycznych Brytyjczyków parkingu dla ich bogów.
Na tablicy informacyjnej wywieszono mnóstwo komunikatów: skrybowie oferowali swe umiejętności przy przepisywaniu ksiąg, ogłaszały się wyprzedaże staroci, tanie mumifikowanie kotów i myszy, informowano o spotkaniu Komitetu Ochrony Zabytków, proponowano lekcje gry na tradycyjnych bębnach i cymbałach, sprzedaż nieruchomości w delcie Nilu (tylko dla poważnych nabywców), lekcje gotowania potraw z Galii Transalpejskiej, zwiedzanie miasta nocą, badanie grobów, zajmowanie się dziećmi, opiekę nad zwierzętami domowymi, pilnowanie mieszkań. Normalna mieszanka bardziej lub mniej interesujących informacji. Hartstein zaczynał rozumieć, jak powszednia może być przeszłość.

Jakaś pracownica Biblioteki oprowadzała grupę dzieci, pokazując im dział książek dla młodzieży. Dziewczynki miały na sobie czerwone, bawełniane koszule, młodzi chłopcy nic poza wszechobecnymi złotymi ozdobami w stylu Tutenchamona.

W dziale czasopism znajdowały się wszystkie numery „Wiadomości Aleksandryjskich", które w większości poświęcone były opisom pożarów na przedmieściach, zderzeń galer na Nilu i ogłoszeniom matrymonialnym, zajmującym zawsze po kilka stron (samotny biały mężczyzna, 42, zamożny kupiec i właściciel ziemski pozostający w bliskich stosunkach z Totem, chciałby spotkać panią: 14–25, najchętniej zniewoloną księżniczkę z obcych stron, posiadającą szerokie horyzonty, dla wzajemnej wymiany doświadczeń kulturalnych i innych. Kartaginki i homoseksualiści wykluczeni).

Na ścianie wisiały instrukcje powywieszane przez służby miejskie. Postępowanie w przypadku plag. Grad: schronić się jak najszybciej w pobliskim budynku. Grad może być śmiertelny dla ludzi i zwierząt. Nie próbować ratować pozostawionego na zewnątrz dobytku. Nie wychodzić z budynku aż do ustania plagi.

Czyraki: stosować gorące okłady i odpowiednie zaklęcia. Jeżeli modlitwy i ofiary nie przyniosą spodziewanego rezultatu, skonsultować się z lekarzem. Woda zamieniona w krew: nie mieszać z winem i sokami owocowymi. Krew nie nadaje się do picia, mycia, prania ani innych celów. Nie należy używać wody aż do momentu, kiedy odpowiednie władze ogłoszą jej zdatność itd., itd.

Wśród książek wiele miejsca zajmowały kryminały, bardzo mało za to pozycje, które starały się uporządkować mieszaninę bogów egipsko-grecko-romańskich.

Było też sporo pozycji opisujących miejsca znajdujące się poza terytorium poznanego świata („Pięć dni na księżycu", „Podróż do Afryki, krainy żywego ognia" Filopeidesa Mniejszego). Takiego zestawu książek Hartstein mógłby się spodziewać po bibliotece znajdującej się w pobliżu jego domu, nie było natomiast nic z tego, co miał nadzieję zobaczyć w Aleksandrii.

Brakowało zaginionych komedii Arystofanesa. Albo zostały wypożyczone, albo ktoś je ukradł. Jedynym utworem Ajschylosa, który udało mu się znaleźć była wczesna rewia muzyczna „Dziś Pitagoras!", którą ten napisał wraz z kolegami w czasach szkolnych. W całej Bibliotece było tylko parę książek, które Hartstein uznał za ekscytujące czy choćby tylko interesujące. Nie było nic, co chciałby pokazać jako swoje znalezisko, gdy wróci do teraźniejszości, nic co rzuciłoby nieco światła na pytania, które nie miały odpowiedzi, nic co zrekompensowałoby w jakiś sposób wydatek Hartsteina. Poza Pamari.

– Chciałbym pożyczyć tę książkę – powiedział podając jej tom opowiadań makabrycznych Karheshuta.

– Oczywiście – wydawała się zadowolona, że nastrój szaleństwa i gniewu, jaki go wcześniej opętał już minął. Uśmiechnęła się do niego tak, że prawie zapomniał o zawodzie, jaki go spotkał i wynikającej z niego frustracji.

– Poproszę o kartę biblioteczną.

– Kartę? Przykro mi, ale nie mam karty.

Pamari skinęła głową.

– Ach rzeczywiście, przecież pan nie mieszka w Aleksandrii. Dobrze, więc jeżeli ma pan zamiar pozostać tu przez pewien czas... ale mówił pan, że wyjeżdża już jutro! Dlaczego chce pan wziąć tę książkę?

Hartstein otworzył usta, ale nie znalazłszy odpowiedzi na to pytanie, zamknął je. Cisza przedłużała się.

– Może chciał mieć pan coś do czytania dzisiaj wieczór w hotelu? – zapytała.

Poczuł ogromną wdzięczność.

– Tak – odpowiedział. – Mógłbym ją zwrócić jutro rano.

– W porządku – powiedziała Pamari. – Możemy założyć dla pana czasową kartę na jeden dzień. Czy mogę zobaczyć jakiś pański dokument?

Serce mu zamarło.

– Dajmy sobie spokój z tą książką – powiedział słabo. – I tak pewnie nie zdążyłbym jej skończyć. A poza tym naprawdę wolałbym zjeść w pani towarzystwie kolację i może potem pokazałaby mi pani miasto.

Tym razem Pamari nie odtrąciła go swoją odpowiedzią.

– Dobrze – zgodziła się niefrasobliwie. – Możemy tak zrobić.

Hartstein poczuł się w siódmym niebie.

– O której godzinie możemy się spotkać? – zapytał.

– O szóstej trzydzieści – odpowiedziała. – Przed głównym wejściem.

– Będę czekał – obiecał i opuścił Bibliotekę myśląc tylko o Pamari, zapomniawszy zupełnie, po co przybył do Aleksandrii i nie pamiętając o oszustwach Agencji, za które zapłacił ciężko zarobionymi pieniędzmi swoich dziadków.

Podczas gdy przeżycie w Bibliotece było najbardziej frustrującym doświadczeniem w całym jego życiu, ten wieczór w Aleksandrii był czymś, co prawdopodobnie najmocniej miało mu utkwić w pamięci. Każda minuta, którą spędził w towarzystwie Pamari sprawiała, że żałował swego nowoczesnego życia i nudnych, przeciętnych przyjaciół. Hartstein wciąż musiał sobie przypominać, że już niedługo powróci do swej teraźniejszości, pozostawiając Pamari jak rzadkiego, cudownego motyla zamkniętego w bursztynie czasu. Dodawało to niecałkiem nieprzyjemnej melancholii rozkoszowaniu się pobytem w antycznym mieście.

Pamari zaproponowała małą knajpkę, w której mogli zjeść kolację. Hartstein ciekaw był jakiego rodzaju jedzenie tam podają. Nie za bardzo orientował się, co jedli ludzie w czasach antycznych. Prawdę mówiąc, nie miał również pojęcia co jadają współcześni Egipcjanie. Ale nie zdziwił się bardzo, gdy właściciel podał dwa talerze z pieczonym jagnięciem i mięsem wielbłądzim, a wraz z tym misę daktyli i pomarańcz. Gospodarz, wysoki, krzepki mężczyzna, który robił wrażenie, że mógłby sobie poradzić z każdym kłopotliwym gościem, sam kroił mięso. Hartstein miał już na końcu języka pytanie, gdzie gospodarz zdobył złoty naszyjnik i bransolety, ale przypominając sobie wcześniejsze doświadczenia z Biblioteki, zadecydował, że nie chce już więcej żadnych odpowiedzi.

Do jedzenia dostali oryginalne, słodkawe w smaku, bladoróżowe wino, które smakowało tym bardziej, im więcej się go piło.

– Myślałem, że jedzenie będzie zbliżone do greckiego – zauważył – przecież Grecy tak długo rządzili tym miastem. Ptolomeusz pochodził z rodziny greckiej, a Kleopatra także jest bardziej Greczynką niż Egipcjanką.

– Czy jedzenie ci nie smakuje? – zapytała Pamari.

– Jest wspaniałe – odpowiedział Hartstein, chociaż prawdę mówiąc mógł się doskonale obejść bez tego pieczonego mięsa wielbłąda. – Ale oczekiwałem, że dostanę coś w rodzaju takich potraw jak hummus, moussaka i bakława.

– Nigdy nie jadłam potraw, które wymieniasz – powiedziała Pamari. – Dużo podróżowałeś, prawda? Widziałeś mnóstwo rzeczy. Ja nigdy nie wyjeżdżałam z Aleksandrii.

Hartstein spojrzał jej głęboko w oczy.

– Nie uwierzyłabyś w to, co widziałem – powiedział i przykrył jej małą dłoń swoją ręką.

– Opowiedz mi – wykrzyknęła podekscytowana. – Powiedz mi, co widziałeś.

– Dobrze. Ale ja też chcę, żebyś opowiedziała mi o Aleksandrii. Nie widziałem nic poza Biblioteką i tą małą knajpką. I tobą.

– Biblioteka jest bardzo słynna – wymamrotała.

– Ale znacznie mniej fascynująca niż ty. Czy skończyłaś już jeść? Pozwól, że zapłacę i przejdziemy się, a ty pokażesz mi, co jest tu warte zobaczenia.

Pamari skinęła zgodnie głową. Hartstein dopił resztę wina ze swojej złotej czarki, położył na ławie parę złotych monet i podał rękę Pamari. Opuściwszy gospodę

George Alec EFFINGER

Pisarz amerykański, urodzony w roku 1947. Mieszka w Nowym Orleanie, a więc z dala od dwóch wielkich ośrodków wszystkiego, czyli Północnego Wschodu i Kalifornii. Publikuje od roku 1971. Pisze dużo, na ogół bardzo dobrze, przede wszystkim dowcipne opowiadania, wykraczające swoim poziomem literackim poza szeregową SF. Często ujawnia się w nich zainteresowanie autora różnego rodzaju grami. W tym roku na Effingera spadło kilka nieszczęść (m.in. spalił mu się dom) i koledzy pisarze zorganizowali na jego rzecz aukcję. Nasz kolega redakcyjny Andrzej Brzezicki przesłał mu swój obraz „Elektryczni ludzie". **L.J.**

Siudmak III



poszli wzdłuż głównej alei miasta, w kierunku hipodromu.

– A co jest tam, z tyłu? – zapytał Hartstein, wskazując na prawo, poza gimnazjum, w kierunku gdzie powinna znajdować się część mieszkalna miasta.

– Nic interesującego – powiedziała. – Nigdy tam nie byłam.

– A może byśmy poszli zobaczyć. Hipodrom i gimnazjum mnie nie interesują. Wolę przejść się z tobą, niż tracić czas na przyglądanie się pustym, kamiennym budynkom.

Skręcili z ulicy i poszli wzdłuż wschodniej ściany budynku sądu. Było ciemno i cicho i Hartstein uświadomił sobie nagle, jakim łatwym celem byli oboje. Zwymyślał siebie za zaprowadzenie Pamari w miejsce, gdzie mogły im grozić niebezpieczeństwa starożytnej Aleksandrii. Na pewno byli tam przecież złodzieje i bandyci, a im nie towarzyszył nikt w uniformie Agencji, kto mógłby wytłumaczyć potencjalnym kryminalistom, że Hartstein przybywa tu z przyszłości i powinien być traktowany jak gość.

– Zawróćmy – powiedział, ale zanim zdążył się odwrócić uświadomił sobie coś tak dziwnego, że nie sposób było tego zignorować. Przed nimi majaczyły ciemne kształty domów, sklepów i innych budynków, ale żaden z nich nie był wyraźny, chociaż z jasnego śródziemnomorskiego nieba świecił księżyc, który osiągnął właśnie pełnię. Im dalej szli, tym cienie bardziej się oddalały. Po dwustu jardach Hartstein wiedział, że coś tu jest nie w porządku.

– Dlaczego tutaj nie ma żadnych domów – zapytał. – Gdzie podziały się te wszystkie budynki?

Pamari była wyraźnie zakłopotana.

– Są przed nami – powiedziała wskazując przed siebie ręką. – Nie widzisz?

Hartstein wzruszył niecierpliwie ramionami.

– Były też przed nami dziesięć minut temu. Wciąż idziemy i idziemy i nie możemy do nich dojść. Nie mogę odróżnić ani jednego pojedynczego domu. Tak samo wygląda wszystko, co nie jest przy głównej ulicy, dalej od Biblioteki. Niewyraźne, bez formy, tak jakby tego naprawdę nie było. Mogę się założyć, że moglibyśmy iść aż do rana i nie natknąć się na żaden prawdziwy budynek. Ani spotkać żadnej prawdziwej osoby – odwrócił się do Pamari przyglądając się jej uważnie. Dotknął ręką jej twarzy.

– Ja jestem prawdziwa – powiedziała patrząc na niego w zdumieniu.

– Naprawdę? – objął ją i przyciągnął bliżej siebie. Westchnęła, a jej rzęsy zakryły błyszczące oczy, których miał już nigdy nie zobaczyć. Pochylił się, żeby ją pocałować, ujmując jej delikatną twarz w swoje szorstkie dłonie. W momencie, gdy ich usta już miały się zetknąć, poleciał nagle do przodu i potykając się wpadł przez jarzące się wejście czasowe Agencji.

– Co jest do cholery? – wrzeszczał rozglądając się wściekły wokoło.

– Witamy z powrotem, panie Hartstein – powiedział sierżant Brannick.

– Co u diabła tu się dzieje? – krzyczał dalej Hartstein. – Co ja tu robię tak wcześnie?

– Jest druga godzina – odpowiedział sierżant Brannick. – Minęły dwadzieścia cztery godziny. Dokładnie tyle, za ile pan zapłacił. Przypuszczam, że czuje się pan trochę zagubiony. Czasami trzeba się przyzwyczaić do przechodzenia z jednego świata w drugi.

– Dwadzieścia cztery godziny! Nie byłem tam nawet dwunastu. Przybyłem rano, a do północy było jeszcze daleko. Na co chcecie mnie nabrać?

Sierżant Brannick wyprowadził Hartsteina z pomieszczenia dla powracających. Inni podróżni mieli się niedługo zjawić i chodziło mu o spokój.

– Przypuszczam, że zapomniano powiedzieć panu o czasowym efekcie Dopplera – powiedział sierżant.

– Zapomniano powiedzieć mi o bardzo wielu rzeczach – odpowiedział Hartstein ze złością. – I mam zamiar dostać odpowiedzi na swoje pytania, a potem zamierzam dopiec nieco tej całej Agencji.

– A może byśmy sobie o tym porozmawiali – usłużnie zapytał Brannick.

– Marzę, żeby o tym porozmawiać – Hartstein wyciągnął kartkę z notatkami, które robił w czasie zwiedzania Biblioteki. Rozczarowany zobaczył, że zapisana była hieroglifami, których nie mógł już teraz odcyfrować.

– To kapitalne – mruczał do siebie. – I takie typowe.

Zwinął kartkę w kulkę i rzucił na podłogę.

– Proszę tu usiąść – Brannick wskazał mu ręką krzesło. – Niektórzy ludzie źle znoszą powroty. Przeszłość nie zawsze jest taka, jak ją sobie wyobrażaliśmy. Oczywiście bardzo nam zależy na tym, żeby uniknąć nieprzyjemności. Nie chcemy mieć niezadowolonych klientów. Dlaczego nie powie mi pan po prostu, co go tak wzburzyło?

– Wzburzyło! – wrzasnął Hartstein.

– Szszsz... – Brannick wskazał mężczyznę w przebraniu średniowiecznego, włoskiego szlachcica. – Zepsuje mu pan przyjemność.

– Powiem panu dlaczego jestem wzburzony – powiedział Hartstein cichszym już głosem. – Oni mieli drukowane książki! Maszynowo robione, drukowane książki!

– Och, uważa więc pan, że Aleksandria w wielu rzeczach przypomina naszą rzeczywistość.

Hartstein patrzył na niego oburzony.

– Nie chodzi o żadne podobieństwa. Mam na myśli zjawiska historycznie niemożliwe. To wyglądało jak tandetny film zrobiony przez nie znających się na niczym głupców, nie posiadających na dodatek wyobraźni. Gdzie ja naprawdę byłem? Czy te dekoracje były ustawione na jakimś pustkowiu w Arizonie? A resztę zrobił seans ESM. No i kostiumy, rekwizyty i pracujący na etatach Egipcjanie?

Brannick westchnął głęboko.

– Naprawdę był pan w przeszłości, panie Hartstein. Cofnął się pan w czasie i był w Aleksandrii.

– Ale...

Agent uciszył go krótkim gestem.

– Ale przeszłość nie wyglądała tak, jak się pan spodziewał. Nie zawsze wszystko jest takie, jak oczekujemy. Nie ma przeszłości obiektywnej.

– Wiem, już to słyszałem wcześniej. Ale co to u diabła właściwie ma znaczyć?

Brannick potarł ręką czoło.

– To oznacza, że przeszłość zależy od naszych wyobrażeń o niej. Przeszłość wygląda tak, jak my sądzimy, że powinna wyglądać. W przeszłości nie ma nic, czego nie umieściłaby tam teraźniejszość. Jeżeli większość współczesnych nam ludzi sądzi, że w piątym wieku naszej ery w Anglii byli rycerze noszący lśniące zbroje, to gdy się tam udamy, okaże się, że rzeczywiście są tam tacy rycerze. Nie jest ważne, co wiedzą historycy i archeologowie ani to, co przetrwało do naszych czasów nie zniszczone przez wieki i naprawdę istniało w tamtych czasach. Przeszłość jest subiektywnym muzeum popularnych wyobrażeń.

– A co z prawdziwą przeszłością?

– Był pan w prawdziwej przeszłości. Jedynej przeszłości jaka istnieje. Wiem, wiem, rozumiem o co panu chodzi, co stało się z przeszłością obiektywną? – sierżant Brannick wyglądał na bardzo zmęczonego. Hartstein zastanawiał się, ile razy każdego dnia musiał to samo tłumaczyć. – Obiektywna przeszłość jest dla nas zamknięta. A właściwie nie możemy jej znaleźć, jeżeli rzeczywiście gdzieś naprawdę istnieje.

– Więc cała ta podróż w czasie jest rodzajem zabawy? – zauważył Hartstein.

– Niezupełnie – odpowiedział sierżant. – Dla prawie wszystkich takie wakacje są niesłychanym przeżyciem. Przeszłość jest dokładnie tym, czego oczekiwali. Przecież to ich wyobrażenia uczyniły ją taką jaka jest. Tylko nieliczni są niezadowoleni. Ci, którzy wiedzą trochę więcej. I tym musimy tłumaczyć, starać się, żeby zrozumieli, że ich nie oszukaliśmy – wskazał na powracających podróżnych, zaśmiewających się i żartujących, ubranych w stroje z różnych epok i miejsc.

– Jeżeli kogoś można winić, to ich. Odwiedził pan ich wizję starożytnej Aleksandrii, ich widzenie wielkiej Biblioteki.

– Więc dlatego nie było tam właściwie żadnego miasta. Dlatego nie mogłem znaleźć zwyczajnych domów, zamieszkałych przez normalnych mieszkańców Aleksandrii. Dlatego nie było tam nic poza słynnymi obiektami?

– Właśnie. Cieszę się, że zrozumiał to pan tak szybko. Ludzie wiedzą coś o Bibliotece, ale nie zastanawiają się nad tym jak wyglądała Aleksandria, a właściwie reszta Aleksandrii. Więc jest to wszystko niewyraźne, na wpół uformowane, załatane obrazami jakiegokolwiek miasta i mgłą.

Hartstein skinął głową. Jego gniew stracił już trochę na ostrości, ale chciał jeszcze zadać parę pytań.

– Ale dlaczego wyskoczyłem stamtąd tak wcześnie. Nie spędziłem pełnej doby w przeszłości. Spotkałem pewną dziewczynę...

Brannick uśmiechnął się.

– Tam się zawsze spotyka dziewczynę. To należy do popularnego obrazu przeszłości. To właśnie tam dzieją się wszystkie romanse świata – w przeszłości. Za każdym razem kiedy udasz się w przeszłość, spotkasz dziewczynę. Ale to nieważne, ktoś powinien był panu powiedzieć, że w stosunku do czasu występuje zjawisko Dopplera, tak samo jak w odniesieniu do światła i dźwięku. Im dalej przemieszczamy się w czasie, tym bardziej skracają się minuty. Na naszych zegarkach przeszły dwadzieścia cztery godziny. Nie wiem ile czasu minęło w Aleksandrii.

– Ma pan odpowiedź na wszystko, prawda?

Sierżant Brannick spojrzał w dół na swój uniform, obciągnął go wygładzając fałdy i wskazał na służbowe baretki.

– Niektóre z nich otrzymałem za swoją wyróżniającą się pracę w obronie prawdy, sprawiedliwości i Agencji przez wszystkie eony czasu. Resztę dostałem za to, że znam wszystkie odpowiedzi. Proszę posłuchać, widzę, że cała ta egipska historia nie sprawiła panu przyjemności. To nie jest dobre ani dla pana, ani dla mnie, ani dla Agencji. Chcemy mieć wyrównane rachunki. Jesteśmy gotowi zaproponować panu inną wycieczkę w przeszłość, całkowicie za darmo, z opłaconymi wszelkimi wydatkami. I może się pan wybrać gdzie tylko ma pan ochotę i przebywać tam aż pięć dni. Jak to się panu podoba?

Hartstein przez dłuższy czas się nie odzywał. Patrzył na mężczyzn i kobiety, powracających przez jaśniejący ekran z wakacji w odległych wiekach, które wydawały im się zupełnie w porządku. „Dlaczego nie mogę być taki jak oni" – pomyślał. „Dlaczego nie może mnie zadowolić to, co tam zobaczyłem". Wszyscy pozostali wydawali się świetnie bawić. Hartstein poczuł zazdrość.

– Nie – odezwał się w końcu – nie macie nic takiego, co bym chciał zobaczyć. Nie możecie mi oferować prawdziwej przeszłości, a te przygody w Wesołym Miasteczku Czasu, które stworzyliście – mnie nie interesują.

Wstał, zamierzając wyjść.

– Nie zastanowił się pan nad tym, co mu proponuję, Hartstein – powiedział Brannick. – Daję panu dostęp do całego świata. Proszę sobie to przemyśleć.

Hartstein odwrócił się i spojrzał na niego.

– Nie będę wracał już do przeszłości, niezależnie od tego, co mi pan jeszcze powie.

Brannick roześmiał się.

– Myli się pan, Hartstein – powiedział. – Widuję tu takich jak pan każdego dnia. Zapewniam pana, że pan tu wróci. I proszę się nie martwić. Nasza oferta będzie aktualna.

Później, kiedy zamienił już swój aleksandryjski kostium na własne ubranie, Hartstein opuścił budynek Agencji. Chmura zasłoniła słońce i nagle zrobiło się ciemno. Spojrzał przestraszony w górę, pewien że ujrzy nad swoją głową Ptaka Czasu, zakrywającego światło i ciepło. Wielki Ptak przeleciał nad nim i spuścił na niego swój mały prezent. Mimo wszystko Brannick miał rację. Hartstein był pewien, że wcześniej czy później spróbuje jeszcze raz.

Przełożyła **Dorota Malinowska**

PANIE PREZYDENCIE!

Nie mam nic do zakomunikowania. Spotkanie się nie odbyło. Czekałem na niego na Czerwonej Plaży do zapadnięcia zmroku. Nie przyszedł.

Oczywiście mogłem bez trudu pójść do niego do domu i tam na niego zaczekać, ale wydaje mi się, że byłby to błąd taktyczny. Przecież jego celem nie jest bawienie się z nami w ciuciubabkę. On po prostu zapomina. Jeszcze poczekajmy.

Maksym Kammerer

(koniec Dokumentu 23)

DOKUMENT 24

KOMKON-1

DO PRZEWODNICZĄCEGO KOMISJI „METAHOMO" GENADIJA KOMOWA

Kapitanie!

Przesyłam ci dwa interesujące teksty, które mają bezpośredni związek z przedmiotem twoich obecnych łowów.

TEKST 1 (list Tojwo Głumowa adresowany do Maksyma Kammerera)

Drogi Big Bug!

To wszystko moja wina. Ale teraz odkupię swoje grzechy. Pojutrze, 2-ego, punktualnie o 20.00 Z CAŁĄ PEWNOŚCIĄ będę w domu. Czekam. Gwarantuję łakocie i obiecuję, że wszystko wyjaśnię. Chociaż, o ile dobrze rozumiem, nie jest to na razie koniecznie potrzebne.

TEKST 2 (list Anastazji Głumowej adresowany do Maksyma Kammerera, przesłany razem z listem Tojwo Głumowa)

Maksym!

On mnie prosił, żebym przekazała panu ten list. Dlaczego nie posłał go sam? Dlaczego po prostu nie zadzwonił do pana, żeby umówić spotkanie? Nic z tego nie rozumiem. W ostatnim czasie w ogóle rzadko go rozumiem, nawet wtedy, kiedy mowa jest o najprostszych, wydawałoby się, sprawach. Za to wiem, że jest nieszczęśliwy. Jak oni wszyscy. Kiedy jest ze mną, dręczy go nuda. Kiedy jest tam u siebie, tęskni za mną, przecież inaczej by nie wracał. Tak żyć nie sposób i będzie musiał wybrać coś jednego. Nie wiem, co wybierze. Ostatnio wraca coraz rzadziej i rzadziej. Znam jego współbraci, którzy w ogóle przestali wracać. Nie mają już czego szukać na Ziemi.

Jeśli chodzi o jego zaproszenie, to oczywiście z przyjemnością zobaczę pana, ale proszę nie liczyć, że on przyjdzie. Ja nie liczę.

Pańska Asia Głumowa

Rozumie się, Kammerer poszedł na spotkanie i rozumie się, Tojwo Głumow się nie zjawił.

Oni odchodzą, Kapitanie. Odchodzą nieszczęśliwi, pozostawiając za sobą nieszczęśliwych.

Jakie to wszystko niepodobne do apokaliptycznych wizji, o których rozmawialiśmy cztery lata temu! Pamiętasz, jak stary Gorbowski wymruczał kiedyś z chytrym uśmiechem „Fale tłumią wiatr..."? Wszyscy porozumiewawczo pokiwaliśmy głowami, a ty, o ile pamiętam, dopowiedziałeś ten cytat z kretyńsko wieloznaczną miną. No, czyż zrozumieliśmy go wtedy? Nikt z nas go nie zrozumiał.

Twój Atos, 13.11.102

(koniec Dokumentu 24)

I ostatni dokument

Maksym!

Jestem bezradna. Rozsypują się przede mną w przeprosinach, zapewniają mnie o szacunku i współczuciu, ale od tego nic się nie zmienia. Zrobili już z Tojwo „fakt historyczny".

Rozumiem, dlaczego milczy Tojwo – to wszystko jest już dla niego obojętne, zresztą gdzie go szukać, w jakim wszechświecie?

Domyślam się, dlaczego milczy Asia – strach powiedzieć, ale najwidoczniej dała się przekonać.

Ale dlaczego ty milczysz? Przecież kochałeś go, wiem o tym, i on kochał ciebie.

Maja Głumowa, 30 czerwca 126 r.

Ust Narwa

Jak widzisz, nie milczę już dłużej, Maju. Powiedziałem wszystko co mogłem i wszystko co potrafiłem powiedzieć.

KONIEC

DOKUMENT 18

RAPORT-MELDUNEK

nr 020/99

KOMKON-2

Ural-Północ

Data: 13 maja 99

Autor: Tojwo Głumow, inspektor

Temat: 009 „Wizyta starszej pani"

Treść: porównanie listy osób z inwersją „syndromu pingwina" z listą „Temat".

Zgodnie z otrzymanym poleceniem, opierając się na wszystkich dostępnych mi źródłach, sporządziłem spis przypadków inwersji „syndromu pingwina". Udało mi się zgromadzić 12 przypadków, z czego zidentyfikowałem 10. Porównanie tych dziesięciu z listą „T" wykazało, że na obu listach figurują następujące osoby:

1. Kriwokłykow Iwan Georgiewicz, lat 65, psychiatra, baza „Lemboy";

2. Pakkala Alf Christian, lat 31, budowniczy-operator, Alaska Anchorage

3. Io Nika, lat 48, prządka-dekoratorka, kombinat „Irawadi", Phepoun;

4. Tuul Albert, lat 59, gastronomik, miejsce pobytu nieznane (patrz nr 047/99 Sandro Mtbewari).

Procent ludzi wspólnych dla obu list wydaje mi się zaskakująco wysoki. Fakt, że Albert Tuul znajduje się faktycznie na trzech listach wydaje mi się jeszcze bardziej zdumiewający.

Uważam za konieczne zwrócić uwagę pana na pełną listę osób z inwersją „syndromu pingwina". Listę załączam.

Tojwo Głumow

(koniec Dokumentu 18)

„DOM LEONIDA" (KRASŁAWA, ŁOTWA). 14 MAJA 99 ROKU. 15.00.

Daugawa pod Krasławą była niezbyt szeroka, czysta, o bystrym nurcie. Żółciło się suchym piaskiem pasmo plaży, a nad plażą biegła ku sosnom stroma, piaszczysta skarpa. Na wzniesionym nad wodą szarym w białą kostkę owalu lądowiska piekły się w słońcu ustawione byle jak różnokolorowe flajery. Było ich trzy – staromodne, ciężkie aparaty, jakich używają dzisiaj najwyżej starcy, urodzeni w minionym wieku.

Tojwo wyciągnął rękę, żeby otworzyć drzwi glidera, ale powiedziałem:

– Nie trzeba. Poczekaj.

Patrzyłem w górę, tam gdzie wśród sosen kremowo prześwitywały ściany domku, skąd zygzakiem po skarpie prowadziły w dół stare, poszarzałe od upływu lat drewniane schody. Po schodach powoli schodził ktoś biało ubrany, ociężały, prawie kwadratowy, najwidoczniej bardzo stary, prawą ręką trzymał się poręczy, pokonywał stopień za stopniem, za każdym razem przystawiając nogę, a słoneczna plama kołysała się na jego wielkiej, łysej czaszce. Poznałem go. To był August Johann Bader, Komandos i Zwiadowca. Ruina heroicznej epoki.

– Poczekajmy aż zejdzie – powiedziałem. – Nie chcę się z nim spotkać.

Odwróciłem się i zacząłem patrzeć w przeciwną stronę, na drugi brzeg rzeki, Tojwo zaś taktownie również odwrócił głowę i tak siedzieliśmy aż nie usłyszeliśmy ciężkiego skrzypienia stopni i aż nie dobiegł do nas świszczący, ciężki oddech i jeszcze jakieś niestosowne dźwięki, przypominające przerywany szloch. Starzec przeszedł obok glidera, szurając podeszwami po plastyku, znalazł się w moim polu widzenia i mimo woli spojrzałem na jego twarz.

Z bliska ta twarz wydała mi się absolutnie nieznajoma. Była zniekształcona rozpaczą. Miękkie policzki trzęsły się i obwisły, usta bezwolnie otwarte, z zapuchniętych oczu płynęły łzy.

Bader podszedł zgarbiony do staroświeckiego żółto-zielonego flajera, najstarszego z trzech, z burtą ozdobioną jakimiś idiotycznymi szyszkami, ze szpetnymi szczelinami wizorów zabytkowego autopilota, z wgnieceniami na burcie, zmatowiałym niklem klamek – podszedł, otworzył drzwi i ni to postękując, ni to szlochając, wcisnął się do kabiny.

Przez dłuższy czas nic się nie działo. Flajer stał z otwartymi drzwiami, a starzec wewnątrz, czy to zbierał siły przed startem, czy to płakał z łysą głową opartą na odrapanym sterze. Potem wreszcie brą-

zowa ręka wysunęła się z białego mankietu i zatrzasnęła drzwi. Staroświecka maszyna z nieoczekiwaną lekkością i absolutnie bezdźwięcznie uniosła się z lądowiska i poleciała nad rzekę między urwistymi brzegami.

– To Bader – powiedziałem. – Przyszedł się pożegnać...Chodźmy.

Wyleźliśmy z glidera i zaczęliśmy wchodzić po schodach.

Powiedziałem, nie odwracając się:

– Opanuj emocje. Idziesz złożyć sprawozdanie. Będzie bardzo ważna rozmowa. I konkretna. Weź się w garść.

– Konkretna rozmowa to coś wspaniałego – powiedział Tojwo do moich pleców. – Ale mam wrażenie, że nie czas teraz na rozmowy. Nawet konkretne.

– Mylisz się. Właśnie teraz jest czas. A jeśli chodzi o Badera... Nie myśl teraz o tym. Myśl o naszej sprawie.

– Dobrze – powiedział pokornie Tojwo.

Domek Gorbowskiego. „Dom Leonida" był absolutnie standardowy, w architektonicznym stylu początków wieku – ulubione mieszkanie astronautów, podwodników, transgeologów stęsknionych za sielanką, bez warsztatu, bez obory, bez kuchni... ale za to z przybudówką dla urządzeń dających energię dla obsługi prywatnej zero-linii, przysługującej Gorbowskiemu jako członkowi Rady Światowej. A dookoła były sosny, zarośla wrzosu, pachniało rozgrzane igliwie i sennie buczały pszczoły w nieruchomym powietrzu.

Wdrapaliśmy się na werandę i przez szeroko otwarte drzwi weszliśmy do domu. W living-roomie, w którym okna były starannie zasłonięte portierami, paliła się tylko lampa stojąca obok kanapy, z nogą na nodze siedział jakiś człowiek i oglądał pod światło ni to mapę, ni to mentogram. To był Komow.

– Dzień dobry – powiedziałem, a Tojwo ukłonił się w milczeniu.

– Dzień dobry, dzień dobry – powiedział Komow jakby trochę niecierpliwie. – Wchodźcie, siadajcie. On śpi. Zasnął. Ten przeklęty Bader kompletnie go uhajdakał... Pan – to Głumow?

– Tak – powiedział Tojwo.

Komow patrzył na niego uważnie i z ciekawością. Odkaszlnąłem i Komow natychmiast się opamiętał.

– Czy przypadkiem nie jest pan synem Mai Głumowej? – zapytał.

– Jestem – odpowiedział Tojwo.

– Miałem przyjemność z nią pracować – powiedział Komow.

– Tak? – powiedział Tojwo.

– Tak. Nie opowiadała panu? Operacja „Arka"...

– Tak, znam tę historię – powiedział Tojwo.

– Co Maja teraz robi?

– Jest ksenotechnikiem.

– Gdzie? U kogo?

– Na Sorbonie. Zdaje się u Saliniego.

Komow pokiwał głową. Wciąż patrzył na Tojwo. Oczy mu błyszczały. Można przypuścić, że widok dorosłego syna Mai Głumowej obudził w nim jakieś żywe wspomnienia. Znowu odkaszlnąłem i Komow natychmiast odwrócił się do mnie.

– Gdybyście chcieli się odświeżyć... Napoje są w barku. Będziemy musieli poczekać. Nie chciałbym go budzić. Uśmiecha się we śnie. Śni mu się coś przyjemnego... Żeby diabli wzięli tę płaczkę Badera!

– Co mówią lekarze? – zapytałem.

– Wciąż to samo. Odechciało mu się żyć. Na to nie ma lekarstwa... To znaczy są, tylko on nie chce ich przyjmować. Życie przestało go interesować i na tym wszystko polega. My nie umiemy tego zrozumieć... No i już przekroczył stopięćdziesiątkę... Niech mi pan powie, Głumow, co robi pański ojciec?

– Prawie wcale go nie widuję – powiedział Tojwo. – Zdaje się, że teraz zajmuje się hybrydyzacją. Chyba na Jajle.

– A pan... zaczął Komow, ale umilkł, ponieważ z głębi domu dobiegł słaby, zachrypnięty głos:

– Genadij! Kto tam przyszedł? Niech wejdzie...

uzyskania superświadomości i władzy nad Wszechświatem. Szept ten udaje mi się zagłuszyć bez szczególnego trudu, ponieważ jestem człowiekiem, który – jak panu dobrze wiadomo – nie tęskni do prestiżu i nie cierpi elit w żadnej postaci. Nie ukrywam, wrażenie, jakie wywarła na mnie ostatnia rozmowa z panem, było bardzo silne, znacznie silniejsze niż bym tego chciał. Okropnie niemiło jest uważać się za dezertera. Nie wahałbym się ani sekundy, ale jestem absolutnie pewny – jak tylko oni przemienią mnie w ludena, nie zostanie we mnie nic (NIC!) co ludzkie. Niech się pan przyzna – w głębi duszy myśli pan tak samo.

Nie pojadę do Charkowa. W ciągu tych dni przemyślałem wszystko bardzo dokładnie. Nie pojadę do Charkowa po pierwsze dlatego, że byłoby to zdradą wobec Asi. Po drugie dlatego, że kocham matkę i ogromnie ją szanuję. Po trzecie dlatego, że kocham swoich przyjaciół i swoją przeszłość. Przekształcenie się w ludena – to moja śmierć. To znacznie gorsze niż śmierć, dlatego że dla tych, którzy mnie kochają, będę żywy, ale wstrętny nie do poznania. Pyszny, zadowolony z siebie, zachwycony sobą facet. I jeszcze na domiar wszystkiego nieśmiertelny, jak mogę przypuszczać.

Jutro w ślad za Asią odlatuję na Pandorę.

Żegnam. Życzę szczęścia.

Pański TOJWO GŁUMOW, 18 maja 99 r.

(koniec Dokumentu 21)

DOKUMENT 22

RAPORT-MELDUNEK
nr 086/88

KOMKON-2
Ural-Północ

Data: 14 listopada 99 roku
Autor: Sandro Mtbewari, inspektor
Temat: 081 „Fale tłumią wiatr"
Treść: rozmowa z Tojwo Głumowem

Zgodnie z poleceniem referuję z pamięci moją rozmowę z Tojwo Głumowem, naszym byłym inspektorem, która miała miejsce w połowie lipca br. Około godziny 17-ej, kiedy byłem w swoim gabinecie, usłyszałem sygnał wideofonu i na ekranie pojawiła się twarz Tojwo Głumowa. Był wesoły, ożywiony i hałaśliwie mnie powitał. Od czasu, kiedy widziałem go po raz ostatni, nieco utył. Rozmowa wyglądała mniej więcej tak:

Głumow: Gdzie się podział szef? Przez cały dzień próbuję się z nim połączyć, bez rezultatu.

Ja: Szef jest na delegacji, wróci nieprędko.

Głumow: Wielka szkoda. Jest mi niezbędnie potrzebny. Bardzo chciałbym z nim porozmawiać.

Ja: Nagraj list. My mu prześlemy.

Głumow (po namyśle): To długa historia (to zdanie pamiętam dosłownie).

Ja: W takim razie powiedz, co mu przekazać. Albo jak się z tobą kontaktować. Zanotuję.

Głumow: Nie. Muszę z nim rozmawiać osobiście.

Poza tym nic istotnego nie zostało powiedziane. To znaczy, nic istotnego nie pamiętam.

Chcę podkreślić, że wtedy wiedziałem o Tojwo Głumowie tyle tylko, że zwolnił się z przyczyn osobistych i poleciał do żony na Pandorę. Właśnie dlatego nie przyszło mi do głowy, aby dopełnić zwyczajowych formalności. To znaczy: zarejestrować rozmowę, zidentyfikować kanał łączności, zawiadomić Prezydenta itd. Mogę jeszcze dodać, że odniosłem wrażenie, jakby Tojwo Głumow znajdował się w pomieszczeniu oświetlonym naturalnym, słonecznym światłem. Najwidoczniej znajdował się wtedy na Ziemi, na wschodniej półkuli.

SANDRO MTBEWARI

(koniec Dokumentu 22)

DOKUMENT 23

DO PREZYDENTA SEKTORA „URAL-PÓŁNOC" KOMKON-2
Data: 23 stycznia 101 roku
Autor: Maksym Kammerer, naczelnik wydziału NW
Temat: 050 Tojwo Głumow, metahomo

Kammerer: Nie „wśród" tylko „obok". Wśród – to na razie marzenie. Do tego, obawiam się, nieosiągalne... Kto z nich zechce nam pomóc? Po co im to? Jak myślisz, Tojwo?

DŁUGA PAUZA

Głumow: Nie, Maksym. Ja nie chcę. Wszystko rozumiem, ale NIE CHCĘ!
Kammerer: Boisz się?
Głumow: Nie wiem. Po prostu nie chcę. Jestem człowiekiem i nie chcę być nikim innym. Nie chcę patrzeć na pana z góry. Nie chcę, żeby ludzie, których kocham i szanuję, wydawali mi się dziećmi. Rozumiem, ma pan nadzieję, że to co we mnie ludzkie, pozostanie... Być może, ma pan nawet podstawy, żeby tak uważać. Ale ja nie chcę ryzykować. Nie chcę!

PAUZA

Kammerer: No cóż... w końcu to nawet ci się chwali.
(koniec Dokumentu 20)

Byłem pewien sukcesu. Omyliłem się.

Mało cię jednak znałem, Tojwo, mój chłopcze. Wydawałeś mi się twardszy, mniej bezbronny, bardziej fantastyczny, jeśli chcesz.

I wreszcie kilka słów o prawdziwym celu tych moich pamiętników.

Mój czytelnik, jeżeli zna książkę „Pięć biografii stulecia", odgadł już z pewnością, że celem moim jest obalenie sensacyjnej hipotezy P. Soroki i E. Brauna, jakoby Tojwo Głumow, jeszcze wtedy, kiedy był Progresorem na Gigandzie, znalazł się w polu widzenia ludenów i został przez nich uznany za swojego. Jakoby już wtedy został przeprowadzony na odpowiedni poziom i przysłany do mnie do KOMKONu-2, nawet nie w charakterze szpiega, ale dezinformatora i mizinterpretatora. Jakoby w ciągu pięciu lat zajmował się wyłącznie podjudzaniem do polowania na Wędrowców, interpretując każdy fałszywy krok, każdy błąd, każdą nieostrożność ludenów jako przejaw działalności znienawidzonej przez siebie supercywilizacji. Przez pięć lat robił w konia całe kierownictwo KOMKONu-2 i oczywiście przede wszystkim swojego bezpośredniego szefa i protektora, Maksyma Kammerera. A kiedy ludenów pomimo wszystko udało się zdemaskować, odegrał przed łatwowiernym Big Bugiem ostatnią łzawą komedię i wycofał się z gry.

Uważam, że każdy nieuprzedzony czytelnik, któremu nie znane są karkołomne konstrukcje Soroki i Brauna, kiedy doczytał już do tego miejsca, wzruszy ramionami i powie „Co za głupota, jaki dziwaczny pomysł, przecież to przeczy wszystkiemu, co właśnie przeczytałem". Co zaś dotyczy czytelnika uprzedzonego, czytelnika, który do tej pory znał Tojwo Głumowa tylko z „Pięciu biografii stulecia", to mogę poradzić mu tylko jedno: niech postara się spojrzeć na zebrane tu materiały beznamiętnie, nie trzeba przyprawiać na ostro problemu ludenów, który dzisiaj stał się już nieco mdły.

Trudno zaprzeczyć, historia Wielkiej Iluminacji ma do dzisiaj wiele białych plam, ale z całą odpowiedzialnością twierdzę, że z Tojwo Głumowem te plamy nie mają żadnego związku... I także z całą odpowiedzialnością oświadczam, że zawiłe rozumowanie Soroki i Brauna to po prostu nieprzemyślane brednie, kolejna próba wzięcia się prawą ręką za lewe ucho przez lewe kolano.

Co zaś dotyczy „ostatniej łzawej komedii" to żałuję tylko jednego i za to jedno przeklinam się po dzień dzisiejszy. Nie zrozumiałem wtedy, stary gruboskórny nosorożec, że widzę Tojwo Głumowa po raz ostatni.

★

DOKUMENT 21

SWIERDŁOWSK, TOPOLA 11, M 9716

DO MAKSYMA KAMMERERA

BIG BUG!

Dziś odwiedził mnie Łogowienko. Rozmowa trwała od 12.15 do 14.05. Łogowienko był bardzo przekonywający. Sens: To nie takie proste jak my sobie wyobrażamy. Na przykład: twierdzi się, że okres stacjonarnego rozwoju ludzkości zbliża się ku końcowi, nadchodzi epoka wstrząsów (biospołecznych i psychospołecznych), głównym zadaniem ludenów wobec ludzkości jest, jak się okazuje, stanie na straży (że tak powiem „buszowanie w zbożu"). Obecnie na Ziemi oraz w kosmosie przebywa i igra 432 ludenów. Zaproponowano mi, żebym został 433-im i w tym celu powinienem zjawić się w charkowskim Instytucie Dziwaków pojutrze, 20 maja o 10.00.

Wróg ludzkiego plemienia szepce mi do ucha, że tylko kompletny kretyn może wyrzec się szansy

– Idziemy – powiedział Komow, zrywając się na nogi.

Okna w sypialni były szeroko otwarte. Gorbowski leżał na kanapie, przykryty do ramion kraciastym pledem. Wydawał się niewyobrażalnie długi, chudy i rozpaczliwie żałosny. Policzki miał zapadnięte, słynny łapciowaty nos znieruchomiał, zapadłe głęboko oczy były smutne i matowe. Jakby nie chciały już na nic patrzeć, ale patrzeć było trzeba, no więc patrzyły.

– A, Maks... – powiedział Gorbowski na mój widok – Wciąż jesteś taki... przystojny... Cieszę się, cieszę się, że cię widzę...

To było pobłażanie i bezgraniczne cierpienie Gorbowskiego. Jakby teraz myślał – oto znowu ktoś przyszedł... no cóż, to nie potrwa długo... ten też odejdzie, jak odchodzili wszyscy przed nim i zostawi mi mój spokój...

– A to kto? – z wyraźnym trudem przezwyciężając apatię zainteresował się Gorbowski.

– To jest Tojwo Głumow – powiedział Komow. – Inspektor KOMKONu. Opowiadałem ci...

– Tak, tak... – ospale powiedział Gorbowski. – Pamiętam. „Wizyta starszej pani"... Siadaj, Tojwo, siadaj, mój chłopcze... Słucham cię...

Tojwo spojrzał na mnie pytająco.

– Zrelacjonuj swój punkt widzenia – powiedziałem. – I uzasadnij.

Tojwo zaczął:

– Sformułuję teraz pewne twierdzenie. Sformułowanie nie należy do mnie. Zrobił to doktor Bromberg pięć lat temu. A więc twierdzenie. W początkach lat osiemdziesiątych pewna supercywilizacja, którą dla uproszczenia nazwiemy Wędrowcami, rozpoczęła aktywną, progresorską działalność na naszej planecie. Jednym z celów tej działalności jest przeprowadzenie selekcji. Najrozmaitszymi sposobami Wędrowcy wybierają spośród wszystkich ludzi tych, którzy z powodu określonych cech są im przydatni do... powiedzmy dla kontaktów... Albo dla dalszego doskonalenia gatunku. Albo nawet dla przekształcenia w Wędrowców. Z całą pewnością Wędrowcy mają też inne cele, których się nie domyślamy, ale to, że zajmują się sortowaniem, selekcją – jest dla mnie absolutnie oczywiste i teraz spróbuję to udowodnić.

Tojwo umilkł. Komow patrzył na niego uważnie. Gorbowski jakby spał, ale jego palce skrzyżowane na piersiach co chwila zaczynały się poruszać, kreśląc w powietrzu skomplikowane ornamenty. Potem nagle odezwał się, nie otwierając oczu:

– Genadij, przynieś gościom coś do picia... Na pewno jest im gorąco...

Zerwałem się na nogi, ale Komow zatrzymał mnie:

– Sam przyniosę – burknął i wyszedł.

– Mów dalej, mój chłopcze – powiedział Gorbowski.

Tojwo mówił dalej. Opowiedział o „syndromie pingwina": za pomocą jakiegoś „sita" ustawionego przy sektorze 41/02 Wędrowcy najwidoczniej wybrakowywali ludzi cierpiących na utajoną kosmofobię i wybierali utajonych filokosmitów. Opowiedział o wydarzeniach w Małej Peszy: tam, za pomocą niewątpliwie pozaziemskiej biotechniki, Wędrowcy przeprowadzili eksperyment, oddzielający ksenofobów od ksenofilów. Opowiedział o walce o „Poprawkę". Widocznie fukamizacja albo przeszkadzała Wędrowcom w selekcji, albo groziła likwidacją w przyszłych pokoleniach cech potrzebnych Wędrowcom, więc sobie tylko znanym sposobem zorganizowali i z powodzeniem przeprowadzili kampanię w sprawie zniesienia przymusu fukamizacji. Przez wszystkie lata liczba ludzi „wyselekcjonowanych" (nazwijmy ich tak) wciąż wzrastała i to nie mogło pozostać niedostrzeżone, musieliśmy zauważyć tych „wyselekcjonowanych" i zauważyliśmy ich. Zaginieni w latach osiemdziesiątych... nagłe przemiany zwyczajnych ludzi w geniuszy... właśnie wykryci przez Sandro Mtbewari ludzie o fantastycznych uzdolnieniach... i wreszcie tak zwany Instytut Dziwaków w Charkowie, niewątpliwie centrum aktywności Wędrowców w dziedzinie selekcji...

– Nawet niespecjalnie kryją się ze swoją działalnością – mówił Tojwo. – Widocznie czują się tak silni, że już nie obawiają się zdemaskowania. Może zresztą uważają, że nie jesteśmy już w stanie czegokolwiek zmienić. Nie wiem... Właściwie skończyłem. Chcę jeszcze tylko dodać, że w naszym polu widzenia znalazła się tylko mikroskopijna część ich działalności. Trzeba o tym pamiętać. I uważam za swój obowiązek wspomnieć dziś dobrym słowem doktora Bromberga, który jeszcze pięć lat temu, nie dysponu-

jąc w istocie rzeczy żadnymi konkretnymi informacjami, OBLICZYŁ dosłownie wszystkie zjawiska, które teraz zaobserwowaliśmy: i powstanie masowych fobii, i niespodziewane wybuchy talentu u ludzi, i nawet irregularność w zachowaniach zwierząt, na przykład wielorybów.

Tojwo odwrócił się do mnie.

– Skończyłem – powiedział.

Kiwnąłem głową. Wszyscy milczeli.

– Wędrowcy, Wędrowcy – nieomal zanucił Gorbowski. Teraz leżał przykryty pledem aż po sam nos. – Coś takiego, od jak dawna siebie pamiętam, od najwcześniejszego dzieciństwa trwają wciąż rozmowy o tych Wędrowcach... Ty ich za coś bardzo nie lubisz, prawda Tojwo, mój chłopcze?

– Nie lubię Progresorów – powiedział Tojwo beznamiętnie i zaraz dodał: – Sam przecież byłem Progresorem...

– Nikt nie lubi Progresorów – wymamrotał Gorbowski. – Nawet sami Progresorzy... – westchnął głęboko i znowu zamknął oczy. – Mówiąc uczciwie, nie widzę tu żadnego problemu. To tylko inteligentna interpretacja i nic poza tym. Przekażcie swoje materiały, powiedzmy, pedagogom, a niezawodnie okaże się, że istnieje jeszcze inna, równie inteligentna interpretacja. Oceanolodzy będą mieli jeszcze inną... mają swoje mity, swoich Wędrowców... Nie gniewaj się, Tojwo, ale samo wspomnienie Bromberga wzbudziło moją nieufność.

– A tymczasem wszystkie prace Bromberga dotyczące monokosmu rzeczywiście znikły – cicho powiedział Komow.

– Ależ on nie miał żadnych prac, to oczywiste! – Gorbowski słabo zachichotał. – Nie znaliście Bromberga. To był jadowity staruch z fantastyczną fantazją. Maks posłał mu swoją ankietę. Bromberg, który nigdy w życiu nie myślał na ten temat, usiadł w wygodnym fotelu, wgapił się w swój palec wskazujący i migiem wyssał z niego hipotezę monokosmu. Zajęło mu to jeden wieczór. A następnego dnia o wszystkim zapomniał... Miał nie tylko kolosalną fantazję, był jeszcze znawcą zakazanej nauki, w jego głowie mieściło się nieprzebrane mnóstwo niewyobrażalnych analogii...

Jak tylko Gorbowski zamilkł, Komow powiedział:

– O ile dobrze pana rozumiem, Głumow, twierdzi pan, jakoby na Ziemi żyli i działali Wędrowcy? We własnej postaci, mam na myśli...

– Nie – odparł Tojwo. – Ja tego nie twierdzę.

– O ile dobrze pana zrozumiałem, Głumow, twierdzi pan, jakoby na Ziemi żyli i działali świadomi wspólnicy Wędrowców? „Wyselekcjonowani", jak ich pan nazywa...

– Tak.

– Czy może pan podać ich nazwiska?

– Tak. Z dużym prawdopodobieństwem.

– Proszę je wymienić.

– Albert Tuul. Prawie na pewno. Siprian Okigbo. Emil Far-Ale. Również prawie na pewno. Mogę podać jeszcze około dziesięciu nazwisk, ale nie są jeszcze ostatecznie potwierdzone.

– Kontaktował się pan z którymś z nich?

– Sądzę, że tak. W Instytucie Dziwaków. Myślę, że jest ich tam wielu. Ale kto konkretnie, nie umiem powiedzieć.

– To znaczy, że nieznane są panu cechy odróżniające ich od innych ludzi?

– Oczywiście. Wcale się nie różnią wyglądem od pana czy ode mnie. Ale wytypować ich można. W każdym razie z wystarczającą dozą prawdopodobieństwa. A w Instytucie Dziwaków, jestem przekonany, musi być jakaś aparatura, za pomocą której bezbłędnie wykrywają swojego człowieka.

Komow rzucił mi szybkie spojrzenie. Tojwo zauważył to i powiedział z wyzwaniem:

Tak! Uważam, że nie czas teraz na ceremonie! Będziemy musieli odstąpić od niektórych zasad! Mamy do czynienia z Progresorami i trzeba będzie zachowywać się po progresorsku!

– To znaczy? – zapytał Komow, pochylając się do przodu.

– Należy uruchomić cały arsenał naszej metodyki operacyjnej! Od wysyłania agentów do przeprowadzania przymusowych mentoskopii, od...

PAUZA

Kammerer: Oni tam mają aparaturę... rzekomo do wykrywania „dziwaków". Przez ten agregat przechodzą wszyscy odwiedzający Instytut. A naprawdę to ta maszyna szuka tak zwanego rytmu T w mentogramie, inaczej mówiąc „impulsu Łogowienki". Jeśli człowiek ma zdolny do inicjacji trzeci system sygnalny, w jego mentogramie pojawia się ten przeklęty rytm T. No więc w twoim mentogramie ten rytm jest.

DŁUGA PAUZA

Głumow: To jakiś nonsens, Big Bug.

PAUZA

Głumow: Wpuszczają pana w kanał!

PAUZA

Głumow: To prowokacja! Po prostu chcą usunąć mnie z drogi! Widocznie dowiedziałem się czegoś ważnego, tylko na razie jeszcze nie wiem, co to takiego i oni chcą mnie usunąć... To elementarne!

PAUZA

Głumow: Przecież zna mnie pan od dzieciństwa! Przeszedłem tysiące komisji lekarskich, jestem najzwyklejszym człowiekiem! Niech pan im nie wierzy, Big Bug! Kto jest pańskim informatorem?... Nie, nie pytam o nazwisko. Na pewno sam jest tym... Jak pan mu może wierzyć? (krzyczy) Nie o mnie chodzi! Odejdę tak czy inaczej! Ale przecież takim sposobem bez jednego strzału oni rozwalą cały KOMKON! Czy pan o tym pomyślał?

PAUZA

Głumow (złamanym głosem): Co ja mam zrobić? Na pewno pan już pomyślał, co mam robić.

Kammerer: Posłuchaj. Nie ma powodu do rozpaczy. Na razie jeszcze nic strasznego się nie stało. Czego tak wrzeszczysz, jakby cię napadli bandyci w ciemnej uliczce? W końcu wszystko jest w twoich rękach! Nie zechcesz, zostanie jak było!

Głumow: Skąd pan to wie?

Kammerer: Znikąd. Wiem tyle co ty. Przecież przed chwilą czytałeś... Trzeci sygnalny, to tylko potencjał, trzeba go zainicjować... dopiero potem zaczyna się to... przechodzenie z poziomu na poziom... Chciałbym zobaczyć, jak oni to zrobią wbrew twojej woli!

PAUZA

Głumow: Tak. (śmieje się histerycznie) Ale mi pan napędził strachu, szefie!

Kammerer: Po prostu nie załapałeś o co chodzi.

Głumow: Ja im zwyczajnie ucieknę! Niech szukają wiatru w polu! A jeśli znajdą i zaczną namawiać... Może pan przekazać ode mnie, że im gorąco odradzam ten pomysł!

Kammerer: Wątpię, żeby chcieli ze mną rozmawiać.

Głumow: To znaczy?

Kammerer: Widzisz, nie jestem dla nich autorytetem. Będziemy musieli przywyknąć do zupełnie nowej sytuacji. Nie my będziemy ustalać terminy rozmów, nie my będziemy wybierać tematy... W ogóle straciliśmy kontrolę nad przebiegiem wydarzeń. A sytuacja, chyba zgodzisz się ze mną, jest niezwykła! Na naszej Ziemi, wśród nas działa siła... nawet nie siła, lecz potęga! A my nic o niej nie wiemy. Ściślej, wiemy tyle, ile nam pozwalają wiedzieć, a przyznasz, że to jest chyba gorsze niż pełna niewiedza. Nieprzyjemne, prawda? Nie, nie mogę nic złego powiedzieć o ludenach, ale przecież niczego dobrego także nie wiem!

PAUZA

Kammerer: Oni wiedzą o nas wszystko, a my o nich nic. To bardzo poniżające. Teraz każdy, kto się z tym zetknie, musi odczuwać upokorzenie... Na przykład trzeba przeprowadzić głęboką mentoskopię dwóch członków Rady Światowej wyłącznie po to, aby dowiedzieć się, o czym rozmawiano w czasie tego historycznego spotkania w „Domu Leonida"... I zauważ, że ani członkowie Rady Światowej, ani my nie chcemy tego, ta konieczność upokarza nas wszystkich, lecz nie mamy wyjścia, chociaż szanse na sukces są, jak sam rozumiesz, raczej wątpliwe...

Głumow: Ale przecież ma pan wśród nich swojego agenta!

PAUZA

Kammerer: Mów dalej, mów. Rozumiem, że musisz się wygadać.

Głumow: Nic już więcej nie powiem. To nie ma sensu. Pięć lat zajmuję się tą sprawą pod pańskim kierownictwem i przez wszystkie pięć lat miotam się jak ślepe szczenię... Proszę mi chociaż powiedzieć, kiedy pan dowiedział się prawdy? Kiedy pan zrozumiał, że to nie Wędrowcy? Sześć miesięcy temu? Osiem miesięcy?

Kammerer: Niespełna dwa.

Głumow: Wszystko jedno... Kilka tygodni temu. Rozumiem, że miał pan swoje powody, nie chciał mnie pan informować o wszystkich szczegółach, ale jak można było ukryć przede mną, że sam obiekt uległ zmianie? Jak pan mógł pozwolić sobie na to, żebym zrobił z siebie idiotę przed Gorbowskim i Komowem?... Robi mi się gorąco na samo wspomnienie!

Kammerer: A czy nie przychodzi ci do głowy, że miałem jakieś powody?

Głumow: Przychodzi. Ale wcale mi nie jest lżej od tego. Powodów tych nie znam i nawet nie umiem ich sobie wyobrazić... I jakoś nie widzę, żeby pan zamierzał mi je podać! Nie, Big Bug, mam tego absolutnie dosyć. Nie nadaję się do pracy z panem. Proszę mnie zwolnić, odejdę tak czy tak.

PAUZA

Kammerer: Nie mogłem powiedzieć ci prawdy. Najpierw nie mogłem powiedzieć ci prawdy, ponieważ nie wiedziałem co z nią począć. Nawiasem mówiąc, do tej pory nie wiem, ale teraz wszystkie decyzje znajdują się już w innych rękach...

Głumow: Nie trzeba usprawiedliwień, Big Bug.

Kammerer: Milcz. I tak nie wyprowadzisz mnie z równowagi. Bardzo lubisz prawdę? No to zaraz ją usłyszysz. W całości.

PAUZA

Kammerer: Potem posłałem cię do Instytutu Dziwaków i znowu musiałem czekać...

Głumow (przerywa): Co ma z tym wspólnego...

Kammerer (przerywa): Powiedziałem - milcz! Niełatwo jest mówić prawdę, Tojwo. Nie wykładać kawę na ławę, jak to się robi w młodości, tylko wyłożyć ją takiemu jak ty... żółtodziobowi, pewnemu siebie, który wszystko wie i wszystko rozumie. Milcz i słuchaj.

PAUZA

Kammerer: Potem otrzymałem odpowiedź z Instytutu. Ta odpowiedź zwaliła mnie z nóg. Uważałem przecież, że to tylko rutynowa ostrożność, nic więcej, a okazało się... Słuchaj, przed chwilą czytałeś nagranie. Nic ci się nie wydało dziwne?

Głumow: Wszystko w nim jest dziwne...

Kammerer: No to włącz monitor. Przeczytaj jeszcze raz, tylko uważnie, od samego nagłówka. No?

Głumow: Tylko dla członków Prezydium... Jak mam to rozumieć?

Kammerer: No?

Głumow: Dał mi pan do przeczytania poufny dokument... Dlaczego?

Kammerer (wolno, nieomal przymilnie): Jak zauważyłeś, w tym dokumencie są wypustki. A więc mam niejaką nadzieję, że kiedy nadejdzie twój czas, ty po starej znajomości te wypustki mi zapełnisz.

DŁUGA PAUZA

Kammerer: Tak właśnie wygląda cała prawda. W tej części, która dotyczy ciebie. Kiedy tylko dowiedziałem się, że w Instytucie Dziwaków zajmują się selekcją, od razu posłałem tam was wszystkich, jednego za drugim, pod rozmaitymi idiotycznymi pretekstami. To była po prostu rutynowa ostrożność, rozumiesz? Żeby nie zostawić przeciwnikowi najmniejszej szansy. Żeby być pewnym... Nie, pewny byłem i tak... Żeby wiedzieć ze stuprocentową dokładnością, że wśród naszych pracowników są wyłącznie ludzie...

W tym momencie Gorbowski wydał przeciągły jęk, odwróciliśmy się do niego przerażeni. Komow nawet zerwał się na nogi. Jednak nic strasznego z Leonidem Anderejewiczem się nie działo. Leżał w poprzedniej pozie, tylko grymas wysilonej uprzejmości na jego chudej twarzy przemienił się w grymas irytacji i obrzydzenia.

– No i co tu urządzacie przy moim łóżku? – zapytał zbolałym głosem. – Przecież jesteście dorośli, nie sztubacy i nie studenci... Doprawdy, jak wam nie wstyd? To jest właśnie powód, dla którego nie znoszę tych rozmów o Wędrowcach... i nigdy nie znosiłem. Zawsze kończą się przerażonym gadaniem głupstw i intrygą kryminalną! I kiedy wreszcie wszyscy zrozumiecie, że to się wzajemnie wyklucza... Albo Wędrowcy to supercywilizacja i w takim razie w ogóle ich nie interesujemy, są istotami o innej historii, o innych zainteresowaniach i nie zajmują się Progresorstwem, w ogóle w całym Wszechświecie tylko nasza ludzkość zajmuje się Progresorstwem, a to dlatego, że mamy taką a nie inną historię, dlatego że opłakujemy naszą przeszłość... Nie możemy jej zmienić i dlatego staramy się chociażby pomóc innym, jeżeli już nie mogliśmy kiedyś pomóc samym sobie... Oto skąd się wzięło nasze Progresorstwo! Ale Wędrowcy, nawet jeśli ich przeszłość była podobna do naszej, tak daleko od niej odeszli, że już jej nie pamiętają, tak jak my nie pamiętamy udręki pierwszego pitekantropa, próbującego przerobić kamień na kamienny topór... – przez chwilę milczał. – Dla supercywilizacji Progresorstwo byłoby zajęciem równie głupim, jak dla nas organizowanie kursów dla wiejskich diakonów...

Znowu zamilkł i milczał bardzo długo, przenosząc spojrzenie na każdego z nas po kolei. Popatrzyłem kątem oka na Tojwo. Tojwo spuścił oczy, kilkakrotnie wzruszył prawym ramieniem, jakby pokazując, że ma jeszcze w zanadrzu pewne kontrargumenty, ale nie uważa, aby mu wypadało ich użyć. Zaś Komow marszcząc gęste czarne brwi patrzył w bok.

– E-he-he-he-he... – zakasłał Gorbowski. – Nie udało mi się was przekonać. Dobrze, spróbuję wobec tego obrazić. Jeżeli nawet taki żółtodziób jak nasz miły Tojwo zdołał... e-e-e... namierzyć tych Progresorów, to jacy to u diabła Wędrowcy? No, sami się zastanówcie! Czyżby supercywilizacja nie potrafiła tak zorganizować swojej roboty, żebyście niczego nie mogli zauważyć? Wieloryby oszalały, to znaczy, że winni są Wędrowcy!... Zejdźcie mi z oczu i dajcie umrzeć spokojnie!

Wstaliśmy. Komow przypomniał mi półgłosem:

– Zaczekajcie w living-roomie.

Rozstrojony Tojwo ukłonił się Gorbowskiemu. Starzec nie zwrócił na niego uwagi. Gniewnie wpatrywał się w sufit, poruszając szarymi wargami.

Wyszliśmy obaj z Tojwo. Starannie zamknąłem za sobą drzwi i usłyszałem, jak słabo cmoknął uruchomiony właśnie system izolacji akustycznej.

W living-roomie Tojwo natychmiast usiadł na kanapie pod lampą, położył dłonie na kolanach i znieruchomiał. Na mnie nie patrzył. Nie miał do mnie głowy.

(Powiedziałem mu dzisiaj rano:

– Pójdziesz ze mną. Zreferujesz wszystko Gorbowskiemu i Komowowi.

– Po co? – zapytał zaskoczony.

– A co, wyobrażasz sobie, że obejdziemy się bez Rady Światowej?

– Ale dlaczego ja?

– Dlatego, że ja im już referowałem. Teraz kolej na ciebie.

Dobrze – powiedział, przygryzając wargi.

On był wojownikiem, mój Tojwo. Nigdy się nie cofał. Można go było tylko odrzucić.)

I oto odrzucono go. Obserwowałem go z mojego kąta.

Czas jakiś siedział nieruchomo, potem bezmyślnie przekartkował leżące przed nim na niskim stoliku mentogramy, podkreślone różnokolorowymi znaczkami lekarzy. Potem wstał i zaczął chodzić z kąta w kąt po ciemnym pokoju, z rękami założonymi na plecach.

W domu panowała niczym nie zakłócona cisza. Nie było słychać ani głosów z sypialni, ani szumu drzew za szczelnie zasuniętymi portierami. Nie słyszał nawet własnych kroków.

Jego oczy przywykły do półmroku. Living Leonida Andrejewicza był umeblowany po spartańsku. Stojąca lampa (z abażurem wyraźnie własnej produkcji), wielka kanapa, obok niski stolik. W przeciwległym kącie kilka siedzisk najwyraźniej pozaziemskiego pochodzenia i najwyraźniej przeznaczonych

nie dla ziemskich tyłków. W sąsiednim kącie - ni to jakaś egzotyczna roślina, ni to staroświecki wieszak na kapelusze. To wszystko. No i może jeszcze jedno - drzwiczki barku w ścianie były uchylone i można było stwierdzić, że jest nieźle zaopatrzony. A nad barkiem wiszą obrazki w przezroczystych oprawach, największa - jak karta albumu.

Tojwo podszedł i zaczął je oglądać. To były rysunki dziecka. Akwarele. Gwasze. Tusz. Malutkie domki, a obok duże dziewczynki, którym sosny sięgają do kolan. Psy (albo Głowany?). Słoń. Tachorg. Jakaś kosmiczna konstrukcja - może fantastyczny gwiazdolot, może hangar... Tojwo westchnął i wrócił na kanapę. Śledziłem go bardzo uważnie.

Miał łzy w oczach. Już nie myślał o przegranej bitwie. Tam za drzwiami umierał Gorbowski, umierała epoka, umierała żywa legenda. Astronauta. Komandos. Odkrywca cywilizacji. Twórca Wielkiego KOMKONu. Członek Rady Światowej. Dziadek Gorbowski. Był jak z bajki - zawsze dobry i dlatego zawsze miał rację. Taka była jego epoka, że dobroć zawsze zwyciężała. „Ze wszystkich możliwych rozwiązań wybieraj to, w którym jest najwięcej dobroci". Nie najbardziej obiecujące, najbardziej racjonalne, nie najbardziej postępowe, a już na pewno nie najbardziej efektywne, ale to, w którym jest najwięcej dobroci! Nigdy nie wypowiadał tych słów, nadzwyczaj jadowicie wyrażał się o swoich biografach, którzy przypisywali mu te słowa i z pewnością nigdy nie myślał tymi słowami, jednak cała treść jego życia zawarta jest w nich właśnie. Oczywiście słowa to nie recepta, nie każdemu jest dane być dobrym, to taki sam talent jak na przykład słuch muzyczny albo jasnowidzenie, tylko znacznie rzadszy. I będzie wyciosane w kamieniu „On był dobry"...

Wydaje mi się, że Tojwo tak właśnie myślał. Wszystkie moje wyliczenia opierały się na założeniu, że Tojwo myślał właśnie tak.

Minęły 43 minuty.

Nieoczekiwanie otwarły się drzwi. Wszystko było jak w bajce. Albo w kinie. Gorbowski, niewyobrażalnie długi w swojej pasiastej piżamie, chudy, wesoły, niepewnym krokiem wszedł do pokoju, ciągnąc za sobą kraciasty pled, którego frędzle zaczepiły się o jakiś guzik piżamy.

- Ach, jeszcze tu jesteś! - powiedział z radosnym zadowoleniem na widok Tojwo, który zamarł ze zdziwienia na kanapie. - Wszystko przed nami, mój chłopcze! Wszystko przed nami! Miałeś rację!

I wypowiedziawszy te zagadkowe słowa, ruszył lekko się chwiejąc do najbliższego okna i odsunął portierę. Zrobiło się oślepiająco jasno, więc zmrużyliśmy oczy, a Gorbowski odwrócił się i popatrzył na Tojwo, który zamarł obok lampy w postawie zasadniczej. Spojrzałem na Komowa. Komow wyraźnie promieniał, błyskając białymi zębami, zadowolony jak kot, który przed chwilą pożarł złotą rybkę. Wyglądał jak swój chłop, któremu właśnie udał się wspaniały kawał. Zresztą na dobrą sprawę tak właśnie było.

- Nieźle, nieźle - powtórzył Gorbowski. - Nawet znakomicie!

Z głową pochyloną na bok przybliżał się do Tojwo, lustrując go otwarcie od stóp do głów, podszedł bardzo blisko, położył mu rękę na ramieniu i lekko ścisnął kościstymi palcami.

- Mam nadzieję, że darujesz mi szorstkość, mój chłopcze - powiedział. - Ale przecież i ja również miałem rację... A szorstkość to z rozdrażnienia. Muszę ci wyznać, że umieranie jest obrzydliwym zajęciem. Nie przejmuj się.

Tojwo milczał. Oczywiście, nic z tego nie rozumiał. Komow to wymyślił i przeprowadził. Gorbowski wiedział dokładnie tyle, ile Komow uznał za stosowne mu powiedzieć. Świetnie wyobrażałem sobie, jaka rozmowa odbyła się w sypialni. Ale Tojwo nie rozumiał nic.

Ująłem go za łokieć i powiedziałem Gorbowskiemu:

- Pójdziemy już.

Gorbowski pokiwał głową:

- Oczywiście, idźcie. Dziękuję. Bardzo mi pomogliście. Zobaczymy się jeszcze i to nie raz.

Kiedy wyszliśmy na ganek, Tojwo zapytał:

- Może mi pan wyjaśni, co to wszystko znaczy?

- Przecież widzisz, odechciało mu się umierać - powiedziałem.

- Dlaczego?

- Daruj, Tojwo, ale to głupie pytanie...

Kierownica już nie rwała mi się z rąk - przekazałem ją innym. I teraz, nawet z niejakim dystansem, dostrzegałem (dla siebie), że Komow przesadza, a Leonid Andrejewicz swoim zwyczajem przesadnie wierzy w szczęśliwe zakończenie dowolnego kataklizmu...

Znowu byłem na swoim miejscu i znowu moim udziałem były zwyczajne kłopoty, jak na przykład zapewnienie stałej i dostatecznie pełnej informacji tym, którzy będą podejmować decyzje.

Wieczorem 15-ego otrzymałem od Komowa rozkaz, żebym postąpił tak jak uznam za stosowne.

Rano 16-ego wezwałem do siebie Tojwo Głumowa. Bez żadnych wstępnych wyjaśnień dałem mu do przeczytania zapis rozmowy w „Domu Leonida". Ciekawe, że byłem pewny sukcesu.

Zresztą dlaczego miałem wątpić?

★

DOKUMENT 20

ROBOCZY FONOGRAM

Data: 16 maja 99 roku

Rozmówcy: Maksym Kammerer, naczelnik wydziału NW i Tojwo Głumow, inspektor

Temat: x x x

Treść: x x x

Głumow: Co było w tych wypustkach?

Kammerer: Brawo. Ależ ty masz zimną krew, chłopcze. Kiedy ja zrozumiałem w czym rzecz, pamiętam, że pół godziny łaziłem po ścianach.

Głumow: Więc co było w wypustkach?

Kammerer: Nie wiadomo.

Głumow: Jak to, nie wiadomo?

Kammerer: A tak to. Komow i Gorbowski nic nie pamiętają. Oni nawet nie zauważyli żadnych wypustek. A odtworzyć zapisu nie sposób. Nie jest nawet skasowany, jest unicestwiony. Zniszczono molekularną strukturę kryształu.

Głumow: Dziwny sposób prowadzenia negocjacji.

Kammerer: Trzeba się zacząć przyzwyczajać.

PAUZA

Głumow: No i co teraz będzie?

Kammerer: Na razie jeszcze zbyt mało wiemy. Właściwie widać tylko dwie możliwości. Albo nauczymy się z nimi współistnieć, albo się NIE nauczymy.

Głumow: Jest jeszcze trzecia możliwość.

Kammerer: Nie wariuj. Nie ma trzeciej możliwości.

Głumow: Jest trzecia możliwość! Oni się z nami nie patyczkują!

Kammerer: To żaden argument.

Głumow: To jest argument! Oni nie pytali Rady Światowej o pozwolenie! Od wielu lat prowadzą potajemną działalność, przekształcając ludzi w nieludzi! Przeprowadzają na nas eksperymenty! I nawet teraz, kiedyśmy ich zdemaskowali, przychodzą na negocjacje i pozwalają sobie...

Kammerer (przerywa): To, co chcesz zaproponować, można zrobić albo otwarcie - i wtedy ludzkość będzie świadkiem ohydnego aktu gwałtu - albo potajemnie, paskudnie, za plecami opinii publicznej...

Głumow: (przerywa): To są tylko słowa! A chodzi o to, że ludzkość nie powinna być inkubatorem dla nieludzi, a tym bardziej poligonem dla ich przeklętych eksperymentów! Proszę mi darować, Big Bug, ale twierdzę, że popełnił pan błąd! Nie powinien pan informować o tej sprawie ani Komowa, ani Gorbowskiego. Postawił ich pan w idiotycznej sytuacji. To sprawa KOMKONu-2 i leży ona całkowicie w naszej kompetencji. Myślę, że jeszcze nie jest za późno. Weźmiemy ten grzech na swoje sumienie.

Kammerer: Słuchaj, skąd u ciebie ta ksenofobia? Przecież to nie Wędrowcy, to nie Progresorzy, których tak nienawidzisz...

Głumow: Mam uczucie, że oni są gorsi od Progresorów. To są zdrajcy. Pasożyty. Coś w rodzaju os, które składają jajka w gąsienicach...

rozprzestrzeniona na kwitnących równinach pod jasnym niebem poderwała się wzwyż. Oczywiście niezbyt tłumnie, ale dlaczego to cię martwi? Tak było zawsze. I zapewne tak będzie. Ludzkość zawsze uchodziła w przyszłość, wysyłając najlepszych swoich przedstawicieli jako zwiadowców. A to, że Danił Aleksandrowicz zawraca nam głowę, że nie jest człowiekiem, tylko ludenem, to po prostu kwestia terminologii... Tak czy inaczej jesteście ludźmi, więcej - Ziemianami i żadnym sposobem przed tym nie uciekniecie. Młodzi jesteście i macie zielono w głowie.

Komow: Czasami twoja lekkomyślność jest doprawdy przerażająca! Przecież to rozłam! Rozłam, rozumiesz? A ty, przepraszam bardzo, częstujesz nas sentymentalną bzdurą!

Gorbowski: Jakiś ty, Genadij... w gorącej wodzie kąpany. Oczywiście, że rozłam! Ciekawe gdzie i kiedy widziałeś postęp bez rozłamu? Bez szoku, bez goryczy, bez poniżenia? Bez tych, którzy odchodzą daleko naprzód i tych, którzy zostają w tyle?

Komow: No naturalnie! „I tych, którzy mnie unicestwią, witam pochwalnym hymnem"...

Gorbowski: Tu by raczej pasowało coś w rodzaju... powiedzmy... „I tych którzy mnie prześcignęli, żegnam pochwalnym hymnem"...

Łogowienko: Nich mi będzie wolno, Genadij, pocieszyć pana. Mamy bardzo poważne podstawy sądzić, że ten rozłam nie jest ostatni. Poza trzecim sygnalnym w organizmie homo sapiens odkryliśmy czwarty o niskiej częstotliwości i piąty... na razie bezimienny. Co może dać inicjacja tych układów, my - nawet my! - nie możemy przewidzieć. I nie potrafimy przewidzieć, ile ich jeszcze kryje organizm człowieka. Powiem więcej. Rozłam już dojrzewa nawet wśród nas! To nieuniknione. Sztuczna ewolucja to proces lawinowy. (Pauza) Cóż począć! Mamy za sobą sześć Naukowo-Technicznych Rewolucji, dwie kontrrewolucje technologiczne, dwa gnoseologiczne kryzysy, chcąc nie chcąc, trzeba zacząć ewoluować...

Gorbowski: Otóż to. Gdybyśmy siedzieli cicho jak Tagorianie albo Leonidanie, mielibyśmy święty spokój. A nam zachciało się rozwijać technikę!

Komow: Dobra, dobra. A czym właściwie jest metahomo? Jakie są jego cele? Bodźce? Zainteresowania? Jeśli to nie tajemnica?

Łogowienko: Nie ma mowy o tajemnicach.

(Na tym fonogram się urywa. Wszystko co było dalej - 34 minuty 11 sekund - jest nieodwracalnie starte)

15.05.99 Spisał **Maksym Kammerer**

(koniec Dokumentu 19)

Wstyd wspominać, ale przez wszystkie ostatnie dni trwałem w nastroju bliskim euforii. Jakby nagle ustało nieznośne, fizycznie odczuwalne napięcie. Zapewne czegoś podobnego doświadczał Syzyf, kiedy wreszcie kamień wyrywał się z jego rąk i wtedy mógł chwilę posiedzieć spokojnie na szczycie, dopóki wszystko nie zaczynało się na nowo.

Każdy Ziemianin przeżył Wielką Iluminację po swojemu. Ale uwierzcie, wypadł mi los gorszy niż komukolwiek innemu.

Przeczytałem teraz wszytko, co napisałem wyżej i zacząłem się obawiać, że moje przeżycia związane z Wielką Iluminacją mogą być zrozumiane opacznie. Może powstać wrażenie, jakobym obawiał się o losy ludzkości. Jasne, że nie obeszło się bez obaw - przecież wtedy nie wiedziałem jeszcze nic o ludenach, oprócz tego, że istnieją. Więc obawy istniały. A także krótkie paniczne myśli „No, tośmy się doigrali"! I katastroficzne wrażenie ostrego zakrętu, kiedy wydaje się, że kierownica lada sekunda wyrwie ci się z rąk i polecisz nie wiadomo dokąd, jak dzikus w czasie trzęsienia ziemi... Ale przeważała poniżająca świadomość pełnej zawodowej nieprzydatności. Przegapiliśmy. Przepuściliśmy, dyletanci, partacze...

I teraz to wszystko odpuściło. I zresztą wcale nie dlatego, że uwierzyłem Łogowience, albo że mnie jakkolwiek przekonał. Szło o coś zupełnie innego.

Przez półtora miesiąca jakoś przywykłem do poczucia zawodowej klęski. („Moralne męki są do zniesienia" - oto jedno z malutkich i nieprzyjemnych odkryć, które robimy z upływem lat).

Tojwo milczał chwilę, a potem powiedział:

- Bo ja jestem głupi. To znaczy, jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak głupio... Dziękuję za wszystko, Big Bug.

Coś tam odburknąłem. W milczeniu schodziliśmy po schodkach na lądowisko. Jakiś mężczyzna niespiesznie szedł nam na spotkanie.

- Dobra - powiedział Tojwo. - Czy mam kontynuować pracę nad tematem?
- Oczywiście.
- Ale przecież wyśmiano mnie!
- Przeciwnie. Zrobiłeś świetne wrażenie.

Tojwo wymamrotał coś pod nosem. Na pierwszym podeście znaleźliśmy się równocześnie z mężczyzną, który szedł nam naprzeciw. To był zastępca dyrektora charkowskiej filii Instytutu Badań Metapsychicznych, Danił Łogowienko, zarumieniony i nader zafrasowany.

- Witaj - powiedział do mnie. - Czy bardzo się spóźniłem?
- Nie bardzo - odparłem. - On czeka na ciebie.

I w tym momencie Danił Łogowienko porozumiewawczo mrugnął do Tojwo Głumowa, po czym ruszył dalej po schodach na górę, teraz już z wyraźnym pośpiechem. Tojwo odprowadził go niedobrym spojrzeniem.

★

DOKUMENT 19

ŚCIŚLE POUFNE!
TYLKO DLA CZŁONKÓW PREZYDIUM RADY ŚWIATOWEJ!
EGZEMPLARZ NR 115
Treść: zapis rozmowy w „Domu Leonida" (Krasława, Łotwa) 14 maja 99 roku.
Uczestniczyli: Leonid Gorbowski, członek Rady Światowej, Genadij Komow, członek Rady Światowej, p.o. Prezydenta sekcji Ural-Północ KOMKONu-2, Danił Łogowienko, zastępca dyrektora charkowskiej filii Instytutu Badań Metapsychicznych.

Komow: To znaczy, że faktycznie niczym się pan nie różni od zwyczajnego człowieka?

Łogowienko: Różnica jest ogromna, ale... Teraz, kiedy tu siedzę i rozmawiam z wami, różnię się od was wyłącznie świadomością swojej odmienności. To jest jeden z moich poziomów... dosyć nużący zresztą. Udaje mi się to nie bez wysiłku, ale ja akurat jestem przyzwyczajony, a większość z nas od tego poziomu odwykła już raz na zawsze... A więc na tym poziomie różnicę można wykryć tylko specjalną aparaturą.

Komow: Chce pan powiedzieć, że na innych poziomach...

Łogowienko: Tak. Na innych poziomach wszystko jest inne. Inna świadomość, inna fizjologia. Nawet inny wygląd...

Komow: To znaczy, że na innych poziomach nie jesteście już ludźmi?

Łogowienko: W ogóle nie jesteśmy ludźmi. Niech was nie wprowadza w błąd fakt, że pochodzimy od ludzi i ludzie nas zrodzili...

Gorbowski: Przepraszam, a czy nie mógłby pan nam zademonstrować... Proszę mnie dobrze zrozumieć, nie chciałbym pana urazić, ale do tej pory... to wszystko tylko słowa... prawda? Jakiś inny poziom, jeżeli nie sprawi to panu kłopotu, dobrze?

(słychać niegłośne dźwięki, przypominające przeciągły świst, czyjś niewyraźny okrzyk, brzęk stłuczonego szkła)

Łogowienko: Przepraszam, myślałem, że to jest z nietłukącego się szkła.

(pauza około dziesięciu sekund)

Łogowienko: To ten?

Gorbowski: N-nie... Zdaje się... Nie, nie, to nie ten. Tamten, o, stoi na parapecie...

Łogowienko: Chwileczkę...

Gorbowski: Nie trzeba, proszę się nie trudzić, przekonał mnie pan. Dziękuję.

Komow: Nie zrozumiałem, co się stało. To sztuczka magiczna? Ja bym...

(w fonogramie wypustka: 12 minut 23 sekundy)

Łogowienko: ... zupełnie inny.
Komow: Co ma z tym wspólnego fukamizacja?
Łogowienko: Odhamowywanie podwzgórza niszczy trzeci sygnalny. Nie mogliśmy do tego dopuścić, póki nie nauczyliśmy się go regenerować.
Komow: I przeprowadziliście kampanię w sprawie Poprawki.
Łogowienko: Mówiąc ściśle, kampanię przeprowadziliście wy. Ale oczywiście z naszej inicjatywy.
Komow: A „syndrom pingwina"?
Łogowienko: Nie rozumiem.
Komow: No te wszystkie fobie, które wywoływaliście swoimi eksperymentami... kosmofobie, ksenofobie...
Łogowienko: A, już wiem. Widzi pan, istnieje kilka sposobów i metod wykrycia u człowieka trzeciego sygnalnego. Ja sam jestem technikiem, ale moi koledzy...
Komow: Więc to też była wasza robota?
Łogowienko: Rozumie się! Przecież nas jest bardzo niewielu, tworzymy swoją rasę własnymi rękami, w tej chwili, z marszu. Chętnie wierzę, że niektóre nasze sposoby wydają się wam amoralne, nawet okrutne... ale musicie przyznać, że ani razu nie dopuściliśmy do działań o skutkach nieodwracalnych.
Komow: Powiedzmy. Jeśli nie liczyć wielorybów.
Łogowienko: Bardzo przepraszam. Nie „powiedzmy", a właśnie nie dopuściliśmy. Jeśli zaś chodzi o wieloryby...
(w fonogramie wypustka: 2 minuty 12 sekund)
Komow: ... interesowało nie to. Proszę zauważyć, Leonidzie Andrejewiczu, nasi chłopcy szli niewłaściwym tropem, ale we wszystkim oprócz interpretacji mieli rację.
Łogowienko: Dlaczego „oprócz"? Nie wiem, kto to są ci „wasi chłopcy", ale Maksym Kammerer namierzył nas bardzo precyzyjnie. Dotąd nie wiem, w jaki sposób w jego rękach znalazła się lista wszystkich ludenów, poddanych inicjacji w ciągu ostatnich 3 lat.
Gorbowski: Przepraszam, pan powiedział „ludenów"?
Łogowienko: Nie mamy jeszcze przyjętej przez nas obowiązującej nazwy. Większość używa terminu „metahomo", że tak powiem „za-człowiek". Niektórzy nazywają siebie „mizitom". Ja wolę nazywać nas ludenami. Po pierwsze koresponduje to ze słowem „ludzie", po drugie – pierwszym z nas był Paweł Ludenow, to nasz Adam. Po trzecie istnieje żartobliwy termin „homo ludens"...
Komow: „Człowiek bawiący się"...
Łogowienko: Tak. „Człowiek bawiący się". A więc Maksym zdobył jakimś sposobem listę ludenów i bardzo zręcznie mi ją zademonstrował, dając do zrozumienia, że nie jesteśmy już dla was tajemnicą. Mówiąc szczerze, poczułem ulgę. Był to bezpośredni powód, żeby wreszcie rozpocząć negocjacje. Już ponad miesiąc czułem na swoim pulsie czyjąś rękę, próbowałem wysondować Maksyma...
Komow: To znaczy, że nie umiecie czytać cudzych myśli? Przecież readerzy...
(w fonogramie wypustka: 9 minut 44 sekundy)
Łogowienko: ... przeszkadzać. I nie tylko dlatego. Uważaliśmy, że należy zachować tajemnicę przede wszystkim w waszym interesie, w interesie ludzkości. Chciałbym, żeby w tej sprawie była pełna jasność. My nie jesteśmy ludźmi. Jesteśmy ludenami. Nie popełnijcie błędu. My nie jesteśmy rezultatem ewolucji biologicznej. Zjawiliśmy się dlatego, że ludzkość osiągnęła określony poziom socjotechnicznej organizacji. W organizmie człowieka trzeci sygnalny można było odkryć już sto lat temu, ale jego inicjacja okazała się możliwa dopiero w początkach naszego stulecia, utrzymanie zaś ludena na spirali psychofizjologicznego rozwoju, przeprowadzenie go z poziomu na poziom do samego końca... czyli używając waszych pojęć, wychowanie ludena stało się możliwe dopiero bardzo niedawno...
Gorbowski: Chwileczkę, chwileczkę! To znaczy, że ten trzeci sygnalny istnieje jednak w organizmie każdego człowieka?
Łogowienko: Niestety nie. Na tym właśnie polega tragedia. Trzeci sygnalny zdarza się z prawdopodobieństwem nie większym niż jeden na sto tysięcy. Na razie jeszcze nie wiemy, skąd się wziął i dlaczego. Najpewniej jest to rezultat jakiejś zamierzchłej mutacji.

Komow: Jeden na sto tysięcy – no, wcale nie tak mało w przeliczeniu na miliardy ludzi. A więc – rozłam?
Łogowienko: Tak. I stąd tajemnica. Proszę mnie dobrze zrozumieć. Dziewięćdziesiąt procent ludenów absolutnie nie interesuje się losami ludzkości i w ogóle ludzkością. Ale jest też grupa takich jak ja. Nie chcemy zapomnieć, że ludeny to krew z krwi i kość z kości człowieka, że mamy tę samą Ojczyznę i od wielu lat łamiemy sobie głowy, jak złagodzić skutki nieuniknionego rozłamu... Przecież faktycznie wszystko wygląda tak, jakby ludzkość rozdzieliła się na dwie rasy: wyższą i niższą. Cóż może być obrzydliwszego? Oczywiście analogia jest powierzchowna i niesłuszna z samej swej istoty, ale nie uda się wam uciec przed poczuciem upokorzenia na myśl o tym, że jeden z was oddalił się daleko, poza granicę nieosiągalną dla pozostałych stu tysięcy. A ten jeden nigdy nie pozbędzie się poczucia winy za to, że jest jaki jest. I co najstraszniejsze, podział przebiega poprzez rodziny, między przyjaciółmi...
Komow: To znaczy, że metahomo traci więzi uczuciowe?
Łogowienko: To bardzo indywidualne. I nie takie proste, jak wam się wydaje. Najbardziej typowy model stosunku ludena do człowieka to stosunek doświadczonego i bardzo zapracowanego dorosłego do sympatycznego i okropnie dokuczliwego dziecka. Więc wyobraźcie sobie te stosunki w parach: luden i jego ojciec, luden i jego bliski przyjaciel, luden i jego Nauczyciel...
Gorbowski: Luden i jego dziewczyna...
Łogowienko: To są tragedie, Leonidzie Andrejewiczu. Prawdziwe tragedie.
Komow: Widzę, że pan to bierze bardzo blisko do serca. W takim razie może najlepiej z tym skończyć? Ostatecznie wszystko jest w waszych rękach...
Łogowienko: A czy nie wydaje się panu, że byłoby to amoralne?
Komow: A czy nie wydaje się panu amoralne doprowadzenie ludzkości do stanu szoku? Wywoływanie w psychologii społecznej kompleksu niższości? Unaocznianie młodym, że ich możliwości są ograniczone?
Łogowienko: Po to tu przyszedłem – żeby szukać wyjścia.
Komow: Wyjście jest jedno. Powinniście opuścić Ziemię.
Łogowienko: Przepraszam. Kto „my"?
Komow: Wy, ludeny.
Łogowienko: Powtarzam – w znakomitej większości ludeny na Ziemi nie przebywają. Wszystkie ich zainteresowania, całe ich życie nie dotyczy Ziemi. Do diabła, przecież pan też nie mieszka w łóżku! A stale związani z Ziemią są tylko położnicy, tacy jak ja oraz homopsychologowie... i jeszcze kilka dziesiątków najnieszczęśliwszych z nas, tych, którzy nie mogą oderwać się od najbliższych i kochanych!
Gorbowski: A!
Łogowienko: Co pan powiedział?
Gorbowski: Nic, nic, słucham bardzo uważnie.
Komow: Więc twierdzi pan, że interesy ludzi i ludenów nie mają żadnych punktów stycznych?
Łogowienko: Tak.
Komow: Czy możliwa jest współpraca?
Łogowienko: W jakiej dziedzinie?
Komow: To pan powinien wiedzieć.
Łogowienko: Obawiam się, że wy nie możecie być dla nas użyteczni. A jeśli chodzi o nas... wie pan, jest taki stary dowcip. W naszej sytuacji brzmi on dosyć okrutnie, ale go przytoczę. „Niedźwiedzia można nauczyć jeździć na rowerze, ale czy będzie to dla niedźwiedzia pożyteczne i przyjemne"? Na miłość boską, proszę mi wybaczyć. Ale sam pan powiedział – nasze interesy nie mają punktów stycznych. (pauza) Oczywiście, jeżeli Ziemi i ludzkości będzie grozić jakieś niebezpieczeństwo, przyjdziemy bez wahania na pomoc i użyjemy całej siły jaką dysponujemy.
Komow: Dobre i to.
(Długa pauza, słychać jak bulgocze płyn, dźwięczy szkło o szkło, odgłosy przełykania, chrząkanie.)
Gorbowski: Tak, to poważne wyzwanie dla naszego optymizmu. Ale jeśli się zastanowić, to ludzkość przyjmowała groźniejsze wyzwania. I w ogóle nie rozumiem cię, Genadij. Byłeś płomiennym zwolennikiem pionowego postępu! No więc teraz masz swój pionowy postęp! W najczystszej formie! Ludzkość

Żar jej spojrzenia ponownie stopił się w zagryzaniu warg, ale tym razem nie spuszczała mnie z oka.

– No tak, jasne, oczywiście, że rozumiem. Jak słowo daję, to curry było doskonałe, Saxony.

Później, kiedy wręczyłem jej księgę o marionetkach, spojrzała na nią jeden jedyny raz i wybuchnęła płaczem. Nie chciała wziąć książki do ręki, tylko podniosła się z fotela i podeszła do mnie. Objęła mnie za szyję i trzymała tak bardzo długo.

Od niewinnych pieszczot przeszliśmy na łóżko. Zaczęliśmy pospiesznie ściągać z siebie nawzajem ubrania. Ale szło to za wolno, więc zajęliśmy się każde własnymi guzikami. Chociaż stała plecami do mnie, zamarłem w bezruchu na widok, jak ściąga koszulę przez głowę. Uwielbiam patrzeć jak kobieta się rozbiera. Wszystko jedno, czy potem się z nią kocham, czy tylko podglądam przez okno – zawsze jest w tym coś drażniącego i wspaniale podniecającego.

Przyłożyłem kciuk do nasady jej karku i wolno przejechałem nim po zakrzywieniu kręgosłupa. Obejrzała się przez ramię z miną nie całkiem zadowoloną.

– Mogę o coś poprosić?

– Naturalnie.

– Bardzo się wstydzę przy kimś rozbierać. Przepraszam, ale czy nie mógłbyś na ten czas zamknąć oczy albo patrzeć w inną stronę?

Przechyliłem się przez łóżko i pocałowałem ją w ramię.

– Jasne. Ja też się przy tym czuję niewyraźnie.

Układ był idealny. Nienawidzę ściągać portek na oczach nieznajomej kobiety. A tak było wprost świetnie: odwrócę się od niej, razem ściągniemy majtki i równocześnie wślizgniemy się pod kołdrę, zgasimy światło...

RRRrriiinnggg!

Kiedy zadzwonił telefon, właśnie występowałem z szortów. Nikt nigdy do mnie nie dzwonił, a już na pewno nie o dwunastej w nocy. Telefon stał w drugim końcu pokoju, więc skoczyłem do niego, goły jak święty turecki. Saxony krzyknęła z przerażenia, a wtedy ja machinalnie odwróciłem się wprost do niej. Jej zielone majtki znajdowały się gdzieś około kolan, a po minie poznałem, że nie wie, czy ma je dalej zdejmować, czy wciągać z powrotem.

– Tomasz? Gdzie ty byłeś? Od kilku dni próbuję się do ciebie dodzwonić!

– Mamuśka?

– Tak. Tylko w środku nocy można cię zastać w domu. Dostałeś te majtki od Bloomingdale'a, które ci wysłałam?

– Majtki? Ma... – Zakryłem dłonią mikrofon i spojrzałem na Saxony. – Moja mamusia dzwoni, żeby się dowiedzieć, czy dostałem już majtki od Bloomingdale'a, które mi wysłała.

Sax natychmiast popatrzyła na majtki, które trzymała w garści, a potem na mnie. Oboje parsknęliśmy śmiechem. Jak najszybciej zakończyłem rozmowę z matką.

★

Przez najbliższe tygodnie coraz więcej czasu spędzaliśmy razem. Pojechaliśmy do New Haven obejrzeć jakąś sztukę, któregoś wieczoru wybraliśmy się samochodem na kolację aż do Sturbridge Village, a raz przesiedzieliśmy wściekłą burzę gradową na Rhode Island w małej chatynce, będącej własnością mojej matki.

Któregoś popołudnia Saxony potulnie zapytała, czy może pojechać do Galen.

– Dobrze, ale pod warunkiem, że ze mną.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

JONATHAN CARROLL

Kraina Chichów

(The Land of Laughs)

przełożyła **Jolanta Kozak**

Kiedy pierwsza powieść Jonathana Carrolla, „Kraina Chichów", ukazała się (po kilku nieudanych próbach) w roku 1980 nakładem wydawnictwa Viking, napisano o niej garść pochlebnych recenzji, ale czytelnicy fantazji nie zwrócili na książkę większej uwagi. Druga powieść tego autora, „Voice of Our Shadow" (Głos naszego cienia, 1983), wydana również przez Viking, uzyskała bardziej zróżnicowane recenzje, ale ogólna reakcja prasy była jej przychylna i książka w plebiscycie Washington Post „Book World" została jedną z „Książek Roku 1983".

Czytelnicy dostrzegli dopiero popularne wydania oficyny Ace. Najznamienitszym z tych czytelników był Stephen King, który w dowcipnym i taktownym liście przeprasza autora za to, że nie wysilił się na komentarz po otrzymaniu egzemplarzy sygnalnych pierwszej książki, w tych oto słowach:

Człowieku! Pożarłem pańską cholerną powieść co do literki! Nie pamiętam, kiedy mnie ostatnio tak ruszyła powieść fantastyczna; czułem się trochę tak, jakbym czytał to, czym mógłby być „Buszujący w zbożu", gdyby napisał go C.S. Lewis. Najbardziej podobało mi się to, że na oko to wcale nie jest powieść fantastyczna, że nie jest od początku „tego typu historią", a fantastyczna robi się od środka, i to wyłącznie dlatego, że ścieżki bohatera przypadkiem prowadzą w krainę, gdzie psy mówią ludzkim głosem i gdzie człowiek wcale nie boi się podróżować pociągiem. Nie wiem, czy cytat ze mnie pomógłby Panu w odpowiednim momencie - doświadczenie nauczyło mnie, że efektowne cytaty na skrzydełku są znacznie ważniejsze dla sprzedawców książek niż dla czytelników, ale, wszystko jedno, szczerze żałuję, że go nie dałem, chociażby po to, żeby moje nazwisko znalazło się na okładce tej książki. Byłby to zarazem dowód na to, że moje poczucie smaku nie kończy się w gębie. (22 listopada 1983).

Innym wielbicielem Carrolla, który też napisał do niego list, jest Peter Straub. „Krainę Chichów" chwalili poza tym autorzy tak różni od siebie jak Christopher Priest, Michael Ende i Stanisław Lem.

Trzy powieści Carrolla - dwie wymienione oraz nie opublikowana jeszcze „Bones of the Moon" (Kości Księżyca) - będą wkrótce opublikowane przez wydawnictwo Suhrkamp (RFN), w tłumaczeniu na niemiecki, w ramach serii fantasy i science fiction - „Fantastic Library".

„Kraina Chichów" zapowiada się na klasyczną pozycję współczesnej literatury - jest to jedna z tych książek, które wrastają w człowieka - a powieść najnowsza: „Bones of the Moon", to dzieło równie imponujące, napisane pięknym językiem, pełnym wdzięku i ludzkiego ciepła. Znajdziemy tu przeciwstawienie i analizę wzajemnych powiązań między codziennym, skończenie ziemskim światem ludzi dorosłych a światem marzeń i fantazji, z elementami bajki dla dzieci - Rondua przypomina nieco Oz.

Jonathan Carroll, który woli, żeby mówić raczej o jego dorobku niż o nim samym, studiował w Rutgers, gdzie uzyskał stopień magistra filologii angielskiej. Od dwunastu lat uczy w Amerykańskiej Szkole Międzynarodowej w Wiedniu - tej samej, do której przez dwa lata uczęszczał syn Lema, Tomek. W swoim dorobku pisarskim ma, oprócz trzech powieści, recenzji i esejów krytycznych, garść opowiadań drukowanych w różnych czasopismach.

Franz Rottensteiner

pan kiedyś do trumny? Jasne: jedno spojrzenie i wie się, że to nieboszczyk. Partacka robota. A Martin miał ten dryg, rozumie pan, co mam na myśli. Miał coś takiego, czego nawet ja mu zazdrościłem. Człowiek patrzył na jego robotę i myślał sobie: z jakiej racji ten gość w ogóle leży w trumnie?

Będąc w Nowym Jorku, Frank większość czasu spędzał w towarzystwie Lucentego i jego żony, czy to przy pracy, czy w domu na tyłach zakładu pogrzebowego. Ale w każdą niedzielę bez wyjątku wyjeżdżał z Turtonami. Turtonowie byli parą karłów. Poznał ich, kiedy przypadkiem zaszedł do ich sklepiku ze słodyczami. Wszyscy troje uwielbiali jazdę pociągiem i pieczone kurczaki, więc co tydzień fundowali sobie w restauracji duże, pieczone kurczę, po czym szli na dworzec Grand Central albo na Penn Station i tam wsiadali w pierwszy z brzegu pociąg podmiejski. Lucentowie nigdy nie towarzyszyli im w tych eskapadach, ale Frank po powrocie wieczorem relacjonował im ze szczegółami, gdzie był i co widział.

Lucente nigdy do końca nie zrozumiał przyczyny odejścia Franka. Wydawało mu się, że im dłużej Frank u niego pracuje, tym bardziej wciąga się w robotę, a tu tymczasem przyszedł on któregoś dnia i oznajmił, że z końcem miesiąca odchodzi. Mówił, że wybiera się na Środkowy Zachód i zamieszka tam z wujem.

*

Kiedy wróciłem do domu, przed drzwiami mojego mieszkania stał uczeń z internatu.

- Jakaś kobieta siedzi u pana, panie Abbey. Zdaje się, że zmusiła pana Rosenberga, żeby ją wpuścił.

Otworzyłem drzwi i rzuciłem torbę na podłogę. Kopniakiem zatrzasnąłem drzwi i przymknąłem oczy. W całym mieszkaniu pachniało curry. Nienawidzę curry.

- Cześć? - zawołał głos.

- Cześć. Hej. Saxony?

Wyszła do przedpokoju z moją starą łyżką cedzakową w garści. Do łyżki przylgnęło kilka ziarnek ryżu. Uśmiechała się trochę za szeroko i miała mocno zaczerwienione policzki. Domyśliłem się, że to w połowie od stania nad kuchnią, a w połowie z nerwów.

- Co ty kombinujesz, Sax?

Łyżka opuściła się z wolna, a Saxony przestała się uśmiechać. Patrzyła w podłogę.

- Pomyślałam, że skoro cały dzień spędzasz z dala od domu, na pewno nie miałeś czasu porządnie zjeść, taki zalatany...

Jej głos zamierał powoli, chociaż łyżka znów powędrowała w górę i Saxony zatoczyła nią łuk jak smętna wróżka czarodziejską różdżką. Może łyżka miała skończyć za nią zdanie.

- No trudno, nie przejmuj się. To naprawdę bardzo miło z twojej strony.

Oboje byliśmy skrajnie zażenowani, więc wykonałem pospieszny manewr odwrotu do łazienki.

- Lubisz curry, Tomaszu?

W połowie posiłku mój język nadawał gwałtowny alarm pożarowy, ale dzielnie odpędziłem łzy cisnące się do oczu, kiwnąłem głową i kilkakrotnie wskazałem widelcem na talerz.

- ...uwielbiam.

Był to chyba najstraszniejszy posiłek, jaki w życiu jadłem. Najpierw ten jej chleb bananowy, teraz curry...

Pan Bóg w łaskawości swojej zlecił jej kupić na deser ciasteczka czekoladowe „Sara Lee", które do spółki z trzema szklankami mleka ugasiły pożar w moim przełyku.

Kiedy już naczynia zostały pozmywane, zacząłem jej opowiadać przygody z taksówkarzami. Doszedłem właśnie do miejsca, w którym Tuto kazał mi wysiadać, kiedy Saxony zagryzła wargi i odwróciła wzrok.

- Co jest? - już miałem na końcu języka uwagę w stylu „może ja cię zanudzam", ale w porę zorientowałem się, że byłaby to uwaga nie na miejscu.

- Ja... - spojrzała na mnie, potem w bok, na mnie, w bok - byłam tu bardzo szczęśliwa, Tomaszu. Przyszłam zaraz po naszej rozmowie przez telefon. Czułam się naprawdę szczęśliwa, że tu jestem, gotuję... Rozumiesz?

Wyprostowałem się na krześle, nie wiedząc, co zrobić z rękami.

– Tak, widzi pan, stwierdziliśmy, że przed laty pracował tu u pana człowiek nazwiskiem Martin Frank. Około roku 1939 mniej więcej. Wiem, że to dawno, ale ciekaw byłem, czy go pan jeszcze pamięta albo cokolwiek w związku z nim. Gdyby to miało panu pomóc, to wkrótce po odejściu stąd człowiek ten zmienił nazwisko na Marshall France i został później sławnym pisarzem.

Lucente przestał rysować kółka. Teraz postukiwał długopisem o notes. Tylko raz spojrzał na mnie, kompletnie bez wyrazu, a na koniec odwrócił się nie wstając z krzesła i wrzasnął przez ramię:

– Hej tam, Violetta!

Ponieważ nie doczekał się odpowiedzi, skrzywił się, rzucił długopis na biurko i wstał.

– Moja żona tak się zestarzała, że nawet nie słyszy jak woda leci z kranu. Co drugi raz muszę za nią dokręcać. Pan poczeka.

Szurając nogami, skierował się do drzwi i dopiero wtedy zauważyłem, że ma na nogach sztruksowe kapcie koloru śliwki. Otworzył drzwi, ale nie wszedł do pokoju, tylko jeszcze raz wrzasnął na Violettę.

Odpowiedział mu zdarty głos, jak przez szklaną watę:

– No? Czego tam?

– Pamiętasz Martina Franka?

– Martina jakiego?

– Martina Franka!

– Martina Franka? Aaa ha ha ha ha!

Kiedy Lucente znów odwrócił się do mnie, był jak wariat uśmiechnięty od ucha do ucha. Palcem wskazywał na ciemny pokój i potrząsał przy tym ręką, jakby się dopiero co oparzył.

– Martin Frank. Pewno, że pamiętamy Martina Franka, pewno, że tak.

Rozdział VI

Długa jazda powrotna pociągiem dała mi wiele czasu na myślenie o tym, co mówił Lucente. Violetta, którą uznałem za jego żonę, ani na chwilę nie pokazała się z drugiego pokoju, co jednak nie przeszkodziło jej we wtrącaniu wrzaskliwych uwag.

– Powiedz mu o tych dwóch karłach i o pociągach! O motylach nie zapomnij i o cieście!

Podobno w pierwszym dniu pracy młodego terminatora, Lucente przyniósł do zakładu faceta, który zeskoczył z dachu budynku i którego szuflą zeskrobano z bruku do pudełka. Jeżeli wierzyć słowom Lucentego, nowy pracownik spojrzał na ciało raz i zwrócił śniadanie. Jeszcze parę razy próbowali go uodpornić, zawsze z tym samym skutkiem. Ponieważ jednak pani Lucente była kaleką, nowy przydał się do sprzątania, do kuchni i do prania. Nie muszę chyba dodawać, że z początku nie było mi przyjemnie słyszeć, że mój ulubiony autor utrzymał się na posadzie u karawaniarza tylko dlatego, że gotował przyzwoite lasagne.

Któregoś dnia Lucente pracował przy pięknej młodej dziewczynie, która popełniła samobójstwo przez przedawkowanie środków nasennych. W połowie roboty wyszedł na przerwę obiadową. Kiedy wrócił, jedna ręka nieboszczki spoczywała na brzuchu, a w dłoni tkwiło duże czekoladowe ciastko. Obok niej, na małym nocnym stoliku, stała szklanka mleka. Lucente uznał to za świetny kawał, idealnie mieszczący się w granicach czarnego humoru obowiązującego w branży pogrzebowej. W kilka tygodni później zmarła we śnie odznaczająca się dość podłym usposobieniem starucha z drugiego końca ulicy. Rankiem, nazajutrz po dostarczeniu jej do zakładu pogrzebowego, leżała z wielkim, żółto-czarnym motylem przylepionym do nosa. Lucente znów się uśmiał, a ja zmieniłem pierwotne zdanie: może Marshall France właśnie w ten sposób tworzył swoje pierwsze postacie?

Terminator nie tylko przezwyciężył mdłości, ale wkrótce stał się cenionym asystentem szefa. Bez przerwy studiował specjalnie w tym celu zakupioną „Anatomię" Graya. Lucente twierdził, że po sześciu miesiącach Frank osiągnął niebywałe mistrzostwo w modelowaniu wyrazów twarzy, tak realistycznych, że stary nie mógł wyjść z podziwu.

– To jest, widzi pan, najtrudniejsza rzecz. Najtrudniej jest zrobić tak, żeby wyglądali jak żywi. Patrzył

Dla June – najlepszej z Nowych Twarzy,
i dla Beverly – Królowej Między Wszystkimi.

Prowadź życie systematyczne i uporządkowane,
abyś mógł sobie pozwolić na gwałtowność i oryginalność w pracy.
Flaubert

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział I

– Powiedz mi, Tomaszu, wiem, że zadawano ci to pytanie milion razy, ale powiedz, naprawdę, jak to jest być...

– Synem Stephena Abbey? – Znów to odwieczne pytanie. Właśnie niedawno oświadczyłem matce, że nie nazywam się Tomasz Abbey, tylko Syn Stephena Abbey. Westchnąłem i zająłem się przepychaniem resztek sernika z jednego krańca talerza w drugi. – To trudno powiedzieć. Pamiętam, że był bardzo sympatyczny, bardzo czuły. Może po prostu bez przerwy chodził ubzdryngolony.

Jej oczy rozbłysły. Zdawało mi się wręcz, że słyszę, jak pracowicie tykają w jej głowie małe sprawne trybiki. A więc On był alkoholikiem! I fakt ten potwierdza jego własny syn! Usiłowała zamaskować radość miną pełną wyrozumiałości i otwarciem mi rzekomej drogi wybrnięcia z sytuacji.

– Wszyscy są tacy, bardzo dużo o nim czytałam. Chociaż nigdy nie wiadomo, ile jest prawdy w tych artykułach, no nie?

Nie chciało mi się dłużej gadać na ten temat.

– Większość z tego, co o nim piszą, to prawda. Przynajmniej to, co sam słyszałem i czytałem.

Na szczęście właśnie przechodziła koło nas kelnerka, więc mogłem w całości poświęcić się scenie odbierania rachunku, sprawdzania go, płacenia – wszystko, byle zakończyć idiotyczną rozmowę.

Na dworze wciąż panował grudzień, a zimne powietrze miało chemiczną woń, jakby rafinerii albo szkolnej pracowni chemii dla klasy dziesiątej – analiza tajników smrodu. Jej ręka wślizgnęła się pod moje ramię. Spojrzałem na nią i uśmiechnąłem się. Była ładna – krótkie, rude włosy, zielone oczy, zawsze szeroko otwarte, jakby w radosnym osłupieniu, ciało miłe w dotyku. Mimo wszystko nie mogłem się więc nie uśmiechnąć i po raz pierwszy tego wieczoru ucieszyłem się, że jest ze mną.

Od restauracji do szkoły mieliśmy niespełna dwie mile spacerem, ale ona uparła się w obie strony podróżować autostopem. Twierdziła, że spacer w tamtą stronę nadmiernie rozbudzi nasze apetyty, a z powrotem - wszystko co zjemy, pójdzie na marne. Kiedy ją zapytałem, czy sama rąbie sobie drewno na opał, nawet się nie uśmiechnęła. Moje poczucie humoru często marnowało się w towarzystwie.

Zanim dotarliśmy do szkoły, byliśmy już w dobrej komitywie. Nie pytała więcej o mojego starego; w zamian za to przez cały prawie czas snuła dykteryjki o swoim wuju-pedale z Florydy.

Byliśmy z powrotem w Gmachu Założycieli, majstersztyku architektury neonazistowskiej i zorientowałem się, że stoimy na wmontowanym w posadzkę herbie szkoły. Jej ręka zacisnęła się na moim ramieniu, kiedy również to zauważyła, pomyślałem więc, że przyszła odpowiednia chwila na zasadnicze pytanie.

– Może chciałabyś obejrzeć moje maski?

Zachichotała, a jej chichot przypominał odgłos spływania wody w zlewie. Następnie pogroziła mi palcem w stylu „a fe, brzydki chłopiec".

– A nie masz znaczków pocztowych?

A ja już myślałem, że jest chociaż na wpół człowiekiem – ten nieprzyzwoity odruch przekłuł balonik nadziei. Dlaczego kobieta nie może być nieskazitelna? Dlaczego musi być wyzwolona, dlaczego musi tak dobrze znać życie, dlaczego musi puszczać porozumiewawcze oko?

– Nie, serio, mam kolekcję masek i...

Ponownie ścisnęła moje przedramię, blokując krążenie krwi.

– Przecież żartowałam. Marzę o obejrzeniu twojej kolekcji.

Podobnie jak we wszystkich słynnych ze skąpstwa szkołach Nowej Anglii, również i w naszej mieszkania przydzielane nauczycielom w stanie kawalerskim były straszne. Moje składało się z miniaturowego przedpokoju, gabinetu, który był niegdyś pomalowany na żółto, ale dawno zdążył o tym zapomnieć, sypialni oraz kuchenki, tak starej i nędznej, że nigdy nie pomyślałem nawet, żeby tam gotować, obawiałem się bowiem kosztów napraw, które musiałbym ponieść.

Szarpnąłem się jednak na galon farby, by przynajmniej ściana, na której wisiała kolekcja, prezentowała się w miarę godnie.

Jedyne wejście do szkoły wiodło przez hol. Z lękiem i niecierpliwością oczekiwałem na jej reakcję. Cały czas tuliła się do mnie i przemawiała słodkim głosem, w końcu jednak dotarliśmy do mojej sypialni-salonu.

– O raju! Jak...? Skąd go masz? – posapując z przejęcia, podeszła, żeby przyjrzeć się z bliska. – Skąd wytrzasnąłeś tego... no... tego?

– Z Austrii. Fantastyczny, co? – Rudy-Wieśniak był świetlistobrązowy i wyrzeźbiony z podziwu godną nonszalancją, która podkreślała prostactwo jego pijackiej gęby. Do tego cały się świecił, bo rano eksperymentowałem na nim z nowym olejem lnianym, który jeszcze nie wysechł.

– Ależ on jest... jak żywy. Błyszczy się!

W tym momencie moje nadzieje gwałtownie zwyżkowały. Boi się? Jeżeli tak, to jej wybaczę. Niewiele osób odczuwało lęk w obliczu masek. Ci, którzy go odczuwali, mieli u mnie spory kredyt.

Nie przeszkadzało mi, że idąc wzdłuż ściany dotyka ręką niektórych masek. Nawet byłem zadowolony, że dotyka właśnie tych, a nie innych – Bawół Wodny, Pierrot, Krampus.

– Zacząłem je kupować jeszcze będąc studentem. Ojciec zostawił mi w spadku trochę pieniędzy, więc odbyłem wycieczkę do Europy. – Podszedłem do Markizy i czule dotknąłem jej różowo-brzoskwiniowego podbródka.– Ją, Markizę, zobaczyłem w sklepiku na bocznej uliczce w Madrycie. Ona była pierwsza.

Moja Markiza, z szylkretowymi grzebieniami, z nazbyt białymi i nazbyt dużymi zębami, które pokazywała mi w uśmiechu od blisko ośmiu lat... Markiza.

– A tamta?

– To maska pośmiertna Johna Keatsa.

– Pośmiertna?

– Tak. Czasami, kiedy umiera sławny człowiek, robi mu się przed pogrzebem odcisk twarzy. Potem się to kopiuje...


Maria Korusiewicz

wych zjaw, których zadaniem jest podnosić na duchu. Nic z tego, co zapamiętałem z pogrzebu ojca.

– Ach! Zito!

Drugie i ostatnie drzwi pomieszczenia rozwarły się gwałtownie i do środka wparował stary człowiek. Wyrzucił ramiona w górę i oglądając się przez ramię na pokój, z którego właśnie wyszedł, kopniakiem zamknął drzwi.

– Czym mogę służyć?

Przez moment spróbowałem sobie wyobrazić, jak bym się czuł, gdyby właśnie umarła mi matka, a ja zjawiłbym się tutaj celem załatwienia formalności pogrzebowych. Jakiś stary wariat lata jak oparzony, klnie, trzaska drzwiami... To ci dopiero zakład pogrzebowy. Ale kiedy myślałem o tym później, musiałem przyznać, że nawet mi się to podoba. Przynajmniej żadnego fałszu, żadnego zadęcia.

Lucente był krępy i żylasty. Jego twarz miała odcień brunatnego tytoniu, a białe włosy ostrzyżone były na jeża tuż przy skórze. Prostota i surowość. Oczy miał ołowianoszare i nabiegłe krwią. Uznałem, że musi być po siedemdziesiątce, a nawet po osiemdziesiątce, ale wyglądał silnie i dziarsko. Ponieważ się nie odzywałem, zaczął okazywać irytację. Usiadł za biurkiem.

– Nie siądzie pan?

Usiadłem i przez chwilę przyglądaliśmy się sobie nawzajem. Lucente zaplótł palce pośrodku blatu biurka i kiwał głową, bardziej do siebie niż do mnie. Obserwowałem jego oczy, myśląc, że są za małe, żeby pomieścić całe życie, które się za nimi kryło.

– No więc, słucham pana, czym mogę służyć?

Wysunął szufladę biurka i wyjął z niej podłużny, żółty notes i żółty długopis formy Bic z czarną skuwką.

– Niczym, panie Lucente. To jest, nikt mi nie umarł. Chciałem tylko panu, jeżeli można, zadać kilka pytań. Na temat kogoś, kto kiedyś u pana pracował.

Zdjął skuwkę z długopisu i począł nonszalancko rysować zachodzące na siebie kółka w górze kartki notesu.

– Pytań? Chce pan pytać o kogoś, kto u mnie pracował?

Louis uśmiechnął się.

– Ktoś cię wpuścił w maliny, Tomaszu. Znałem faceta lepiej niż ktokolwiek spoza kręgu jego najbliższej rodziny i zapewniam cię, że zawsze nazywał się Marshall France. – Pokręcił głową. – I nie miał żadnych braci. Przykro mi.

– No dobrze, ale...

Przerwał mi uniesieniem ręki.

– Żadne ale. Mówię ci to, żebyś nie tracił czasu. Możesz całą resztę życia przesiedzieć po bibliotekach, ale i tak nie znajdziesz tego, czego szukasz, to ci gwarantuję. Marshall France zawsze był Marshallem France, a w dodatku jedynakiem. Przykro mi, że to aż tak proste.

Rozmawialiśmy jeszcze chwilę, ale jego kategoryczna niewiara w to, co powiedziałem, rzuciła cień na dalszą konwersację. W kilka minut później staliśmy u drzwi. Zapytał, czy mimo wszystko zamierzam podjąć próbę napisania książki. Kiwnąłem głową, ale nic nie powiedziałem. Na wpół szczerze życzył mi szczęścia i prosił o pozostanie w kontakcie. Jeszcze parę sekund i oto jechałem w dół windą, wpatrzony w przestrzeń i wszystkim niepomiernie zdumiony. France-Frank, Dawid Louis, Anna... Saxony. Skąd ona, u diabła, wytrzasnęła tę historię o Martinie Franku i jego nieboszczyku bracie, którego nigdy nie było na świecie?

Rozdział V

– Więc uważasz, że kłamie?

– Wcale nie, Saxony. Tylko ten Louis był taki pewny swego, kiedy mnie zapewniał, że żadnego brata nie było i że France nie nazywał się Frank...

Mówiłem to z budki na Sześćdziesiątej Czwartej Ulicy, która nie miała drzwi i podejrzanie zalatywała bananami. Nakręciłem międzymiastową do Saxony po uprzednim uzyskaniu około czterech tysięcy ćwierćdolarówek na automat w drogerii. Bez słowa wysłuchała relacji o moich przygodach z Louisem. Ani przez chwilę nie była zła, kiedy dawałem do zrozumienia, że cała jej informacja była wierutną bzdurą. Właściwie sprawiała wrażenie, że jej ulżyło. Przemawiała teraz nieznanym mi dotąd, niskim, podniecającym głosem.

Troszkę mnie stropił ten jej spokój. W dłuższej chwili ciszy obserwowałem taksówkarza, który wyrzucał gazetę przez okno wozu.

Kiedy odezwała się ponownie, jej głos był jeszcze cichszy.

– Jest pewien sposób na sprawdzenie tego o Martinie Franku.

– Ciekawe jaki.

– Ten karawaniarz, u którego on pracował, Lucente. Dalej prowadzi interes w mieście. Parę dni temu sprawdziłam to w książce telefonicznej Manhattanu. Czemu nie miałbyś pójść do niego i zapytać o Martina Franka? Zobaczymy co powie.

Mówiła tak gładko i z taką pewnością siebie, że posłusznie poprosiłem o adres Lucentego i odwiesiłem słuchawkę.

Po takich filmach jak „Ojciec chrzestny" i „Śmierć po amerykańsku", człowiekowi wydaje się, że zawód karawaniarza, nawet jeżeli niespecjalnie przyjemny, musi być zyskowny, ale jedno spojrzenie na „Dom Pogrzebowy Lucente i Syn" wystarczy, żeby obudzić co do tego wątpliwości.

Dom mieścił się w zaplutym kącie miasta, w pobliżu Little Italy. Obok był sklepik handlujący fosforyzującymi madonnami i kamiennymi świątkami, które się stawia w ogrodzie, żeby mu nadać posmak włoszczyzny. Przechodząc koło firmy Lucentego, w pierwszej chwili w ogóle nie zauważyłem zakładu, bo drzwi były małe, a szyld tkwił w dolnym rogu witryny.

Otwierając drzwi, usłyszałem gdzieś z głębi ujadanie psa, a pomieszczenie rozświetliło się na żółto blaskiem latarni z ulicy wpadającym przez na wpół zapuszczone żaluzje. Zielone, metalowe krzesło i biurko – z gatunku tych, które widuje się na wojskowych komisjach poborowych – drugie krzesło na wprost biurka, zeszłoroczny kalendarz firmy Arthur Siegel Oil Company z Nowego Jorku, obwieszczający miesiąc sierpień – i nic poza tym. Żadnej kojącej muzyczki dla pogrążonych w żalu, żadnych wschodnich kobierców tłumiących stukot obcasów, żadnych przemykających się ukradkiem zawodo-

Przerwałem wykład, bo patrzyła na mnie, jakbym był Charlesem Mansonem.

– One są niesamowite. Jak ty możesz z nimi spać? Nie boisz się?

– Nie bardziej niż ciebie, moja miła.

I to był koniec. W pięć minut później jej już nie było, a ja namaszczałem kolejną maskę olejem lnianym.

Rozdział II

Mój ojciec, ilekroć kończył kręcić film, zarzekał się, że już nigdy w życiu w niczym nie zagra. Ale, jak większość jego oświadczeń, był to pic na wodę, wystarczało bowiem parę tygodni odpoczynku i łakoma oferta wysmażona przez agenta, żeby ojciec pędził z powrotem w światła jupiterów, w czterdziestą trzecią triumfalną maskaradę.

Po czterech latach belfrowania mówiłem to samo co on. Miałem już po dziurki w nosie prac semestralnych, posiedzeń ciała pedagogicznego i trenowania szkolnej drużyny koszykarskiej dziewięcioklasistów. Dzięki spadkowi, mógłbym spokojnie robić co chcę, tylko że mówiąc szczerze, nie bardzo wiedziałem, co mógłbym robić zamiast uczyć w szkole. Poprawka – miałem jeden bardzo konkretny zamysł, ale miał on charakter mrzonki o niebieskich migdałach. Nie byłem pisarzem, nie miałem pojęcia o aparacie badawczym i nawet nie przeczytałem wszystkich jego dzieł – chociaż nie było ich tak wiele.

Moim marzeniem było napisać biografię Marshalla France'a, najbardziej tajemniczego, najwspanialszego autora najlepszych na świecie książek dla dzieci. Książek takich, jak „Kraina Chichów" albo „Sadzawka Gwiazd", które przez trzydzieści lat nieraz pomogły mi zachować zdrowie psychiczne.

Mój ojciec zrobił dla mnie jedną bardzo dobrą rzecz. Na dziewiąte urodziny – pamiętny dzień! – podarował mi mały czerwony samochodzik z prawdziwym silnikiem, który znienawidziłem od pierwszego wejrzenia, piłkę baseballową z napisem „Od Wielbiciela Numer Jeden – Twojego Tatusia, Mickey Mantle'a", oraz – to już raczej z rozpędu – wydaną przez Shaver-Lamberta książkę „Kraina Chichów", z ilustracjami Van Walta. Książkę tę mam do dziś.

Usiadłem w samochodziku, wiedząc, że ojciec chce, żebym w nim usiadł i po raz pierwszy przeczytałem książkę od deski do deski. Kiedy po roku odmówiłem rozstania się z nią, matka zagroziła, że wezwie doktora Kintnera, mojego psychoanalityka, który kosztował sto dolarów za minutę i powie mu, że „nie współpracuję". Zgodnie ze swoim ówczesnym zwyczajem, zignorowałem ją i przewróciłem następną kartkę.

Krainie Chichów światło dały oczy, które widziały światła, których nie widział nikt.

Spodziewam się, że zdanie to zna cały świat. Wyśpiewywałem je sobie tym niskim, prywatnym głosem, którym dzieci gadają-śpiewają do siebie, kiedy są same i szczęśliwe.

Ponieważ nigdy przedtem nie wyrażałem zapotrzebowania na różowe króliczki czy pluszowe pieski do odpędzania nocnych strachów i dziecinnych koszmarków, matka w końcu zgodziła się, żebym stale nosił książkę przy sobie. Podejrzewam, że czuła się urażona tym, że nigdy jej nie poprosiłem, żeby mi ją poczytała. Ja jednak już wtedy byłem do tego stopnia zazdrosny o „Krainę Chichów", że nie chciałem jej dzielić nawet z głosem innej osoby.

W tajemnicy napisałem list do France'a, jedyny list w życiu, który napisałem jako wielbiciel, i nie posiadałem się z radości, kiedy otrzymałem odpowiedź.

Drogi Tomaszu,
Oczy, które dały światło Krainie Chichów
Widzą cię i mrugają w podzięce.
Twój przyjaciel
Marshall France

Kiedy zdałem do piątej klasy, kazałem sobie oprawić ten list w ramki i odtąd patrzyłem na niego zawsze, kiedy potrzebowałem zastrzyku spokoju ducha. Napisany był ręcznie, fantazyjną kursywą, Y i G miały bardzo długie ogonki, litery często się nie łączyły. Stempel pocztowy na kopercie nosił nazwę Galen, Missouri, gdzie France spędził większą część życia.

Wiedziałem o nim parę rzeczy. Nie mogłem sobie odmówić odrobiny amatorskiego szpiegostwa.

Zmarł na atak serca w wieku czterdziestu czterech lat, był żonaty, miał jedną córkę imieniem Anna. Nienawidził pokazywać się publicznie i po sukcesie książki „Smutek Zielonego Psa" w zasadzie zniknął z ludzkich oczu. Jakieś czasopismo wydrukowało o nim artykuł ze zdjęciem domu w Galen. Dom był typowym wiktoriańskim monstrum, usadowionym na zwyczajnej małej uliczce w samym sercu Środkowego Zachodu. Ilekroć zdarzyło mi się widzieć podobny dom, przypominałem sobie jeden z filmów ojca, w którym facet wraca z wojny do domu tylko po to, żeby tam w końcu umrzeć na raka! Ponieważ akcja filmu toczyła się głównie w salonie i na werandzie, ojciec nadał filmowi tytuł „Dom Raka". Film zrobił wielką kasę i dostał nominację do Oskara.

W lutym, miesiącu, w którym zawsze z przyjemnością myślę o samobójstwie, prowadziłem cykl lekcji o Edgarze Allanie Poe, co ostatecznie pomogło mi podjąć decyzję o wystąpieniu o urlop na najbliższą jesień, zanim z moją głową stanie się coś bardzo niedobrego. Tuman nazwiskiem Davis Bell miał na lekcji przedstawić klasie własną recenzję „Upadku Domu Usherów". Stanął przed nami i powiedział co następuje: „Upadek Domu Usherów napisał Edgar Allan Poe, który był alkoholikiem i ożenił się ze swoją młodą kuzynką". Ja sam mówiłem to na lekcji kilka dni wcześniej, żeby rozbudzić w uczniach żywsze zainteresowanie lekturą. No nic, kontynuujmy: „...ożenił się ze swoją młodą kuzynką. Ten dom, to znaczy, ta książka, mówi o tym domu Usherów..."

– Który upada? – podpowiedziałem, ryzykując, że zdradzam treść utworu kolegom Bella, którzy go również nie czytali.

– Właśnie, który upada.

Najwyższy czas wziąć urlop.

Pozytywną odpowiedź na moje podanie przyniósł Grantham. Grantham, który zawsze śmierdział tak, jakby właśnie pił kawę i jednocześnie puszczał bąki, ogarnął ramieniem moje plecy i pchając mnie w stronę drzwi, pytał, co też zamierzam zrobić z „urlopuńciem".

– Myślałem o napisaniu książki. – Nie spojrzałem przy tym na niego, bo bałem się, że ma dokładnie taką minę, jaką ja bym miał, gdyby ktoś taki jak ja powiedział mi, że zamierza napisać książkę.

– To fantastycznie, Tom! Biografia tatusia, co? – Przyłożył palec do ust i rozejrzał się teatralnie na boki, jakby ściany miały uszy. – O mnie możesz być spokojny. Będę milczał jak grób, słowo. Te rzeczy mają teraz straszne wzięcie. Jak to było naprawdę, od kuchni, itepe. Tylko pamiętaj, że jak się ukaże, masz mi dać egzemplarz z autografem.

Nie miałem już najmniejszych wątpliwości, że przyszła pora na urlop.

Reszta zimowego trymestru zleciała jak z bicza trzasł, a ferie wielkanocne przyszły wręcz za szybko. Podczas letnich wakacji parę razy miałem pokusę, żeby się wycofać z projektu, ponieważ skok w nieznane, z planem, do którego nawet nie wiedziałem, jak się zabrać, nie mówiąc już o tym, jak go sfinalizować, wydawał mi się mało pociągający. Ale szkoła wynajęła kogoś na zastępstwo, ja kupiłem nową furgonetkę z myślą o podróży do Galen, a uczniowie ani trochę nie czepiali się pół mojego płaszcza, błagając, żebym został. Więc pomyślałem sobie, że co będzie, to będzie, ale rozstanie się z takimi typkami jak Davis Bell i Wypierdek Grantham na pewno dobrze mi zrobi.

Potem wydarzyła się seria dziwnych zdarzeń.

Pewnego popołudnia bobrowałem w antykwariacie i nagle ujrzałem na kontuarze wydane przez Alexa „Brzoskwiniowe Cienie" France'a, z oryginalnymi ilustracjami Van Walta. Książka ta z niewiadomych mi powodów od lat nie była wznawiana, a ja nigdy jej nie czytałem.

Na miękkich nogach zbliżyłem się do lady i wytarłszy wpierw ręce o spodnie, z nabożeństwem ująłem książkę w dłoń. Zauważyłem, że z kąta sklepiku obserwuje mnie troll, który wyglądał, jakby go ktoś zanurzył w beczce talku.

– Wspaniały egzemplarz, prawda? Ktoś go tu przyniósł jakby nigdy nic i rzucił na ladę.

Troll mówił z południowym akcentem i sprawiał wrażenie typa, który wegetuje w zagrzybionym domiszczu z trupem mamusi i sypia pod moskitierą.

– Fantastyczny. Ile?

– Nic z tego, widzi pan, już sprzedany. Prawdziwy rarytas. Wie pan, dlaczego tej książki nigdzie nie ma? Bo Marshall France uznał, że jest kiepska i zabronił ją wznawiać. To był kawał dziwaka, ten cały France.

Którejś nocy po kolacji siedziałem na werandzie i czytałem. Anna stanęła nagle w drzwiach domu, z kotem pod każdą pachą.

Louis ponownie wstał z kanapy i przycupnął na skraju biurka, twarzą do mnie, w odległości sześciu czy siedmiu stóp.

– Ten kawałek muszę odegrać, bo inaczej nie będzie pan miał pełnego wyobrażenia. Teraz niech pan uważa: pan to ja, a ja to Anna, rozumie pan? Anna trzyma po kocie pod każdą pachą i cała trójka wpatruje się we mnie wzrokiem bazyliszka. Wysiliłem się na uśmiech, ale skoro oni na to ani drgnęli – wróciłem do lektury. Wtem usłyszałem kocie piski i wrzask ludzki. Podniosłem wzrok, a Anna patrzyła na mnie jak na dżumę. Zawsze miałem ją za ekscentryczkę, ale to już zakrawało na czysty obłęd. – Opowiadając to, Louis wziął się pod boki, jakby istotnie trzymał coś pod pachami. Zębami z całej siły ściskał cygaro, a czoło i brwi miał groźnie zmarszczone. – Podeszła do mnie i powiedziała: „Nienawidzimy cię! Nienawidzimy cię". Albo coś w tym stylu.

– A pan?

Strzepnął odrobinę popiołu, która spadła mu na klapę. Twarz mu się rozluźniła.

– A ja nic, bo najdziwniejsze ze wszystkiego było to, że za szklanymi drzwiami widziałem niewyraźny zarys sylwetki Marshalla. Nie ulegało wątpliwości, że widział i słyszał całą scenę. Patrzyłem na niego, bo wydawało mi się całkiem naturalne, że powinien w tej sytuacji coś zrobić. A on postał jeszcze chwilę, potem odwrócił się na pięcie i odszedł w głąb domu.

Po tej dość niesamowitej dygresji, Louis zapytał, czy nie napiłbym się kawy. Panienka w podkoszulku z Virginią Woolf weszła i wyszła, a my tymczasem pletliśmy trzy po trzy. Jego opowieść o Annie była tak dziwaczna i niewiarygodna, że na dłuższy czas zabrakło mi konceptu. Kawa uratowała sytuację.

– Kto to był Van Walt?

Louis słodził kawę miodem.

– Van Walt? Van Walt to jeszcze jedna tajemnica Marshalla France'a. Według niego, człowiek ten był odludkiem zamieszkałym w Kanadzie, który nie życzył sobie, żeby mu ktokolwiek przeszkadzał. Marshall twierdził to z takim przekonaniem, że w końcu uznaliśmy jego racje i wszelkie interesy z Van Waltem załatwialiśmy przez France'a.

– I to koniec?

– I to koniec. Kiedy taki wybitny pisarz jak Marshall mówi nam „Zostawcie faceta w spokoju", zostawiamy faceta w spokoju.

– Czy on kiedykolwiek opowiadał o swoim dzieciństwie, panie Louis?

– Proszę mi mówić Dawid. Nie, rzadko wspominał własną przeszłość. Wiem, że urodził się w Austrii. W jakimś małym miasteczku – Rattenstein?

– Rattenberg.

– Zgadza się, Rattenberg.

Ciekawiło mnie to, więc przed laty, będąc w Europie, odwiedziłem to miasteczko. Leży nad wartką rzeką, a widok jest tym przyjemniejszy, że w oddali rysują się Alpy. Nad wyraz gemütlich.

– A jego ojciec? Czy mówił coś o ojcu albo o matce?

– Nigdy, ani słowa. Był bardzo zamknięty w sobie.

– No a co pan wie o jego bracie Izaaku, tym, który zginął w Dachau?

Kiedy zacząłem pytanie, Louis miał się właśnie zaciągnąć cygarem, ale zatrzymał dłoń o kilka cali od ust.

– Marshall nie miał braci. To jedno wiem na pewno. W ogóle nie miał rodzeństwa. Pamiętam wyraźnie, jak mi mówił, że jest jedynakiem.

Wydobyłem notes kieszonkowy i przerzucałem kartki tak długo, aż natrafiłem na informację, którą mi znalazła Saxony.

– Izaak Frank, zginął w...

– Izaak Frank? Co to za jeden – Izaak Frank?

– Widzi pan, osoba, która prowadzi dla mnie badania źródłowe – wiedziałem, że gdyby Saxony usłyszała, iż tak ją przedstawiam, zabiłaby mnie na miejscu – wykryła, że nazwisko rodowe brzmiało Frank, tylko on po przyjeździe do Ameryki zmienił je na France.

którzy grzebią w prywatnym życiu jej ojca. Nic nowego, może mi pan wierzyć. Dla niej ja jestem nowojorskim Żydem, który wykorzystywał jej ojca aż po grób.

Rozłożył płaskie dłonie i wzruszył ramionami.

Czekałem, żeby powiedział coś więcej, ale nie doczekałem się. Potarłem dłonią o szorstkie obicie kanapy, usilnie starając się przypomnieć sobie kolejne pytanie. Przede mną siedział człowiek, który osobiście znał Marshalla France'a, rozmawiał z nim, czytywał jego rękopisy – gdzie więc ulotniły się nagle moje liczne pytania? Dlaczego zapomniałem języka w gębie?

– Coś panu powiem o Annie, Tomaszu. Może w ten sposób zrozumie pan, co pana czeka, gdyby jednak zdecydował się pan pisać tę książkę. Opowiem panu jedno zdarzenie z mojego odwiecznego romansu z piękną Anną.

Wypchnął się oburącz z kanapy i podszedł do biurka. Otworzył małe czarne puzderko z laki – takie, jakie widuje się w rosyjskich sklepach z pamiątkami – i wydobył z niego cygaro o wyglądzie poskręcanego korzenia.

– Przed laty udałem się do Galen, żeby pomówić z Marshallem o książce, nad którą właśnie pracował. Były to „Nocne wyścigi w głąb Anny", napisane wówczas dokładnie do połowy. Przeczytałem gotową część i spodobała mi się, chociaż niektóre partie wymagały poprawek. Marshall nigdy przedtem nie pisał powieści, a ta zapowiadała się w dodatku na coś znacznie poważniejszego niż reszta jego utworów.

Louis possał cygaro, patrząc z uwagą, jak jego koniuszek pomarańczowieje. Należał do ludzi, którzy lubią opowiadać zrywami i zawsze robią pauzę w punkcie kulminacyjnym, wiedząc, że słuchacze z zapartym tchem czekają dalszego ciągu. W tym konkretnym przypadku pauza wypadła tuż po stwierdzeniu, że niektóre partie powieści France'a „wymagały poprawek".

– A on co na to? Nie obraził się? – Poprawiłem się na kanapie, usiłując sprawić wrażenie, że mogę czekać na odpowiedź nawet cały dzień. Jednocześnie układałem w głowie następujący fragment biografii: – „Zapytany, czy France przyjmował uwagi redaktorskie, jego długoletni wydawca, Dawid Louis, zachichotał nad cygarem marki De Nobili i powiedział..."

Puff. Puff. Przeciągłe spojrzenie w okno. Louis strząsnął popiół do popielniczki i po raz ostatni spojrzał na swoje cygaro, trzymając je na wyciągnięcie ramienia.

– Czy się obrażał? Za krytykę, o to panu chodzi? Absolutnie nie. Nigdy nie byłem pewien, czy mnie usłucha, ale też nigdy nie miałem oporów przed powiedzeniem mu, że to czy owo uważam za słabe lub niedopracowane.

– Często pan tak uważał?

– Nie. Jego rękopisy w zasadzie docierały do mnie jako ukończone produkty. Po pierwszej książce miałem bardzo mało pracy redaktorskiej przy dziełach Marshalla. Najwyżej interpunkcja, czasem składnia. Wracajmy jednak do powieści. Posiedziałem tam kilka dni, żeby uważnie przestudiować tekst i porobić notatki. Anna miała wtedy... ze dwadzieścia, może dwadzieścia dwa lata. Właśnie rzuciła studia w Oberlin i większość dnia przesiadywała w domu, w swoim pokoju. Z tego co mówił Marshall, do Oberlin poszła ze względu na tamtejszy wydział muzyczny, podobno zapowiadała się na wybitną pianistkę, ale gdzieś po drodze wszystko jej się odwidziało i wróciła do Galen.

Trudno było określić ton jego głosu – niby obiektywny, a jednak naszpikowany okruchami złośliwości.

– Co ciekawsze, ona się na tej uczelni wdała w jakieś podejrzane sprawki, coś tam poszło nie tak jak trzeba, ktoś... – potarł ucho i wessał jeden policzek. – No tak! Ktoś stracił życie, jeżeli się nie mylę. Jej chłopak? Pewności nie mam. Marshall, oczywiście, natychmiast wszystko zatuszował, bo przecież chodziło o jego córkę. Tak czy siak, Anna najbliższym pociągiem wróciła do domu. Będąc tam, widywałem ją jak się przemykała z kąta w kąt, zawsze w czarnych jedwabnych sukniach, z rozpuszczonymi włosami. Zwykle z Kafką albo Kierkegaardem pod pachą. Odniosłem wrażenie, że nosi te książki zawsze tytułem do wierzchu, żeby każdy, kto na nią spojrzy, z miejsca wiedział, co panna czytuje.

Marshall miał w domu trzy koty, nazywały się Pierwszy, Drugi i Trzeci. Koty opanowały dom. Łaziły mu po biurku, kiedy pracował, przy jedzeniu wskakiwały na stół. Trudno było odgadnąć, kogo Marshall bardziej lubi – Annę czy te koty. Jego żona, Elizabeth, zmarła parę lat wcześniej, tak, że w monstrualnym, starym domu zostało tylko ich dwoje, no i te koty.

– Można wiedzieć, kto ją kupił?

– Taka jedna, nigdy jej przedtem nie widziałem, ale ma pan szczęście, bo mówiła, że przyjdzie po książkę – spojrzał na zegarek, złoty Cartier, jak zauważyłem – właśnie mniej więcej o tej porze, około jedenastej, tak mówiła.

Taka jedna. Musiałem zdobyć tę książkę, musiała mi ją sprzedać, wszystko jedno za jaką cenę. Zapytałem, czy mogę przeglądać książkę, dopóki właścicielka nie przyjdzie, na co troll odparł, że czemu nie.

Tak jak zdarzało mi się ze wszystkim co napisał Marshall France, wdepnąłem w tę książkę i na pewien czas opuściłem świat. Te sformułowania! *Talerze nienawidziły sreber, które z kolei nienawidziły szklanek. Wyśpiewywały do siebie nawzajem okrutne piosenki. Ping. Ding. Dzyń. Te same złośliwości trzy razy dziennie.* Jak to się działo, że wszystkie jego postacie były takie nowe, a z chwilą, kiedy się je poznało, człowiek nie mógł pojąć, jak sobie dotąd bez nich radził w życiu. Zupełnie jak ostatnie kawałki puzzla, które idealnie pasują w sam środek układanki.

Skończyłem i natychmiast zabrałem się do ponownego czytania fragmentów, które szczególnie mi się spodobały. Było ich sporo, toteż kiedy usłyszałem dzwonek przy drzwiach i czyjeś wejście, postanowiłem to całkowicie zignorować. Jeżeli to była ona, mogło się skończyć tym, że nie sprzeda mi książki i nie będę miał już okazji jej zobaczyć, chciałem więc wchłonąć ile się da, póki czas.

Przez kilka lat kolekcjonowałem wieczne pióra. Kiedyś łaziłem po pchlim targu we Francji i zobaczyłem tuż przed sobą faceta, który podniósł ze straganu wieczne pióro i uważnie mu się przyglądał. Po sześcioramiennej gwiazdce na skuwce zaraz poznałem, że to Montblanc. Stary Montblanc. Zatrzymałem się i zaklinałem faceta w myślach: „Odłóż, NIE KUPUJ!" Ale na nic się to nie zdało – facet patrzył na pióro z coraz większym zainteresowaniem. Wtedy zacząłem mu życzyć, żeby padł trupem na miejscu, a wtedy wyjąłbym pióro z jego bezwładnej dłoni i sam bym je kupił. Facet cały czas stał plecami do mnie, ale moja nienawiść była tak intensywna, że musiała do niego dotrzeć, bowiem ni stąd ni zowąd odłożył pióro na miejsce, obejrzał się na mnie z przerażeniem i poszedł jak zmyty.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem po oderwaniu oczu od książki France'a, była niebrzydka lalunia w dżinsowej spódnicy. To musiała być ona. ODŁÓŻ, NIE KUPUJ! Próbowałem przebić ją wzrokiem przez dżinsową spódnicę aż po samo dno duszy, gdziekolwiek ją miała. ODEJDŹ, KOBIETO! ZAKLINAM CIĘ, ODEJDŹ, ZOSTAW TĘ KSIĄŻKĘ TUTAJ, TUTAJ, TUTAJ!

– Tamten pan ją przegląda. Myślałem, że nie będzie pani miała nic przeciwko temu.

Nagle opadła mnie dzika romantyczna nadzieja, że ona okaże się śliczna i łagodnie uśmiechnięta. Śliczna i łagodnie uśmiechnięta, bo miała najlepszy na świecie gust w książkach. Ale nie była ani śliczna, ani łagodnie uśmiechnięta. Uśmiech na jej twarzy był szczątkowy – lekkie zmieszanie połączone z pączkującym gniewem – a sama twarz – brzydko/ładna. Czysta, zdrowa twarz, wyhodowana gdzieś na wiejskiej farmie, ale ukrywana przed słońcem. Włosy proste, brązowe, lekko podwinięte na końcach, tam, gdzie sięgały ramion, jak gdyby bały się ich dotknąć. Archipelag bardzo bladych piegów, nos prosty, oczy szeroko rozstawione. Im dłużej się na nią patrzyło, tym bardziej była pospolita niż ładna, ale cały czas narzucało mi się określenie „zdrowa uroda".

– Nie trzeba było.

Nie wiedziałem, do którego z nas to mówi. Ale zaraz podeszła wprost do mnie i wyjęła mi książkę z ręki, całkiem jak matka, kiedy mnie czasem przyłapała na lekturze świńskiego pisemka. Dwukrotnie przetarła jasnozieloną okładkę i dopiero wtedy spojrzała prosto na mnie. Miała cienkie, rdzawego koloru brwi, lekko zawinięte na końcach, tak że nawet kiedy gniewnie marszczyła czoło, nie wyglądała na specjalnie wściekłą.

Księgarz zbliżył się do nas w lansadach, z grzecznym „Czy można?" porwał moją ukochaną z rąk obcej baby i wrócił za ladę, gdzie zaczął owijać skarb brązową bibułką.

– Siedzę tu na tym rogu od dwudziestu lat i zdarzało się, że miałem po kilka France'ów naraz, ale na ogół nie ma go ani na lekarstwo. Jasne, że trafić na pierwsze wydanie „Krainy Chichów" jest stosunkowo łatwo, bo France był już wtedy bardzo znanym pisarzem, ale „Smutku Zielonego Psa", wszystko jedno w którym wydaniu, można szukać jak zębów Hydry. Coś państwu powiem, zdaje mi się, że mam na zapleczu jedną „Krainę", więc gdyby któreś z państwa było zainteresowane...

Popatrzył po nas, oczy mu się zaświeciły, ale ja już miałem pierwsze wydanie, za które zapłaciłem majątek w Nowym Jorku, a moja przeciwniczka zapamiętale szukała czegoś w torebce, więc księgarz skwitował nieudaną transakcję wzruszeniem ramion i wrócił do pakowania.

– To będzie trzydzieści pięć dolarów, panno Gardner.

Trzydzieści pięć! Ja bym chętnie dał...

– Hmm, panno Gardner? Hmh, czy nie odstąpiłaby mi pani tej książki za stówę? Mógłbym zapłacić od razu, gotówką.

Troll stał dokładnie za nią, kiedy rzuciłem swoją cenę i zobaczyłem, jak jego usta wiją się gwałtownie w górę i w dół, jak dwie cierpiące żmije.

– Sto dolarów? Pan chce za to dać sto dolarów?

Była to jedyna książka France'a, której nie miałem, tym bardziej w pierwszym wydaniu, a mimo to na ton głosu księgarza poczułem się bogatą świnią. Ale tylko przez chwilę. Kiedy chodziło o Marshalla France'a, byłem gotów zostać świnią w każdej chwili, byleby zdobyć książkę.

– Tak. Sprzeda pani?

– Doprawdy, panno Gardner, może nie powinienem się wtrącać, ale sto dolarów to niesamowita suma, nawet za tego France'a.

Jeżeli odczuła pokusę i jeżeli ta książka znaczyła dla niej tyle samo, co dla mnie, to teraz cierpiała. Właściwie było mi jej prawie żal. Wreszcie popatrzyła na mnie, jakbym jej zrobił paskudny kawał. Wiedziałem, że na moją ofertę odpowie „tak", czym sama sobie uczyni zawód.

– W śródmieściu jest ksero. Przefotografuję tę książkę, a potem... potem ją panu sprzedam. Może pan po nią przyjść jutro wieczorem. Mieszkam na Broadway 189, drugie piętro. Niech pan przyjdzie o... no, nie wiem... o ósmej.

Zapłaciła i wyszła, nie mówiąc już ani słowa do żadnego z nas. Po jej wyjściu antykwariusz spojrzał na świstek, którym założona była książka i powiedział mi, że dziewczyna nazywa się Saxony Gardner i że poza książkami Marshalla France'a kazała sobie odkładać wszystkie stare pozycje dotyczące marionetek.

Mieszkała w tej dzielnicy, przez którą niebezpiecznie jest jechać samochodem z otwartymi oknami, w domu, który musiał być niegdyś całkiem szykowny – mnóstwo okładziny i duża komfortowa weranda przez cały fronton – ale teraz przypominał szkielet krążownika szos, ogołocony ze wszystkiego prócz wstecznego lusterka. W bujanym fotelu na werandzie siedział stary Murzyn w szarej bluzie od dresu z kapturem, a ponieważ było ciemno, nie od razu zauważyłem, że trzyma na kolanach czarnego kota.

– Szanowanko, kolego.

– Cześć. Mieszka tu Saxony Gardner?

Zamiast odpowiedzieć na moje pytanie, podniósł kota na wysokość oczu i zagadnął go czule – „kici, kici, kici" – nie jestem zresztą pewien, czy mówił do kota. Nie przepadam za zwierzętami.

– Najmocniej pana przepraszam, czy byłby pan uprzejmy poinformować mnie, czy...

– Tak. Jestem. – Szklane drzwi się otworzyły i stanęła w nich ona. Podeszła do starego i kciukiem dotknęła czubka jego głowy. – Czas do łóżka, wujku Leonardzie.

Uśmiechnął się i przekazał kota w jej ręce. Saxony odprowadziła go wzrokiem, po czym gestem poleciła mi zająć jego fotel.

– Wszyscy mówią do niego wujku. Miły staruszek. Mieszka z żoną na parterze, a ja zajmuję piętro. – Pod pachą trzymała coś, co po chwili wyjęła i szorstkim ruchem pchnęła w moją stronę. – To pańska książka. Nigdy bym jej panu nie sprzedała, gdyby nie to, że akurat potrzebuję pieniędzy. Pan pewnie gwiżdże na powody, ale wszystko jedno, chciałam żeby pan wiedział. Nie cierpię pana, ale jednocześnie jestem panu wdzięczna.

Była już w połowie drogi do uśmiechu, lecz w zamian tylko przeczesała dłonią włosy. Miała śmieszną cechę, do której zrazu trudno było przywyknąć – Saxony Gardner rzadko kiedy robiła więcej niż jedną rzecz naraz. Kiedy się uśmiechała, jej ręce były nieruchome. Kiedy chciała odgarnąć włosy z twarzy, uśmiech na ten moment znikał.

Kiedy już trzymałem książkę w ręku, zauważyłem, że została na nowo opakowana w papier będący kopią rękopisu muzycznego. Uznałem to za miły gest, chociaż tak naprawdę miałem jedynie ochotę jak

znacznie wzrosło. Jego książki i tak się zawsze sprzedawały. Ale teraz wszedł na listy lektur w wielu szkołach.

Za chwilę, myślałem, oznajmi mi, że w przyszłym miesiącu dwadzieścia osób zamierza opublikować pełne biografie France'a. Bałem się zadać to pytanie, ale wiedziałem, że muszę.

– W takim razie dlaczego nikt nie napisał jeszcze jego biografii?

Louis powoli odwracał głowę, aż w końcu spojrzał mi prosto w oczy. Przedtem wpatrywał się w coś, co go zafascynowało na podłodze przed kanapą. Nie widziałem jego oczu, bo okulary odbijały światło z okna, ale reszta twarzy wydawała się niewzruszona.

– Czy dlatego pan tu się znalazł, panie Abbey? Chce pan pisać biografię?

– Tak. Chciałbym spróbować.

– No dobrze – wziął głębszy oddech i z powrotem zapatrzył się w podłogę.– Wobec tego powiem panu, to, co mówiłem wszystkim innym. Mnie osobiście nic nie uszczęśliwiłoby bardziej niż biografia człowieka, o którym w tej chwili rozmawiamy. Niewiele o nim wiem, ale nawet to niewiele wystarczy, żeby stwierdzić, że życie miał fascynujące. Przynajmniej dopóki się nie postarzał i nie osiadł w Galen. Każda osobistość z dziedziny literatury powinna mieć swój portret. Tylko że Marshall, kiedy stał się sławny, natychmiast znienawidził uciążliwości sławy. Zawsze miałem wrażenie, że to go między innymi tak wcześnie zabiło – ludzie bez przerwy deptali mu po piętach, a on nie umiał sobie z tym poradzić. Kompletnie. Tak czy owak, jego córka... – Tu przerwał i oblizał się. – Jego córka Anna to bardzo dziwna kobieta. W gruncie rzeczy, nigdy nie darowała światu przedwczesnej śmierci ojca. Miał raptem czterdzieści cztery lata, wiedział pan o tym? Teraz Anna mieszka sama, w tym wielkim, okropnym domisku w Galen i odmawia wszelkich rozmów na tematy związane z ojcem. Wie pan, jak długo walczyłem z nią o rękopis jego powieści? Całe lata, panie Abbey. Pan słyszał o jego powieści, prawda?

Kiwnąłem głową. Pan biograf-erudyta.

– No więc, wszystkiego najlepszego. Pomijając już fakt, że miałaby z tego niezły grosz – proszę mnie nie brać za materialistę – uważam, że wszystko, cokolwiek France napisał, powinno zostać podane do druku. To jedyny pełnej krwi geniusz, na jakiego się natknąłem, odkąd siedzę w tym interesie – może mnie pan cytować. Ma tak oddanych wielbicieli, że aż trudno uwierzyć. Rozmawiałem nie tak dawno z antykwariuszem, który sprzedał „Brzoskwiniowe cienie" za siedemdziesiąt pięć dolarów!

Ahem.

– Ale na nią nie ma siły, panie Abbey, ona nie chce gadać ani ze mną, ani z nikim. Marshall przed śmiercią nie powiedział jej, że książka jest skończona, chociaż w listach do mnie wyraźnie dawał do zrozumienia, że tak. Dla niej jednak jest nie dokończona, co znaczy – niedrukowalna. Błagam, żeby mi ją pozwoliła wydać z obszerną notą od wydawcy, w której będzie napisane, że dzieło jest niekompletne, ale ona na to tylko mruży te swoje żabie oczy i ucieka w krainę Dzidzi-Anny. Koniec, kropka, szlus. Muszę panu przy okazji powiedzieć, że i Marshall nigdy nie życzył sobie biografii, ona zaś naturalnie ściśle tego przestrzega. Czasami odnoszę wrażenie, że z zazdrości chowa przed światem wszystko, co po nim zostało. Najchętniej obeszłaby pewnie wszystkie domy jego czytelników i pościągała książki France'a z regałów. – Poskrobał się po białych, stalowo-wełnistych włosach. – No bo tak: powieści wydać nie pozwala, na biografię się nie zgadza, z dziennikarzami nie gada – chce go schować przed światem, ja to panu mówię.

Pokręcił głową i spojrzał w sufit. Zrobiłem to samo, ale niczego tam nie dostrzegłem. Było cicho i wygodnie, obaj myśleliśmy o niezwykłym człowieku, który odegrał tak ważką rolę w życiu każdego z nas.

– A co pan myśli o możliwości napisania biografii nieautoryzowanej, panie Louis? Przecież muszą istnieć sposoby zdobycia informacji bez konieczności użerania się z tą, jak jej tam, Anną.

– Były takie próby. Parę lat temu zjawił się u mnie pewien ambitny abiturient z Princeton, w drodze do Galen. – Louis uśmiechnął się dwuznacznie i zdjął okulary. – Wyjątkowo nadęty błazen, ale mniejsza o to. Ciekaw byłem, jak sobie poradzi z nieposkromioną Anną. Prosiłem, żeby do mnie napisał, gdyby do czegoś doszło, ale nie dał znaku życia.

– A co na to Anna?

– Anna? To co zwykle. Przysłała mi zjadliwy list z żądaniem, żebym przestał nasyłać ciekawskich,

pięter. Całe piętra ludzi trudniących się książką. To mi się spodobało. Podobało mi się, że Kodel Sweet życzył mi przyjemnego dnia. W windzie panował przyjemny zapach podniecających perfum jakiejś damy... Nowy Jork był w porządku.

Jadąc windą, uczułem śmieszny skurcz w żołądku na myśl, że za chwilę będę rozmawiał z kimś, kto osobiście znał Marshalla France'a. Przez całe życie ludzie zadręczali mnie pytaniem, jaki naprawdę był mój ojciec, nienawidziłem tego, a teraz sam miałem ochotę zadać pięćdziesiąt milionów takich pytań na temat France'a. Kiedy wymyśliłem następny milion, drzwi windy rozsunęły się i wyszedłem na korytarz w poszukiwaniu gabinetu Dawida Louisa.

Louisowi daleko było do Maxwella Perkinsa, miał jednak wystarczająco dobrą reputację, żeby jego nazwisko od czasu do czasu obijało się o uszy. Ponowna lektura artykułów na temat France'a potwierdziła, że Louis był jedną z nielicznych osób, z którymi France kontaktował się za życia. Był ponadto wydawcą wszystkich jego książek i wykonawcą testamentu pisarza. Nie znałem się na wykonawstwie ostatniej woli (kiedy umarł mój ojciec, zamknąłem się w szczelnej hibernacji, z której wyszedłem dopiero kiedy pole walki zostało gruntownie uprzątnięte), przyjąłem jednak założenie, że Louis musiał coś znaczyć dla France'a, skoro ten ostatni uczynił go stróżem swojego majątku.

– Tak, słucham pana?

Sekretarka miała na sobie – jak Boga kocham! – podkoszulek ze złotej lamy z hasłem „Virginia Woolf" wypisanym cekinami w poprzek niezłej klatki piersiowej. Na jej biurku, okładką do góry, leżał otwarty egzemplarz książki „Super Seks".

– Byłem umówiony z panem Louisem.

– Pan Abbey?

Szybko odwróciłem wzrok, bo w jej oczach pojawił się nagle dobrze mi znany błysk – „Czy pan przypadkiem nie jest ...?", a nie byłem w nastroju.

– Chwileczkę, sprawdzę tylko... – podniosła słuchawkę i wykręciła numer wewnętrzny.

Na jednej ze ścian sekretariatu wisiała gablota z ostatnimi publikacjami wydawnictwa. Z nawyku zająłem się najpierw literaturą piękną, ale natychmiast wzrok mój przyciągnęło gigantyczne albumowe wydanie zatytułowane „Świat marionetek". Kosztowało dwadzieścia pięć dolarów, ale przez szybę gabloty wydawało się dziełem tak opasłym, że musiało chyba zawierać wszystkie fotografie drewnianych główek i sznurków, jakie istnieją na świecie. Postanowiłem kupić księgę dla Saxony za całą robotę, którą dla mnie odwalała. Przeczuwałem, że dla niej gest ten będzie oznaczał więcej niż moje intencje, ale nawet na to machnąłem ręką. Zasłużyła na niego.

– Pan Abbey?

Odwróciłem się i zobaczyłem Louisa. Był niski, krępy, dobrze zakonserwowany, miał sześćdziesiąt, może sześćdziesiąt jeden lat. W idealnie skrojonym, beżowym garniturze z szerokimi klapami, morskiego koloru koszuli z wzorem w jodełkę i kasztanowatym fularze udrapowanym pod szyją w miejsce krawata. Srebrne oprawki okularów nadawały mu wygląd francuskiego reżysera. Na wpół łysy, powitał mnie na wpół zwiędłym uściskiem dłoni.

Wprowadził mnie do gabinetu, a w chwili kiedy zamykał drzwi, usłyszałem, jak sekretarka strzela balonem z gumy do żucia.

Gabinet był od ściany do ściany założony książkami. Facet musiał być naprawdę nie byle kim, jeżeli znał chociaż połowę stojących tam autorów.

Uśmiechnął się wstydliwie i wetknął dłonie w kieszenie spodni.

– Pozwoli pan, że usiądę obok na kanapie? Proszę, proszę, niech pan siada. W tamtym tygodniu grałem w tenisa, coś mi strzeliło w krzyżu i jakoś nie mogę przyjść do siebie.

Garnitur á la Ted Lapidus, sekretarka z cekinami, tenis... Niezależnie od tego, czy pochwalałem jego styl, czy też nie, Louis stanowił ważne ogniwo łączące mnie z Marshallem Francem.

– Zdaje się, że chciał pan rozmawiać o Marshallu, panie Abbey – uśmiechnął się z niejakim znużeniem. Czyżby już kiedyś odbywał podobne rozmowy? – Ciekawe, wie pan, że odkąd na uczelniach wyższych otwarto kursy literatury dziecięcej i usankcjonowano pozycje literackie takich autorów jak George MacDonald i bracia Grimm, a nawet zaczęto ich cytować, zainteresowanie twórczością France'a

najprędzej zerwać papier i ponownie zabrać się do lektury. Wiedziałem, że zrobić to od razu byłoby nietaktem, ale cieszyłem się na myśl o szybkim powrocie do domu. Zemleć garść ziarenek, zaparzyć czajnik świeżej kawy, zasiąść w dużym fotelu przy oknie, w dobrym świetle...

– Wiem, że to nie mój interes, ale dlaczego dał pan za tę książkę aż sto dolarów?

Jak wytłumaczyć obsesję?

– A dlaczego pani dała trzydzieści pięć? Jeśli się nie mylę, to nawet na to panią nie stać.

Odepchnęła się od kolumny, o którą przez cały czas opierała się plecami i potarła podbródek gestem twardego faceta.

– Skąd pan może wiedzieć, na co mnie stać, a na co nie? Wcale nie muszę panu sprzedawać tej książki. Jeszcze nie wzięłam od pana ani grosza.

Podniosłem się ze sfatygowanego fotela wujka Leonarda i sięgnąłem do kieszeni po nowy banknot studolarowy, który zawsze noszę ukryty w tajnej skrytce portfela. Dziewczyna nie była mi na nic potrzebna, i nawzajem, a poza tym zaczynało się robić zimno i chciałem wydostać się z okolicy zanim na dachu domu zabrzmią wojenne tam-tamy i rozpoczną się tańce rytualne.

– No to ja już chyba sobie pójdę. Proszę, oto pieniądze i przepraszam najmocniej, jeżeli byłem wobec pani niegrzeczny.

– Był pan. Napije się pan herbaty?

Machałem jej przed nosem nowiuteńkim banknotem, ale nie spieszyła się go brać. Wzruszyłem więc ramionami i zgodziłem się na herbatę, a ona wprowadziła mnie do wnętrza Domostwa Usherów.

W holu, nad drzwiami, które uznałem za wejście do komnat wujka Leonarda, paliła się trzywatowa żarówka w odcieniu brunatnożółtym. Spodziewałem się, że w środku będzie śmierdziało jak po odpływie, ale omyliłem się. Zapach był przyjemny i egzotyczny: na pewno jakieś kadzidło. Zaraz za lampką były schody. Okazały się tak strome, że przez chwilę zastanawiałem się, czy nie prowadzą do obozu-bazy na El Capitan, ale jakoś je sforsowałem, w samą porę, żeby zobaczyć, jak moja przewodniczka znika za drzwiami, mówiąc do mnie przez ramię coś, czego nie zrozumiałem.

Zapewne radziła mi uważać na głowę, bo ledwie przekroczyłem za nią próg, zaplątałem się w gęstą pajęczynę, co przyprawiło mnie o drobny atak serca. Pajęczyna okazała się linkami marionetki, a ściślej mówiąc, jednej z licznych lalek rozwieszonych po całym pokoju w wyszukanych makabrycznych pozach, które przypomniały mi wszystkie najgorsze sny, jakie miewałem w życiu.

– Tylko proszę nie używać słowa „kukiełki". To są wszystko marionetki. Jaką herbatę pan woli, jabłkową czy rumiankową?

Przyjemny zapach pochodził właśnie z jej pokoju – i rzeczywiście był to zapach kadzidła. Zobaczyłem, że kilka laseczek kopci się w pełnej drobnego, białego proszku glinianej miseczce stojącej na stoliku do kawy. Obok leżało kilka dziwnie jaskrawych kamieni i coś, co uznałem za głowę marionetki. Właśnie trzymałem ją w ręku i oglądałem, kiedy Saxony wróciła do pokoju z herbatą i bochenkiem własnoręcznie upieczonego chleba bananowego.

– Zna się pan na marionetkach? Ta jest kopią złego ducha, Natta, z Birmańskiego Teatru Marionetek.

– Czy pani z tego właśnie żyje? – Zatoczyłem łuk ręką, przy czym Natt o mało nie wylądował na chlebie bananowym.

– Tak, a raczej żyłam, dopóki nie zachorowałam. Słodzi pan miodem, czy cukrem? – „Zachorowałam" powiedziała takim tonem, że nie czułem się w obowiązku pytać na co, albo czy już czuje się lepiej.

Po wypiciu porcji najobrzydliwszego gorącego płynu, jaki kiedykolwiek miałem w ustach – ciekawe, czy to była jabłkowa, czy rumiankowa – odbyło się zwiedzanie pokoju. Gospodyni wymieniała nazwiska Ivo Puhonny'ego i Tony'ego Sargi, paplała o figurkach z Wajang i o Bunraku, jakbyśmy wszyscy byli starymi znajomymi. Mimo to, podobał mi się jej entuzjazm i niebywałe pokrewieństwo między obliczami niektórych kukiełek a moimi maskami.

Kiedy usiedliśmy z powrotem i kiedy już lubiłem ją sto razy bardziej niż na początku, oświadczyła, że ma coś, co na pewno mi się spodoba. Wyszła do drugiego pokoju i wróciła z fotografią w ramce. Znałem tylko jedno zdjęcie France'a, więc nie rozpoznałem postaci na fotografii, dopóki nie zauważyłem jego autografu w lewym dolnym rogu.

– O rany! Skąd pani to ma?

Odebrała mi zdjęcie i przypatrzyła mu się z uwagą. Kiedy się znów odezwała, mówiła wolno i cicho.

– Kiedy byłam mała, bawiłam się z dziećmi przy stercie palonych liści. Potknęłam się i wpadłam w stos. Miałam tak poparzone nogi, że cały rok przeleżałam w szpitalu. Matka przyniosła mi jego książki, a ja czytałam je w kółko, aż okładki odchodziły od grzbietu. Książki Marshalla France'a i książki o kukiełkach i marionetkach.

Wtedy po raz pierwszy zastanowiłem się, czy przypadkiem France nie działa tylko na takie dziwadła jak my: na małe dziewczynki leżące w szpitalu i zafascynowane marionetkami oraz na małych chłopców, poddawanych psychoanalizie od piątego roku życia, którzy mają wspaniałych ojców.

– Ale skąd pani to ma? Widziałem tylko jedno jego zdjęcie, a i to z czasów młodości, jeszcze bez brody.

– Wiem, to z „Time'a"? – Ponownie przyjrzała się swojej fotografii. – Pamięta pan, jak zapytałam, dlaczego był pan skłonny zapłacić aż tyle za „Brzoskwiniowe Cienie"? Wie pan, ile ja zapłaciłam za to? Pięćdziesiąt dolarów. Nieźle, co?

Popatrzyła na mnie i tak głośno przełknęła ślinę, że nawet ja usłyszałem donośne „glump".

– Czy pan też uwielbia jego książki? To jest... niedobrze mi się robi na myśl, że mam ją panu oddać. Szukałam jej przez tyle lat. – Dotknęła czoła, a potem przesunęła palcami po bladym policzku. – Niech pan ją już lepiej zabierze i pójdzie sobie.

Skoczyłem na równe nogi i wyłożyłem pieniądze na stół. Przed wyjściem zapisałem jej na kawałku papieru swoje nazwisko i adres. Podałem jej świstek, mówiąc żartem, że może odwiedzać u mnie swoją książkę, kiedy tylko zechce. Bodajbym się był ugryzł w język.

Rozdział III

W jakiś tydzień później siedziałem długo w nocy nadrabiając zaległe lektury. Chociaż raz z przyjemnością myślałem o swojej mysiej dziurze, bo na zewnątrz szalała zimowa burza, wahając się między złośliwym, uporczywym deszczem a mokrym śniegiem. Prawdę mówiąc, zmienne pogody Connecticut bardzo mi się podobały; dawniej mieszkałem w Kalifornii, gdzie po jednym słonecznym dniu przychodził nieuchronnie następny słoneczny dzień.

Około dziesiątej usłyszałem dzwonek u drzwi, więc podniosłem się niechętnie, przekonany, że to na pewno znów jakiś błazen oberwał umywalkę w łazience dla chłopców albo jeden szczeniak wyrzucił drugiego przez okno. Mieszkanie w internacie oceniam jako trzeci lub czwarty krąg piekła. Drzwi otworzyłem z gotowym przekleństwem na ustach.

Miała na sobie czarne poncho do kolan, z kapturem. Gdyby nie plastyk opończy wyglądałaby, wypisz wymaluj, jak kapłan Inkwizycji.

– Wpadłam na chwilę. Nie przeszkadzam? Chciałam panu pokazać parę rzeczy.

– Bardzo się cieszę, proszę wejść. Zastanawiałem się właśnie, dlaczego „Brzoskwiniowe Cienie" były przez cały dzień takie podekscytowane.

Kiedy to mówiłem, była w połowie zdejmowania kaptura. Przerwała gest i uśmiechnęła się do mnie spod czoła. Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, jaka jest niska. Jej twarz błyszczała mokrą bielą na tle lśniącej od deszczu czerni poncha: dziwna białoróżowość, nawet ładna i jakby dziecinna zarazem. Powiesiłem ociekające okrycie i wskazałem jej drogę do pokoju. W ostatniej chwili przypomniały mi się jej kukiełki i to, że nie widziała jeszcze moich masek. Pomyślałem o ostatniej kobiecie, która je oglądała.

Saxony dała dwa kroki w głąb pokoju i stanęła jak wryta. Szedłem za nią, więc nie widziałem efektu pierwszego wrażenia na jej twarzy. A szkoda. Po kilku sekundach podeszła do masek. Stanąłem w drzwiach, ciekaw, co powie i którą zechce dotknąć albo zdjąć ze ściany.

Żadnej. Przyglądała im się długo i w pewnej chwili wyciągnęła rękę w stronę czerwonego meksykańskiego diabła z wielkim niebieskim wężem wychodzącym mu z nosa i wchodzącym do ust, ale jej ręka zatrzymała się w pół gestu i opadła.

niego zbliżam – wszystko jedno czym: samolotem, pociągiem, czy samochodem – płonę z niecierpliwości. Szaleństwo! Teatry! Muzea! Księgarnie! Najpiękniejsze Kobiety Świata! Wszystko tam jest i czeka na mnie już od dawna. Wyskakuję z wagonu wprost na Grand Central Station albo wychodzę na Port Authority, czy Kennedy Airport – samo serce tego cudu. Serce śpiewa z radości: Co za ruch! Te kobiety! To fantastyczne! Wszystko tu jest fantastyczne! I tu się zaczyna, bo „wszystko" mieści w sobie także oberwańca, który zataczając się zdąża do rogu, żeby się tam wyrzygać, a także odrażającego czternastoletniego Portorykańczyka na przezroczystych kosmicznych obcasach, który prosi (żąda!) aby dać mu dolara. I tak dalej, i tak dalej. Nie ma sensu się nad tym rozwodzić. Dość, że jakoś nie mogę raz na zawsze pogodzić się z faktem, że tak to właśnie jest i za każdym razem jak tam przyjeżdżam, dziwi mnie, że na powitanie nie tańczy Frank Sinatra w białym ubraniu, wyśpiewujący „New York, New York". Raz na Grand Centralu zdarzyło się nawet, że przetańczył obok mnie facet podobny do Sinatry. Przetańczył, otarł się o mnie, po czym zaczął spokojnie sikać na ścianę.

Dlatego od pewnego czasu postanowiłem działać naukowo. Wysiadam z pociągu w jak najlepszym nastroju. Potem, aż do pierwszego obrzydliwego zdarzenia, czuję się świetnie i napawam każdą minutą pobytu w Nowym Jorku. Z nadejściem pierwszej ohydy, daję upust całej mojej odrazie i rozczarowaniu, po czym spokojnie zajmuję się własnymi sprawami.

Tym razem był to taksówkarz. Wymachałem go tuż po wyjściu ze stacji i podałem adres wydawnictwa na Piątej Avenue.

– Na Piątej tera demonstrują.

– Tak? No i co z tego?

Wizytówka służbowa informowała, że kierowca nazywa się Franklin Tuto. Ciekaw byłem, jak wymawia swoje nazwisko.

Złapałem w lusterku jego wzrok, który mnie taksował.

– No to trza będzie zjechać przez Park.

– W porządku, mnie to obojętne. Przepraszam pana, czy pan wymawia swoje nazwisko „Tuto", czy „Tato"?

Jego oczy natychmiast znalazły się w lusterku, sztyletując mnie ostro, zanim ich właściciel odpowiedział na niebezpieczne pytanie.

– A bo co?

– Nic. Po prostu byłem ciekaw. – Jak idiota, spróbowałem zażartować: – Myślałem, że może jest pan spokrewniony z egipskim rodem Tutów.

– Trele morele. Chciał mnie pan sprawdzić, co?

Złapał za daszek swojej kraciastej czapki golfowej, przekręcił go do tyłu i z impetem wcisnął czapkę na głowę.

– Skądże znowu, zobaczyłem nazwisko na wizytówce i...

– Znowu kontrol! Cholera by was wzięła! Mam przedłużenie licencji, czego się, kurwa, jeszcze czepiasz?

Zahamował przy krawężniku i poinformował mnie, że mam się wynosić z jego pierdolonej taksówki, że se go mogę, kurwa, zawieszać jak mi się podoba i że ma dosyć „nas skurwysynów". Wobec tego wysiedliśmy z taksówki, pomachaliśmy na pożegnanie Franklinowi Tuto, który oddalał się z dzikim piskiem opon i z westchnieniem zatrzymaliśmy następną taksówkę.

Szef tej nazywał się Kodel Sweet. Jestem mistrzem w odczytywaniu nazwisk kierowców taksówek. Krajobraz na ogół mnie nudzi. Kodel Sweet miał na głowie fikuśny aksamitny kapelusik, z gatunku tych, które wyglądają, jakby coś człowiekowi spadło na głowę z dachu i tak już zostało. Na moje szczęście lub nieszczęście, ten przez całą drogę odezwał się tylko raz – „Nie trzeba" – powiedział, kiedy po raz drugi podałem mu adres wydawnictwa. Za to kiedy już wysiadłem, powiedział: „Miłego dnia życzę" – i to takim tonem, jakby mi go naprawdę życzył.

Budynek był z gatunku szklanych domów – coś jak wielki basen kąpielowy postawiony na sztorc, z którego jakimś cudem nie wylewa się woda. Taka architektura podoba mi się tylko w jasny słoneczny dzień wiosenny albo jesienny, kiedy miliony okien odbijają blask nieba.

Ze zdumieniem stwierdziłem, że wydawnictwo, którego szukam, zajmuje w tym budynku szereg

– Wal. Mam wszystko pod ręką.

Niezależnie od tego co ją skłoniło do robienia tego, co robiła, nie miałem zamiaru wyłączać Radia Wolna Informacja.

– Dobra. Po pierwsze: on się wcale nie nazywał France, tylko Frank. Martin Emil Frank, urodzony w Rattenbergu, Austria, w roku 1922. Rattenberg jest miasteczkiem położonym około czterdzieści mil od Innsbrucka, w górach. Ojciec miał na imię Dawid, matka – Hanna, przez „H".

– Poczekaj moment. Już.

– Miał starszego brata, Izaaka, który zginął w Dachau w 1944.

– Żydzi?

– Nie ulega wątpliwości. France przybył do Ameryki w roku 1938 i w jakiś czas potem osiadł w Galen, Missouri.

– Dlaczego w Galen? Dowiedziałaś się?

– Nie, ale próbuję. Podoba mi się to. Fajnie jest pracować w bibliotece i wygrzebywać sekrety o kimś, kogo się kocha.

Zakończyła rozmowę, a ja jeszcze przez dłuższą chwilę stałem ze słuchawką w dłoni, aż w końcu podrapałem się nią po głowie. Sam nie wiedziałem, czy obietnica Saxony, że zadzwoni, kiedy tylko znajdzie coś nowego, cieszy mnie, czy nie.

Wedle jej informacji (w kilka dni później), France osiedlił się w Galen, ponieważ jego wuj Otto prowadził tam niewielką drukarnię. Jednak przed udaniem się na Zachód, nasz bohater przez półtora roku zamieszkiwał w Nowym Jorku. Saxony w żaden sposób nie zdołała ustalić, czym się tam zajmował. Dostała wręcz drobnego kręćka na tym punkcie i wydzwaniała do mnie z rosnącą wściekłością.

– Nie mogę nic znaleźć! Chyba się wścieknę!

– Spokojnie, Sax. Tylko kop dalej tak solidnie jak dotąd, a na pewno się do czegoś dokopiesz.

– Proszę mnie nie poklepywać po ramieniu. Mówisz całkiem jak twój ojciec w tym filmie, który oglądałam wczoraj wieczorem. Stary James Vandenberg, farmer o złotym sercu.

Oczy zwęziły mi się w szparki i z całej siły ścisnąłem słuchawkę.

– No wiesz, Saxony, Nie musisz mnie obrażać.

– Kiedy ja wcale nie... Przepraszam.

Odłożyła słuchawkę. Natychmiast oddzwoniłem, ale nie odebrała telefonu. Ciekawe – może dzwoniła z budki na jakiejś ślepej uliczce. Na samą myśl o tym zrobiło mi się jej tak strasznie żal, że zszedłem na dół do kwiaciarni i kupiłem jej japońskie drzewko bonsai. Zanim je zostawiłem na progu mieszkania Saxony, upewniłem się, że nie ma jej w domu.

Powinienem, myślałem, sam dla odmiany coś zrobić, zamiast zwalać całe poszukiwania na nią. W związku z tym, na przerwę świąteczną pod koniec kwietnia zaplanowałem wycieczkę do Nowego Jorku, żeby tam porozmawiać w sprawie biografii z wydawcą dzieł France'a. Nie powiadomiłem Saxony o tym projekcie aż do wieczora w przeddzień wyjazdu, a i wtedy ona pierwsza zadzwoniła do mnie, cała w skowronkach.

– Tomasz? Mam! Dowiedziałam się, co on porabiał w Nowym Jorku!

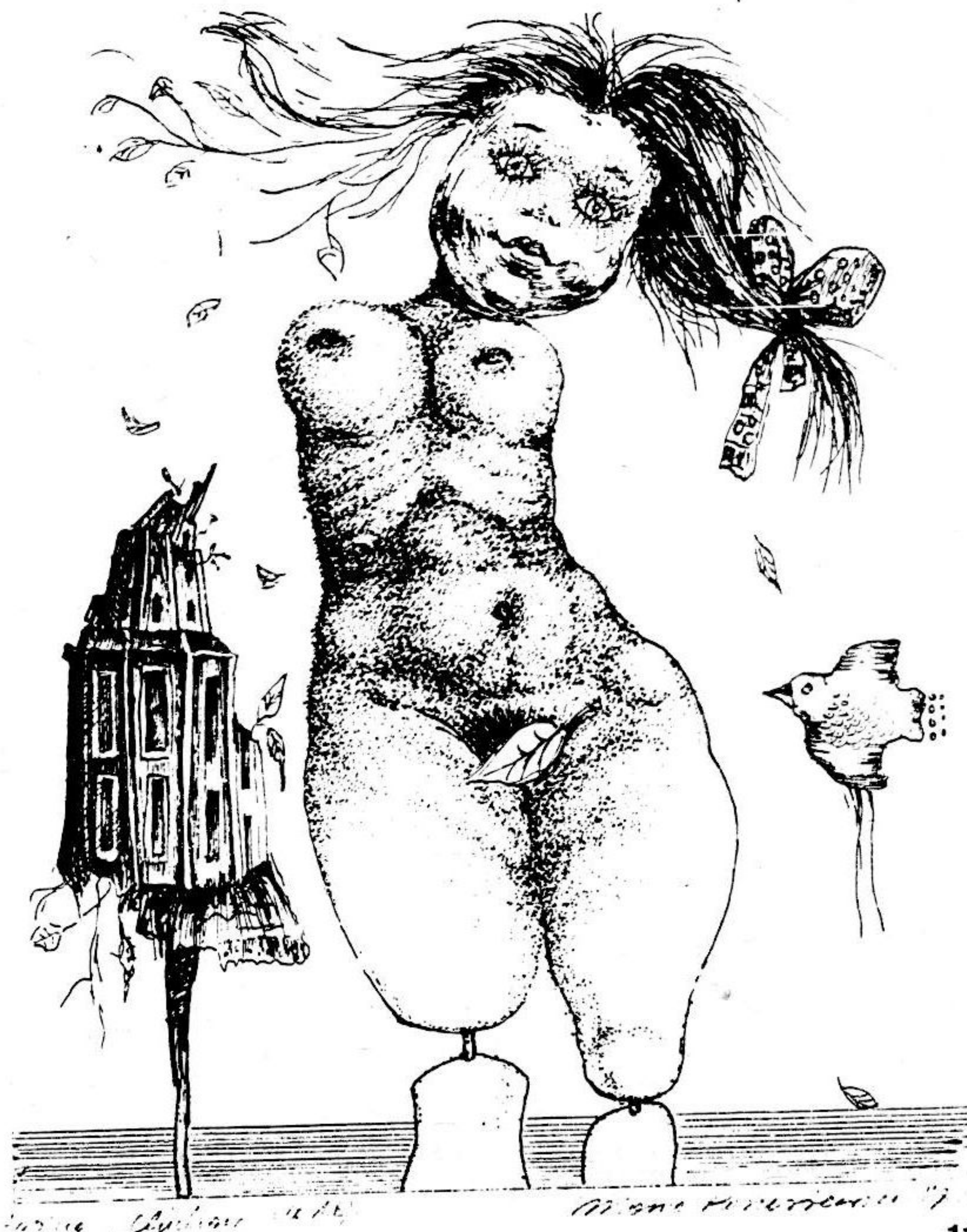
– W dechę! Co takiego?

– Weź głębszy oddech. Pracował u przedsiębiorcy pogrzebowego, Włocha, o nazwisku Lucente. Był, zdaje się, jego pomocnikiem, czy kimś w tym rodzaju. Czym się dokładnie zajmował – nie piszą.

– To miła wiadomość. A pamiętasz tamtą scenę w „Krainie Chichów", kiedy umierają Księżycowy Błazen i Lady Oliwa? Musiał wiedzieć coś niecoś o trupach, żeby napisać taki kawałek.

Rozdział IV

Kiedy jadę do Nowego Jorku, za każdym razem przeżywam to samo uczucie. Był taki głupi kawałek o facecie, który poślubił piękną kobietę i nie mógł się doczekać nocy poślubnej, żeby się do niej dobrać. A kiedy się w końcu doczekał, panna młoda zdjęła z łysej głowy blond perukę, odkręciła drewnianą nogę i wyjęła sztuczną szczękę, dzięki której tak zniewalająco się uśmiechała, po czym odwróciła się do męża i rzekła wstydliwie: „Jestem gotowa, kochanie". Tak samo jest ze mną i z Nowym Jorkiem. Ilekroć się do



Maria Korusiewicz

Nie odwracając się do mnie, powiedziała:
– Wiem, kim pan jest.
Wycelowałem jedną z moich bardziej śmiercionośnych min w nasadę jej pleców.
– Wie pani, kim jestem? Chciała pani powiedzieć, że wie, kim jest mój ojciec. To żadna tajemnica. Wystarczy włączyć telewizor w dowolnym dniu na program nocny.
Odwróciła się i zatknęła dłonie w kieszonki tej samej dżinsowej spódnicy, którą miała na sobie wtedy w księgarni.
– Pana ojciec? Nie, mówiłam o panu. Wiem, kim pan jest. Któregoś dnia zadzwoniłam tu i wszystkiego się o panu dowiedziałam. Przedstawiłam się jako dziennikarka pisząca reportaż o pańskiej rodzinie. Potem poszperałam w starym „Who's Who" i innych źródłach na temat pana i pana rodziny. – Dwoma palcami wydobyła z kieszeni poskładaną kartkę i rozwinęła ją. – Ma pan trzydzieści lat, pana brat Max i siostra Nicolle, oboje starsi od pana, zginęli w katastrofie lotniczej razem z ojcem. Matka mieszka w Litchfield, Connecticut.
Byłem zaskoczony i samym faktem, i bezczelnym spokojem, z jakim wyznała, czym się zajmuje.
– Sekretarka szkoły powiedziała mi, że studiował pan w Franklin and Marshall College i ukończył studia w roku 1971. W tej szkole pracuje pan od czterech lat, a uczeń z klasy, której wykłada pan literaturę amerykańską, w rozmowie ze mną wyraził się, że jako nauczyciel jest pan, cytuję, „w porządku", koniec cytatu.
Złożyła kartkę i schowała do tej samej kieszeni.
– Po co to całe śledztwo? O co jestem podejrzany?
– Lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia – odparła, nie wyjmując ręki z kieszeni.
– Ach tak? No i co?
– No i nic. Skoro wystąpił pan z propozycją zapłacenia takiej sumy za książkę Marshalla France'a, chciałam się dowiedzieć o panu czegoś więcej, to wszystko.
– Nie jestem przyzwyczajony do tego, żeby ktoś zbierał informacje na mój temat.
– Dlaczego rzuca pan pracę w szkole?
– Nie rzucam. To się nazywa urlop bezpłatny. A w ogóle, co pani do tego?
– Niech pan lepiej zobaczy, co przyniosłam.
Sięgnęła pod swój szary pulower na piersiach i coś stamtąd wyciągnęła. Kiedy mi to podawała, jej głos łamał się z przejęcia.
– Wiedziałam, że to istnieje, ale nawet nie marzyłam, że kiedyś trafię na egzemplarz. Zdaje się, że wydrukowano ich tylko tysiąc. Ten znalazłam u Gothama w Nowym Jorku. Polowałam wszędzie, od lat.
Była to mała, bardzo cienka książeczka, wydrukowana na wspaniale mięsistym, chropawym papierze. Po ilustracji na okładce (jak zwykle Van Walt) poznałem, że jest to coś France'a, chociaż absolutnie nie miałem pojęcia, co. Tytuł brzmiał: „Nocne wyścigi w głąb Anny" i przede wszystkim zdumiał mnie fakt, że nietypowo dla książek France'a, ta miała tylko jedną ilustrację – na okładce. Prosty, czarno-biały, rysowany piórkiem i atramentem wizerunek dziewczynki w spodniach-ogrodniczkach idącej o zachodzie słońca w stronę stacji kolejowej.
– Nigdy nie słyszałem o tej książce. Skąd... kiedy to się ukazało?
– Nie słyszał pan? Naprawdę? Nigdy pan...? – Delikatnie wyjęła książkę z moich chciwych rąk i przesunęła palcami po okładce, jakby czytała brajlem. – To jest ta powieść, w trakcie pisania której zmarł. Niewiarygodne, prawda? Powieść Marshalla France'a! Podobno nawet ją ukończył, tylko jego córka, Anna, nie pozwala opublikować całości. To – jej głos był gniewny, oskarżycielsko pukała palcami w okładkę – jest jedyna część, jaką oglądało oko ludzkie. Nie jest to książka dla dzieci. Aż trudno uwierzyć, że to on ją napisał, taka jest inna niż reszta jego książek. Jakaś taka niesamowita i smutna.
Ponownie wyłuskałem książkę z jej rąk i otworzyłem ją ostrożnie.
– Tylko pierwszy rozdział, jak pan sam widzi, ale za to bardzo długi, prawie czterdzieści stron.
– Czy nie... nie miałaby mi pani za złe, gdybym się jej chwilę poprzyglądał w samotności?
Uśmiechnęła się miło i kiwnęła głową. Kiedy ponownie podniosłem wzrok, wchodziła do pokoju z tacą zastawioną filiżankami, mosiężnym imbrykiem buchającym parą i całym zapasem angielskich rogalików, jaki trzymałem na dwa najbliższe śniadania.

Postawiła tacę na ziemi.
– Nie gniewa się pan? Cały dzień nic nie jadłam, umieram z głodu. Znalazłam to wszystko w kuchni...
Zamknąłem książkę i rozparłem się wygodnie w fotelu. Patrzyłem, jak panna Saxony pożera moje rogaliki. Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. A potem, sam nie wiem kiedy i dlaczego, wyrzuciłem z siebie cały plan dotyczący biografii France'a.
Wiedziałem, że jeżeli w ogóle mam z kimś rozmawiać przed zabraniem się do książki, to właśnie z nią, a mimo to skończyłem zawstydzony własnym entuzjazmem. Wstałem, podszedłem do masek i udałem, że poprawiam Markizę.
Ona nic nie mówiła, i dalej nic nie mówiła, aż wreszcie odwróciłem się od ściany i spojrzałem na nią. Jej oczy uciekły przed moimi i po raz pierwszy odkąd się poznaliśmy, przemówiła nie patrząc na mnie.
– Czy mogłabym panu pomóc? Znam się na badaniach źródłowych. Już kiedyś takie robiłam, dla profesora z uczelni, a to byłoby jeszcze lepsze, bo dotyczy Jego życia. Życia Marshalla France'a. Nie wezmę drogo. Słowo honoru. Jaka jest teraz najniższa płaca – dwa dolary za godzinę?
No tak. Wyjątkowo miła panienka, jak zwykła mawiać moja matka przedstawiając mi swoje kolejne „odkrycie", ale w tej kwestii nie potrzebowałem, ani też nie życzyłem sobie, niczyjej pomocy, nawet jeżeli ta miła panienka wiedziała na temat France'a więcej niż ja. Chciałem pracować, a nie troszczyć się jeszcze o kogoś innego, zwłaszcza o kobietę, która sprawiła na mnie wrażenie osoby apodyktycznej, samolubnej i co najgorsze, humorzastej. Owszem, miała swoje zalety, ale nie był to czas i miejsce na nie. Nnno... więc... tego... taak... jakby to... wiłem się i migałem, ale ona na szczęście pojęła mnie dość szybko, i dzięki Bogu.
– Mówiąc krótko, pan odmawia.
– Ja... krótko mówiąc... ma pani rację.
Spojrzała na podłogę i skrzyżowała ręce na piersiach.
– Rozumiem.
Stała tak z minutę, po czym odwróciła się na pięcie i unosząc po drodze nieznaną mi książkę France'a, skierowała się ku drzwiom.
– Ejże, przecież nie musi pani tak zaraz uciekać.
Oczami wyobraźni ujrzałem, jak chowa książkę z powrotem pod sweter. Serce mi pękało na samą myśl o tym wełnianym wybrzuszeniu.
Wyciągnęła w górę ręce, żeby wciąż mokre poncho mogło się na nią wśliznąć. Przez chwilę wyglądała jak impregnowany Bela Lugosi. Przemówiła, nie opuszczając rąk:
– Uważam, że jeżeli na serio myśli pan o pisaniu tej książki, robi pan poważny błąd. Mogłabym panu naprawdę pomóc.
– Wiem czego... no więc ja...
– Mówię tylko, że mogłabym naprawdę pomóc. Zupełnie nie rozumiem... Och, nieważne.
Otworzyła drzwi i bardzo cicho zamknęła je za sobą.
W kilka dni później wróciłem po zajęciach do domu i zastałem na drzwiach przypiętą kartkę. Zapisana była grubym flamastrem, a charakter pisma wydał mi się całkiem obcy.
I TAK TO ZROBIĘ. Z PANEM TO NIE MA NIC WSPÓLNEGO. PROSZĘ DO MNIE ZADZWONIĆ JAK PAN WRÓCI – ZNALAZŁAM COŚ.

SAXONY GARDNER

Tego tylko brakowało, żeby któryś z moich pupilów przeczytał kartkę, bez wahania przetłumaczył sobie „coś" na „narkotyki" i rozpuścił plotkę o ekscesach starego Abbeya za drzwiami mieszkanka w bursie. Nawet nie znałem numeru telefonu Saxony i nie miałem zamiaru go szukać. Ale ona sama zatelefonowała do mnie wieczorem i przez całą rozmowę była wyraźnie zła.
– Wiem, że nie chcesz, żebym się w to mieszała, Tomaszu, ale tak czy owak powinieneś był zadzwonić. Spędziłam wiele godzin w bibliotece, żeby to dla ciebie zdobyć.
– Naprawdę? Jestem ci bardzo zobowiązany. Mówię serio.
– W takim razie weź kartkę i kawałek ołówka, bo jest tego sporo.

Andrzej Podgórski

Ten wojewoda najwyraźniej trzęsie portkami. Sam chciał w to wleźć. Jego sprawa.

Praca nadesłana na konkurs „Fantastyki"

Pościg zaczął się około piątej nad ranem. Grupa likwidująca ucieczki podopiecznych szła od trzech godzin. Oprócz dowódcy było nas sześciu. Moim odpowiednikiem w parze był Bertes, najbardziej tajemniczy numerant jakiego spotkałem w życiu. Stuknęło mu dwadzieścia siedem wiosen, a jeszcze nie otrzymał właściwego imienia. I do dzisiaj nie wiem dlaczego, chociaż nasza przyjaźń zaczęła się trzy lata temu. Ze mną jest podobnie jak z nim – wykonuję tę robotę bo tak się złożyło. Warunki pracy w Oddziałach Opieki Społecznej są dobre, reszta gówno mnie obchodzi... Yhm...No tak... tak... przenoszę tam posłusznie moją osobowość, tak...

Zbliżała się ósma rano, gdy weszliśmy na obszar Dzikiego Buszu. Słońce wzeszło dopiero godzinę temu, lecz tu, w pobliżu Pasa i Oczu Południa już grzało niemiłosiernie. Właściwie to akurat weszliśmy do Pasa Pływów. Nigdy nie spodziewałem się, kurdesz, że kiedykolwiek naprawdę będę musiał zaleźć aż tutaj. Mój odpowiednik zapychał w Oddziałach od dzieciaka, taki syn, a też dopiero pierwszy raz jest w Buszu. Nawet w Pobliżu był trzy razy. Uszy postawił, rozgląda się, strach go za dupę złapał...

– Bertes! Kuternoga! Nie spać! – ostry głos dowódcy wbrew jego intencjom zabrzmiał jednak jakoś uspokajająco w tej wrogiej ciszy poranka. – Pośpieszyć się tam, cholera! Mgły za pasem, a im się, durniom, spacerów zachciało. Dalej naprzód, bo was w tym żółtym gnoju otrzeźwię!

Posłusznie wszyscy przyśpieszyliśmy. Słońce wzeszło na dobre. Jeszcze godzina – dwie i nawet gąszcz zieleni nas przed nim nie osłoni. Pod podeszwami butów chlupała żółta, cuchnąca maź, chyba bardziej lepka od mokrej gliny. Właśnie z powodu zmęczenia poczułem coś na kształt podziwu, lub nawet sympatii, dla tych starych. W ich tunikach i sandałach byli w Dzikim Buszu właściwie nadzy, a przecież musieli tędy przejść, i to po ciemku. W ich wieku to wyczyn – no, no... Zwłaszcza, że najprawdopodobniej uciekali do Pragi. Jak oni chcieli dojść do tego Oka bez przygotowania?

Zobaczyłem ponad głowami rękę dowódcy dającego sygnały i zatrzymaliśmy się. Otoczyliśmy go zaciekawieni – ten patrzył jeszcze przez chwilę we wskaźniki na końcówce plecaka i powiedział:

– O ile dobrze rozumiem wskazania, w tym miejscu odpoczywali, zapewne na tym złamanym drzewie. Myśleli, głupcy, że się wystarczająco oddalili – zaśmiał się. – Ale ja ich złapię... No dobra, dziesięć minut odpoczynku. I tak nie uciekną. – Po chwili zamyślenia dodał:

– Tylko nie żreć za dużo! Musicie być sprawni, ptaszki.

Odetchnęliśmy z ulgą. Rozsiadając się na pniaku, położyłem sobie światłę na kolanach, mimo woli głaszcząc jej rękojeść – pewnie ze strachu, kurdesz. Kiedy wyjmowałem koncentrat, obok już rozległo się glamanie mojego odpowiednika. Tfu! Nie lubię tego dzikusa. W pewnej chwili zobaczyłem przed oczami bukłak trzymany przez włochatą, małpią łapę Bertesa.

– Chcesz? Nie? To nie. – Zabulgotało w jego przepastnym gardle.

Chciałem mu nawtykać, że zdjął rękawice wbrew regulaminowi, ale tylko mruknąłem pod nosem:

– Idź w cholerę razem z tymi dziadami, co ich gonimy. – Powiedziałem to cicho i bardziej do siebie niż do niego, jednak łypnął na mnie spod rudych brwi i odparł:

– Czego ty od nich chcesz, Kutr?

– Po kiego uciekali? – Bert patrzył na mnie z uwagą, pod jego spojrzeniem straciłem zupełnie pewność siebie, aż zacząłem się głupawo tłumaczyć:

– Źle im nie było. Głodni nie byli, mieli ciepło domrodu i, tam..., tego..., kurdesz. Ale oni plują na Tradycję. Wolą się wypiąć na wnuki niż spełnić obowiązek przekazu. I przez tych palantów ja teraz tutaj... eech! – Machnąłem ręką, gdyż nie chciałem dopowiedzieć jaki to ze mnie bohater.

– Kiedy ludzie koczowali przy ogniskach, starzy rzeczywiście spełniali obowiązek przekazu, ale teraz narażają się na śmiesz-

nosć, próbując podnosić umysły wnuków, bo one wszystko lepiej wiedzą z innych źródeł, z książek, bracie, z...

Przerwałem mu, pokazując dowódce, który zbliżał się do nas patrząc we wskazania jego końcówki plecakowej.

– Słuchaj, Kutr, opowiedz mi o twoim domrodzie dzieciństwa.

Już miałem go posłać do wszystkich pieprzonych, lecz w porę przypomniałem sobie, że to sierota. Zapytałem tylko:

– Chcesz podjąć zobowiązanie małżeńskie? A może już rozpocząłes małżeństwo i chcesz je zalegalizować?

Gdy usłyszał te kpiny (takiego drugiego paskudztwa jak on nie ma nigdzie w naszej cześci świata) żyły nabrzmiały mu na twarzy, jednak zdołał się opanować. Zbyt dobrze znałem ciężar jego pięści, aby nie udać, że nic nie zauważyłem. Ciągnąłem więc, jakby nigdy nic:

– No, to ci powiem coś, czego jeszcze nikomu nie powiedziałem, skoro tak nalegasz – ze strachu, kurdesz, wolałem na niego nie patrzeć. – Wiesz co pamiętam najlepiej? Pokój Spokoju. Człowieku, nie masz pojęcia, jak ja tam chciałem wejść, zanim się stanę orężny! I wszedłem. Między nogami mojej babki, gdy chciała tam posprzątać. No, a jak już wszedłem, to mi wszystko wyjaśniła. Miałem tylko nikomu nie mówić. To była taka nasza tajemnica, powód do przemrugiwań i konspiracyjnych uśmieszków. Pamiętam jakby dzisiaj, jak mi pokazywała urny z prochami przodków i ścierając z nich z namaszczeniem kurz, odczytywała wyryte w metalu nazwiska. Ale najciekawsza była lodówka, której zawartość babka pokazała mi dopiero, gdy się rozpłakałem. Była tam zamrożona amputowana noga dziadka, czymś tam zmiażdżona, trzymane w torebkach foliowych zęby mleczne i stałe wszystkich żyjących domowników, oko mojej babki (nawet nie zauważyłem, że miała sztuczne), oraz woreczek żółciowy mojej matki, a obok niego kamienie, które się w nim zrobiły. Zapytałem wówczas: „Babciu, a dlaczego wy to tutaj trzymacie?" Odparła, iż wszystkie te „drogie" szczątki zostaną uroczyście spalone razem z właścicielami, gdy odejdą oni z tego świata, a potem, umieszczone w urnie, będą dowodem starodawności rodu. Wtedy zapytałem jeszcze: „Babciu, dlaczego nie wkłada się do lodówki obciętych włosów?" „Głuptasie – odpowiedziała – a gdzie by się pomieściły? Są spalane zaraz po obcięciu, a ich prochy od razu wrzuca się do urny. O!, popatrz, to jest twoja urna". Dopytywałem się jeszcze jak to się dzieje, że fryzjer nie pomyli włosów klientów, ale nie pamiętam, co na to odpowiedziała. A ta nasza wspólna tajemnica połączyła babkę i mnie na długie lata. Zawsze trzymała moją stronę, nawet gdy mogłem się mylić.

Spojrzałem na Bertesa. Zobaczyłem w jego oczach wzruszenie i chyba łzy.

– Bertes, ale zaprosisz mnie na twój ślub, nie?

Nawet mu do głowy nie przyszło, że to kpiny. Kiwnął głową i nie wiadomo dlaczego wyciągnął do mnie łapsko, niby że dopiero mnie zobaczył. Gdyśmy sobie serdecznie ściskali ręce usłyszałem nad głową głos dowódcy:

– Aa, gruchacie, ptaszki, co? No, to idźcie sobie na spacerek tą ścieżynką i zobaczcie, ptaszki, czy tam aby jeden z tych starych nie usnął przy sraniu. Wskazania mówią, że tam ktoś poszedł, ale nie wrócił.

Zapięliśmy linę bezpieczeństwa do pasów i wyjmując nasze końcówki plecakowe poszliśmy gdzie kazał. Po paru minutach drogi w błocie po kolana („scieżynka", psia-krew!) weszliśmy na prawdziwe trzęsawisko. Przed nami widniało bajoro z wyspą porosłą trawą. Tuż przed nią widać było w wodzie nieco zgarbioną górną część postaci w żółtej tunice, sprawiającą wrażenie, iż chce się zrobić jak najmniejsza. Początkowo myśleliśmy, że żyje, więc odbezpieczyliśmy głośniki kierunkowe ultradźwięków i opuściliśmy przyłbice. Bertes dał mi znak, abym się zatrzymał i sam wlazł w bagno. Przyszło mi do głowy, iż tamten stary wyzionął ducha – był zbyt nieruchawy. Miało się za chwilę okazać dlaczego. Bert dobrnął do niego i odwrócił w moją stronę. Facet miał wbity w krtań kawał patyka, całą szyję i brzuch skrwawiony. Wtem zauważyłem, że zza wyspy ostrożnie wysuwa się ciemna sylwetka z kuszą złożoną do strzału. Szybko wymierzyłem i poczęstowałem dowcipnisia ultradźwiękami. Reakcja była zupełnie nieoczekiwana: wstał, opuścił ręce, potem rąbnął się w tył i nieco w bok jak kłoda. Dobra, będzie tu leżał z pół dnia, aż oprzytomnieje. Albo nakarmi głodne zwierzątko – sobą. Bertes machnął mi ręką w podziękowaniu. Usłyszałem w słuchawkach jego głos:

– Pewnie chciał się schować na wyspie, tylko nie przypadł do gustu tutejszym.

Podziwiałem odpowiednika, gdy pozornie bez wysiłku zarzucił sobie dziada na ramiona i zaczął brnąć do mnie. W pewnej chwili podłoże prawie niedostrzegalnie drgnęło. Po kilku sekundach rozległ się ogłuszający ryk i wyspa wyrzucona w górę wraz z otaczającym błotem rozprysnęła się na wszystkie strony. Nim zapaprało mi przyłbicę, zobaczyłem Bertesa ze starcem, jak do góry nogami wylatują w powietrze. Lina bezpieczeństwa mocno szarpnęła moim pasem. Ryk nasilał się. Poczułem falę gorąca -przez kombinezon! Nie czekając na automat przetarłem rękawem przyłbicę i ujrzałem, iż z dziury po wyspie buchają płomienie. Wylewały się z niej olbrzymie języki ognia i rozlewały dokoła żywym żarem. Nieruchomy Bertes zapadając się w bagno wciągał i mnie w to piekło. Zapierałem się, jak mogłem, lecz nogi ślizgały się i zanurzały w topielisko. Włączyłem alarm w wyposażeniu kumpla, jednak jego automatyka milczała. Płomienie były już blisko. Woda gotowała się i parowała. Bagno zmieniło się w olbrzymi kocioł pełen wrzątku. Mimo, iż widziałem zbliżający się koniec, chciałem ratować Bertesa, próbując łapać jakieś korzenie. W tym momencie automat odstrzelił moją część liny ratunkowej. Ogarnęła mnie panika. Wtem poczułem na plecach twarde dotknięcie i odwróciłem głowę. W oparach mgły, na skrawku twardego gruntu stała jakaś postać i podawała mi potężny konar. Chwyciłem i podciągnąłem się. Kombinezon chyba zupełnie przestał mnie chronić, bo woda parzyła nie do wytrzymania. Stopniowo wyciągałem się i wreszcie stanąłem na twardym podłożu. Puściłem drąg, i spojrzałem na mego wybawcę uważniej. Był to kudłaty człowiek, jak i tamten, którego poraziłem. Przez moment stał niczym martwy, aż wydał przejmujący krzyk i używając drąga jako maczugi, zamachnął się na mnie. Odruchowo wykonałem unik wyciągając światłę, wszakże pałka dzikusa otarła się o mój hełm i rozhermetyzowała przyłbicę; ręka dzikusa, jeszcze drgająca, upadła obok zbawiennego drąga, odcięta światłą tuż za nadgarstkiem. Kudłacz zakręcił się i jak oszalały pobiegł gdzieś w Busz. Czułem smród i zaczynało mi się kręcić w głowie. Chowając broń zerknąłem w stronę jamy. W jej pobliżu pojawiły się potężne bąble błota i pękając zalewały okolicę cuchnącą mazią. Z jamy wydobywało się coś olbrzymiego i błyszczącego, a spadające na to kawałki lawy wywoływały w tym skurcze. Wydało mi się, że w pobliżu mnie wypłynęła oderwana od reszty przyłbica hełmu Oddziałów. Coś szarpnęło mnie za ramię i kątem oka spostrzegłem postać dowódcy oraz innych z grupy. Dowódca zapiął swoją linę bezpieczeństwa na moim pasie i gwałtownie pociągnął mnie za sobą, podczas gdy jacyś dwaj wzięli mnie pod ręce. Dziwnie szybko znaleźliśmy się przy złamanym drzewie i koledzy posadzili mnie na nim. Ktoś zdjął mi hełm majdrując przy nim zawzięcie. Dowódca przetarł mi dłonią twarz i rzekł:

– Spokojnie, chłopcze, weź się w garść. Musimy stąd uciekać.

Potem dodał:

– Jest do niczego. Wyjmijcie jego lotkę, zaryzykujemy.

Zobaczyłem pobladłego młodzika jak sprawnie rozłożył i zawiesił na wysokości moich kolan lotkę, i spróbowałem przypomnieć sobie, kiedy on ją wyjął z mego plecaka. Czyjeś ręce pomogły mi położyć się na niej, mocno zacisnęły się na mnie chwytaki lotki. Położyłem głowę, a korony drzew i czegoś tam jeszcze zaczęły przesuwać się do tyłu – pewnie ruszyliśmy.

Przerażająca kosmata głowa pochyliła się nade mną. Tubylec przyjrzał mi się dokładnie, a potem jedną ręką zarzucił mnie sobie na plecy, drugą wyjął olbrzymi nóż i zaczął przedzierać się przez gąszcz. Co pewien czas przystawał i z niepokojem nasłuchiwał. Co on mógł słyszeć w tym ryku, od którego drżał chyba cały Dziki Busz? Niespodziewanie zrzucił mnie na ziemię i pokazując mi kikut prawej ręki zaczął nim głaskać moją twarz. Rana była ciepła i wilgotna, więc zacząłem krzyczeć.

Otworzyłem oczy, mówiąc:

– Przecież światła nigdy nie zostawia krwawych ran.

Dowódca z wyrazem zatroskania w oczach przecierał mi twarz tamponem orzeźwiającym. Oprzytomniałem zupełnie. Usiadłem na nisko zawieszonej lotce jak na ławce. Spuszczając nogi zauważyłem, że ziemia jest jeszcze podmokła, lecz błota już nie ma. Dowódca usiadł obok mnie, lotka drgnęła – potężny gość. Pozostali oddalili się od nas.

– Synu – powiedział – nie bój się, zaufaj – i przygarnął mnie zamaszyście do swojej potężnej piersi, ciągnąc: – Nie wstydź się, mały, zostanie to między nami.

Zdziwiłem się, trochę zgłupiałem – trochę się wystraszyłem, aż nie wiadomo kiedy rozbeczałem i jak dzieciak wykrzyczałem mu i wyszlochałem w te potężne piersi wszystko od początku, od tej rozmowy z Bertesem o moim domrodzie dzieciństwa. Słuchał mnie, głaskał ojcowsko po głowie, w końcu zaczął coś mruczeć. To jego mruczenie jakoś przenikało mnie, jakby łachotało moją szyję i płuca, i z chwili na chwilę potęgowało się we mnie wrażenie ulgi wewnętrznej. Zapadłem w cudowny, uspokajający sen, będąc pewnym swego bezpieczeństwa, co dało mi wspaniałe rozluźnienie. Gdy się ocknąłem, chciało mi się żyć, działać, oddychać

pełną piersią. Wstałem i przeciągnąłem ciało. Dowódca stanął obok. Uśmiechnięty, zauważyłem ze zdziwieniem, że koledzy z grupy stoją jak stali, a wydawało mi się, że przespałem z dziesięć godzin.

– Twardziel z ciebie – powiedział dowódca. – Obudziłeś się po kilku minutach. Tylko gadałeś jak stara baba. – A potem twardo: – Formować szyk marszowy! Kutr zostaje moim odpowiednikiem. W drogę! A ty schowaj swoją lotkę – rozkazał mi, odwracając się plecami.

Ktoś podał mi mój hełm (już zreperowany). Zakładałem go, podążając za dowódcą, z którym łączyła mnie lina bezpieczeństwa. Zacząłem się zastanawiać jak najlepiej oddać ostatnią cześć Bertesowi. Ciekawe, czy był wierzący, a jeśli, to w co wierzył. Dziwne, że po Przelocie Komety został ledwie skrawek świata, a ludzie nie przestali szukać, w co by mogli wierzyć. Moja babka na przykład wierzyła w Przemyślenia Ubiegające (chyba tylko ona jedna wiedziała, w co naprawdę wierzy).

Wtem uderzyłem o coś hełmem.

– Obudź się wreszcie i nie trykaj łbem w moje plecy, baranie!

Dowódca odsunął mnie gniewnie i zaczął coś mierzyć i badać końcówką jego aparatury plecakowej, w miejscu skąd mnie odsunął.

– Są tam! – krzyknął obok mnie ten sam młodzik, który rozkładał moją lotkę. Spojrzeliśmy we wskazanym kierunku. W wiatrołomie widać było otaczające nas góry, a na wprost, na prawie już pozbawione normalnych roślin wzniesienie wspinały się wśród cieni oddzielonych od dawno zniszczonych w czasie Przelotu zarośli, cztery żółte sylwetki. Bez komendy zaczęliśmy biec. Zdawało mi się, że z wysiłku upadnę, gdy wreszcie dowódca kazał przygotować emitery ultradźwięków. Spojrzałem dalej przed siebie. Żółte postacie przed nami widać było wyraźnie. Dystans zmniejszał się szybko.

– Przyłożyć im – nowy rozkaz.

Zaczęliśmy chaotycznie prażyć do uciekinierów. Jeden zachwiał się, złapał za serce i zupełnie bezwładnie upadł twarzą w trawę. Drugi obejrzał się, krzyknął coś – pozostali zaczęli biec. W chwilę potem dwóch bezładnie upadło, a trzeci zataczając się po pijacku, wpadł w kępę zarośli. Dowódca ryknął jakimś przekleństwem i przyspieszył jeszcze; ja, jego odpowiednik, nie miałem wyboru: choć z wysiłku jęzor wisiał mi już na brodzie, musiałem nadążyć. Minęliśmy oszołomionych i leżących bez ruchu starców i pognaliśmy dalej. Tamten nie uciekł daleko. Zauważyliśmy go, a właściwie jego nogi, gdy ogarniał faceta Żywy Jęzor Mgły. W ułamku sekundy zniknął zupełnie. Dowódca gwałtownie wykręcił i łapiąc mnie za szyję zaczął wyrywać z powrotem z rozmachem parowozu. Dopadliśmy nieprzytomnych staruchów, przy których leżeli wyczerpani koledzy. Dowódca klapnął na trawie, ja upadłem koło niego niczym rzucona szmata. Poprzez łomot serca usłyszałem jego zasapany głos:

– Tym piątym już się pożywia Szarość Zewnętrzna. Czym prędzej rozstawcie parasol laserowy. Mgła wzniosła się w tych tam zaroślach – pokazał je ręką. – Wyroki odczytamy im jak oprzytomnieją. Bydlaki, będą cierpieli!

Przyjrzałem się twarzy dowódcy. Dookoła jego oczu dostrzegłem siateczkę zmarszczek. A to tak... Wyobraziłem go sobie, tego potężnego i energicznego mężczyznę, w sytuacji gdy nie może nic więcej, jak tylko pilnować wnuki i opowiadać im przeszłość. Więc to dlatego tak gorliwie troszczy się o Tradycję, że aż zapędził się do Pasa Pływów, aby stało się jej zadość. Może myślał, że zginie, tymczasem zginął jego ulubiony uczeń, Bertes. A on już wkrótce będzie miał swoje lata i otrzyma tytuł dziadka wraz z żółtą tuniką...

Dostrzegł mój uważny wzrok. Wstając odwrócił się i zaczął nas ostro popędzać. Sprawnie przygotowaliśmy się na nadchodzącą falę Mgły.

Siedzieliśmy pod parasolem bite cztery godziny. Starcy, poddani kilku zabiegom medycznym, powoli przychodzili do siebie. Patrzyliśmy ze strachem na Mgłę kłębiącą się wokół kopuły światła laserowego. Po prawdzie przypominała bardziej czarny, gęsty dym niż zwykłą mgłę. Co chwila błyskały wyładowania (między innymi elektryczne). Nasze włosy na głowach i rękach sterczały niczym kolce jeża. Starcy przytomniejąc, tulili się do siebie coraz bardziej. Wreszcie dowódca postanowił rozpocząć ceremonię kary. Odczytał znane wszystkim ogólnokrajowe rozporządzenie usankcjonowane przez Sejm Wielki. Wyrok był oczywisty – połamanie prawych nóg.

– No – powiedział dowódca podniecając się z chwili na chwilę. – Teraz będziecie siedzieć przy wnukach, gniotki.

Starcy patrzyli na niego okrągłymi oczami. Szef chwycił jednego za włosy, kazał nam go trzymać i opierając jego nogę piętą o ustawioną na wysokości pół uda lotkę zamierzył się celując swoją potężną pięścią w kolano wyjącego ze strachu starca. Lecz zamiast wykonać wyrok trwał bez ruchu z pięścią nad głową i szeroko rozwartymi oczami. Poszliśmy za jego wzrokiem. Kopuła parasola uwypukliła się do wnętrza i na moment zgasła, wpuszczając do środka czarne kłęby Mgły. Po chwili automat włączył filtr. W miarę jak wyrzucane spod kopuły kłęby mgły-dymu znikały, wynurzała się z nich większa od człowieka, potężna niczym niedźwiedź w ataku – ludzka postać. Widać było w niej kłębiącą się i kotłującą Mgłę. Postać ruszyła na dowódcę. Ten wyrwał światłę i ciął potworną zjawę od lewego barku do prawego biodra; zatrzymała się, podczas gdy dowódca krzyknął nienaturalnym głosem:

– Tu nic nie ma! To jakaś cholerna fatamorgana!

W tym momencie postać wyrzuciła z siebie ciemny, zwarty strumień, który prawie całkowicie przeleciał na wylot przez dowódcę, powoli podniósł do jego głowy i zatrzymał na twarzy, co dawało wrażenie, że dowódca wisi na ogromnym ruszcie zawieszony za głowę. Nie myśląc wiele odepchnąłem dowódcę. Wówczas postać wyciągnęła w kierunku mojej głowy ogromną łapę, która pewnie przeszła przez moje usta i szyję na wskroś, gdyż poczułem w tych miejscach mrowienie. Zacząłem na oślep ciąć światłą to ohydztwo; wycofało się w kierunku skąd przyszło. Długo po tym, jak zostaliśmy sami pod parasolem, nikt nie śmiał drgnąć w oczekiwaniu na nieokreślone niebezpieczeństwo. Zakręciło mi się w głowie, oparłem się o jednego ze skazanych. Jego przenikliwy krzyk jakby przebudził wszystkich z letargu: powyciągaliśmy lotki, aby jak najszybciej uciec z tego miejsca, które wtedy wydawało nam się bardziej niebezpieczne od ślizgu na lotkach poprzez Mgłę. Starców położyliśmy na płask na lotkach, a sami usiedliśmy na nich okrakiem jak na koniach. Chyba Janek wziął do swego plecaka rzutnik kopuły parasola, którego średnicę maksymalnie zwiększyliśmy, aby jakoś rozeznać drogę powrotną. Mimo ogromnego ryzyka zakończenia życia w Szarości Zewnętrznej, płynęliśmy lotkami tak szybko jak tylko to było możliwe aż do bazy. Przeżyliśmy, ale jak – nikt nie wie. Może uratował nas otwarty parasol, może był to cud albo zwykły fart. Jedyną anomalią było, iż wróciliśmy do bazy w godzinę po wyjściu z niej, podczas gdy na naszych czasomierzach upłynęło bite dziesięć. Sprzątaczka w bazie powiedziała, że my nie tylko byliśmy o włos od śmierci, ale że wróciliśmy zza grobu.

– To wszystko, panie wojewodo. To są właśnie powody, dla których nie wykonaliśmy wyroku i wróciliśmy wbrew zakazowi na lotkach, a nadto straciliśmy jednego opiekuna społecznego. Jestem gotów ponieść karę za swoje czyny, jeśli kolidują z Prawem – dumnie oświadczył Kuternoga wychodząc z autohipnozy i wstając z ogromnego fotela ustawionego przed największym jakie zdarzyło mu się widzieć w życiu biurkiem wojewody.

Wojewoda zamknął oczy i długo namyślał się, bezwiednie rozkręcając długopis. Wreszcie rzekł:

– Nie, ja sam nie wezmę odpowiedzialności za decyzję w tej sprawie. Zostanie ona rozpatrzona na specjalnym posiedzeniu sejmu wojewódzkiego. Do tego czasu nie oddalać się z kliniki. Przekażcie to także waszym kolegom z oddziału, bo pewnie czekają na korytarzu.

– Tak jest – odrzekł dziecięcym głosem i wyszedł z gabinetu dostojnika.

W korytarzu pozostali koledzy akurat rozmawiali z lekarzem. Gdy wyszedł, podeszli do niego.

– Oddał sprawę do sejmu – rzucił im. – Jak się czuje dowódca, panie doktorze?

– Proces powrotu w czasie już się chyba zatrzymał. Najgroźniejsze, że są różnice w szybkości cofania się czasu w poszczególnych częściach jego ciała. Ma twarz kilkunastoletniego żółtodzioba, ale i przyprószone siwizną skronie. Myślę jednak, iż wyjdzie z tego. A pana też zabieram do kliniki. Odpoczynek dobrze panu zrobi. Znam pana od lat i ostrzegam, że tym razem nie wywinie się pan od badań. Nawet z pałacu wojewody pan nie wyjdzie – poprosiłem kolegów z pogotowia o pomoc w doprowadzeniu pana do kliniki. No co, pójdzie pan dobrowolnie, czy mam ich wezwać?

– Pójdę, kurdesz, dobrowolnie. Za parę minut, doktorze, tylko kolegów pożegnam.

– Słuchajcie, wszystkie moje rzeczy wyślijcie do mnie, do domrodu. Dokładny adres macie na moich listach do matki. Wolałbym, żeby nas sądził ten wojewoda niż sejm. – I szeptem: – jest zbyt tchórzliwy, aby surowo ukarać, kurdesz.

– Tak, ten wojewoda najwyraźniej trzęsie portkami –

potwierdził Janusz, najmłodszy z oddziału. – On by nam nie dał ostrych wyroków, a może nawet symbolicznie. Ale jak i sejm odrzuci sprawę, to trafimy pod sąd zwykły, a to już nie będzie zabawne. Chodź, odprowadzimy cię do sterowca, bo piszczysz już całkiem jak moja młodsza siostra. Jeszcze trochę i zaczniesz gaworzyć.

Zaśmiali się, chociaż nikomu nie było do śmiechu, i poszli razem ku wyjściu.

Lekarz wyszedł z sali reanimacyjnej. Spojrzał na otaczających go ludzi i pokręcił głową.

– Czy chociaż coś powiedział? – zapytał dyrektor Instytutu Badań Plamy Europejskiej.

Dyrektor szybko wszedł w drzwi z dużą literą „R".

Pielęgniarz pochylił się do ucha lekarza i zaczął coś szeptać. Lekarz kiwnął głową i poszli do gabinetu ordynatora. Był pusty.

– Ordynator oddał panom do dyspozycji swój gabinet. Dziwnie łatwo zgodził się na tę rozmowę. Może dlatego, że pochodzi z Plamy?

Pielęgniarz nie doczekawszy się odpowiedzi od zamyślonego lekarza wyszedł. Po chwili ktoś zapukał do drzwi i nie czekając na odpowiedź wszedł. W drzwiach stanął wysoki mężczyzna w nienagannie skrojonym czarnym uniformie i skłonił głowę.

– Dzień dobry, doktorze. Nazywam się John Zebrisky. Jestem przewodniczącym Ogólnoświatowego Związku Emigrantów Plamy.

– Kurt Henkel, specjalista od chorób związanych z Plamą. Proszę wejść – odparł lekarz i wskazał miejsce w fotelu.

Gdy Zebrisky podszedł bliżej, doktor dostrzegł na jego lewym barku białego orła bez głowy. Skrzywił się z niesmakiem.

– To tylko symbol zagłady mojej ojczyzny w czasie Katastrofy. Dzięki tak dużej wyrazistości, nikt nie myli go z jakąkolwiek inną organizacją...

– No więc, co pan chce ode mnie się dowiedzieć? – przerwał mu lekarz.

– Dla nas każda informacja o Plamie jest cenna. Proszę opowiedzieć tyle, ile pan może, zwłaszcza interesowałyby nas wiadomości z rejonu, gdzie dawniej była moja ojczyzna.

Zanim lekarz cokolwiek wyrzekł, człowiek w uniformie włożył mu do kieszeni fartucha małe pudełko. Lekarz szybko wyjął je i zrobił gest jakby chciał je oddać, lecz pudełko otworzyło się, ukazując ogromny diament wielkości truskawki. Lekarz, zaskoczony, zawahał się. Korzystając z tego mężczyzna w czerni wyjął mu z rąk pudełeczko, starannie zamknął i znowu włożył do fartucha.

– Ordynator uznał, że nasza rozmowa to dobry pomysł, panie doktorze – powiedział i spojrzał jednoznacznie na kieszeń lekarza. – Zdaję sobie sprawę, iż niektóre rzeczy nie mogą być podawane do publicznej wiadomości, stąd moje starania...

Lekarz przebierał nerwowo palcami w kieszeni fartucha.

– Proszę zacząć opowiadanie od chwili, gdy pana wezwano ze Strefy Wspólnej.

Lekarz jakby przełamał się wewnętrznie, usiadł za biurkiem i zaczął mówić:

– Polecieliśmy helikopterem. Wylądowaliśmy tuż przy tym ich czołgu... to znaczy przy transporterze. Nurek mgielny siedział oparty plecami o koło tego metalowego monstrum. Z początku nic nie zauważyłem. Dopiero, gdy na mnie spojrzał, dostrzegłem żółte pręgi na jego opalonej twarzy. Poskarżył się na trudności z chodzeniem, więc wzięliśmy go na nosze. Z pozoru był spokojny, nic nie mówił, tylko patrzył z jakimś wyrzutem na nas. W helikopterze zaczął mówić, ale bez ładu. Wspominał o jakimś świecie we mgle, o ludziach w mroku i coś tam jeszcze. Dopiero w klinice, gdyśmy go podłączyli do aparatury zaczął mówić bardziej sensownie, lecz niedługo to trwało, bo szybko się rozpadł.

– Proszę powiedzieć więcej o jego wyprawie.

– Kiedy Mgła zaczęła się cofać, wyjechał transporterem wzdłuż Wełtawy przez Czeskie Budziejowice kierując się na Pragę. Okazało się prawdą, że cała Praga okryta jest Burchlem Mgły, który się nie cofa, lecz tylko periodycznie kurczy, pulsuje. Wtedy skręcił na wschód, na Pardubice i dojechał aż do Gór Orlickich.

– To przecież sensacja! Nikt jeszcze tak daleko nie dotarł!

– Mam mówić dalej?

– Bardzo przepraszam, panie doktorze.

– Zjeżdżając z jakiejś tam góry, zobaczył dziwne zjawisko. To był mały burchel mgielny o średnicy kilku metrów. Postanowił go zbadać. Wyszedł z transportera i wlazł w ten burchel. Tu jego opowiadanie jest mętne, bezsensowne.

– Ale proszę mówić, to może być ciekawe.

– Mówił, że ten burchel „nie chciał go wpuścić" do wewnątrz. Im bardziej na niego napierał, tym bardziej miał wrażenie, że idzie pod silny wiatr. Gdy mu się w końcu udało wejść, zaczął fosforyzować w ciemnościach burchla. Zjawisko to dość szybko minęło i gdy otoczyły go opary czarnej, gęstej mgły, zobaczył w nich jakieś ciemne cienie o ludzkich kształtach zamarłe w intrygujących pozach. Chciał podejść, przyjrzeć się, wtedy jedna z tych postaci poruszyła się, błyskawicznie wyciągnęła coś na kształt szabli i szybciej niż błyskawica przecięła go tym przez lewy bark aż do prawego biodra. Nic się nie stało, z wyjątkiem, że poczuł mrowienie w miejscu „cięcia" tą szablą z cienia. Chciał przyświecić sobie latarką, lecz jej promień przelatywał przez owe cienie na wylot, oświetlając je tylko w niewielkim stopniu. Wówczas inna postać zaczęła go ciąć też jakąś niby-szablą. I znowu odczuwał mrowienie w miejscach tych rzekomych cięć. Wreszcie nie wytrzymał nerwowo, w czym pomogły mu stare bujdy, że w Plamie żyją duchy zmarłych w czasie Katastrofy ludzi. Przeraził się „duchów" i zwiał do transportera, którym wrócił do bazy. Faktycznie, był chyba w szoku, gdyż nie mógł sobie przypomnieć drogi powrotnej. Być może uderzył w coś głową w czasie tej karkołomnej jazdy – w końcu jechał z szybkością około dwustu kilometrów na godzinę. Wtedy nas wezwano. Resztę pan zna.

– A czy jakoś opisywał tamto miejsce, lub inne okolice, przez które jechał?

– Upierał się, że widział cienie drzew, krzewów, zabudowań, i oczywiście, wszystko to omijał zgodnie z niepisanym prawem nurków mgielnych. Podobno, im dalej się posuwał, tym więcej tego było, zwłaszcza w pobliżu Gór Orlickich. Mówił, że niektóre rośliny były jakby utworzone z cienia, lecz z daleka miał wrażenie, że są żywe. Takie tam brednie, proszę pana.

– No tak... A jaka była przyczyna zgonu?

– Jak zwykle – niezgodność czasowa. Te smugi na jego ciele to były gwałtownie starzejące się pasy komórek. Tu, w klinice, jego ciało dosłownie rozpadło się na kawałki. Szkoda, że nie wolno tego oglądać osobom postronnym. Niezwykły widok!

– A proszę mi powiedzieć, czy widział jakieś ślady po państwach, które istniały dawniej na terenach objętych obecnie Plamą?

– Dojechał tylko do północnych krańców byłej Czechosłowacji. Nic szczególnego nie widział z wyjątkiem tych cieni. Jak pan zapewne wie, jest tam teraz kamiennożwirowa pustynia, pokryta pyłem.

– Był pan lekarzem większości wypraw nurków mgielnych do środka Plamy. Czy może pan coś o nich wspomnieć?

– Znam tylko wyprawy na tereny dawnej Czechosłowacji i NRD. Zaledwie raz byłem lekarzem grupy ochotników próbujących badać tereny dawnej Polski. Po trzech latach od tej nieszczęsnej próby, z kości śmiałków został taki sam pył jak ten, który pokrywa najpewniej cały obszar pod Plamą.

– Jak oni chcieli dopiąć celu?

– Spuścili się w gondoli przymocowanej do liny helikoptera sił zbrojnych. Już po chwili przestali dawać znaki życia. Żołnierze szybko wycofali się, lecz gdy wylądowali, z nurków pozostały ledwie szkielety obciągnięte sparciałą skórą. To cud, że gondola nie rozpadła się w drodze powrotnej – była w takim samym stanie jak i jej pasażerowie. Znałem ich osobiście. Trzech wspaniałych ludzi. Szkoda.

Doktor Henkel zamyślił się, potem powiedział:

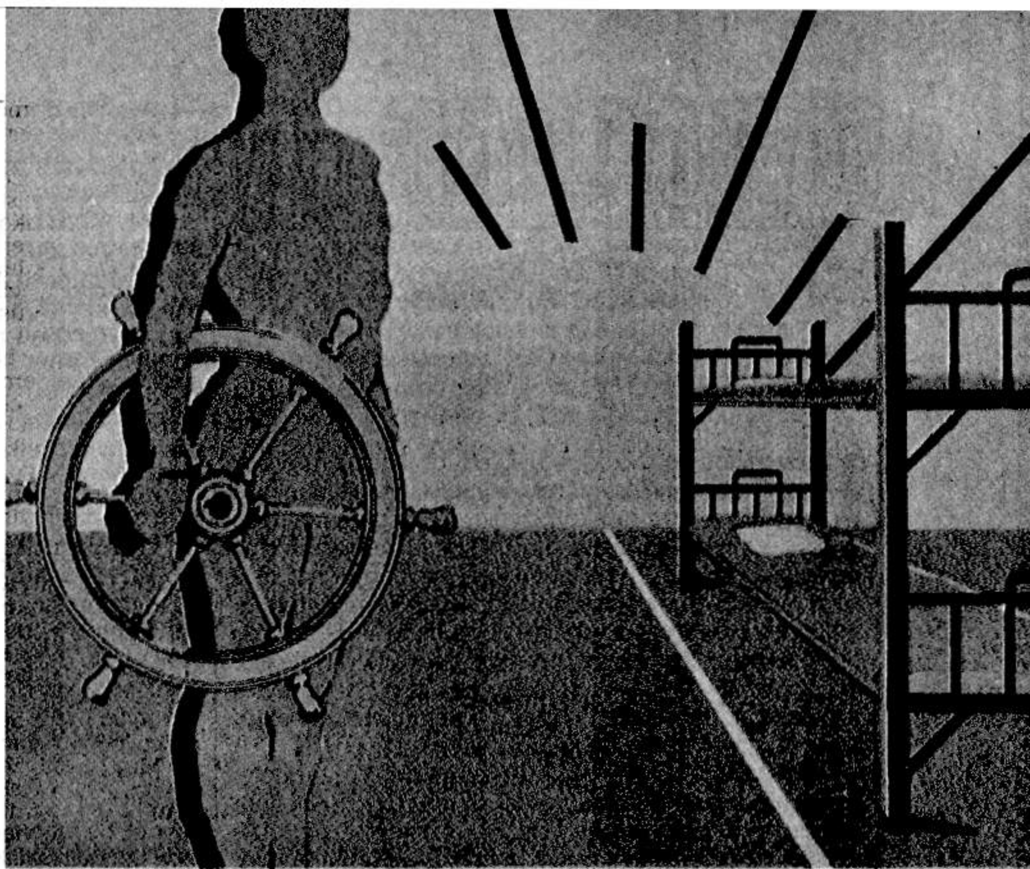
– Proszę mi wybaczyć, panie Zebrisky, ale nie mam ochoty na kontynuowanie rozmowy.

– Tak, myślę, że rozumiem pana. Stracił pan przyjaciół; ja straciłem ojczyznę moich przodków. Dziękuję panu... i przepraszam.

John Zebrisky cicho wstał i wyszedł z gabinetu. Opuszczając klinikę, snuł nieuporządkowane myśli o Katastrofie wywołanej rozpadnięciem się komety Halleya i uderzeniem jednej jej połowy w Europę Środkową. Zastanawiał się, czy te wszystkie instytuty i kliniki budowane we Wspólnej Strefie, rozwiążą kiedykolwiek zagadkę Plamy, wokół której wyrastają jak grzyby po deszczu. A co do nurków mgielnych to jakoś ich nie żałował, nawet tego ostatniego, mimo iż był Polakiem z pochodzenia. Sam chciał tam wleźć, w tę Plamę. Umarł – to jego sprawa. On, John Zebrisky, zajmując stanowisko przewodniczącego Ogólnoświatowego Związku Emigrantów Plamy robił doskonały interes reklamując swoją firmę sztucznych diamentów, wykorzystując do tego swoje własne, prywatne rozwiązanie zagadki istnienia Plamy Europejskiej.

Pruszków, grudzień 1985

Andrzej Podgórski



Andrzej Brzezicki

ADAPTACJA

Dwa lata temu opuścił nas Janusz A. Zajdel (1938–1985). Przedwczesna śmierć uderzyła w autora zaledwie 47-letniego, będącego u szczytu powodzenia i możliwości twórczych. Wydawał Janusz wówczas książkę za książką, wygrywał czytelnicze plebiscyty, otrzymywał nagrody (w tym także naszą), był tłumaczony na wiele języków.

Ukończył fizykę na Uniwersytecie Warszawskim i przez wiele lat pracował w Centralnym Laboratorium Ochrony Radiologicznej. Jako autor fantastyki debiutował na łamach „Młodego Technika" w 1961 roku opowiadaniem „Tau Wieloryba". Jego twórczość miała na początku charakter klasyczny, choć i wówczas wyróżniał się Janusz wśród innych autorów wartką akcją, dużą plastycznością narracji i narastającą z roku na rok drapieżnością wizerunku psychologicznego postaci. Można to obserwować czytając jego zbiorki „Jad mantezji" (1965), „Przejście przez lustro" (1975), „Iluzyt" (1976), „Feniks" (1981).

Dopiero jednak serią powieści tzw. socjologicznych czy politycznych – „Cylinder Van Troffa" (1980), „Limes inferior" (1982), „Wyjście z cienia" (1983), „Cała prawda o planecie Ksi" (1983) i „Paradyzja" (1984) – zdobył Zajdel wysoką pozycję w polskiej fantastyce i duże uznanie publiczności. Napędem jego pisarstwa były w ostatnim okresie emocje polityczne, a specjalnością – obrona jednostek przed głupotą, uzurpacją, podłością nieludzkich gwiezdnych systemów. Jego największym literackim atutem okazała się umiejętność budowania alegorii i zarazem przekonywających modeli społecznych, które działały jak żywe. Ta twórczość rozwijała się, Janusz A. Zajdel urozmaicał swój warsztat, odkrywał metafizykę, miał coraz ciekawsze pomysły; uskrzydlony widomymi oznakami powodzenia i akceptacji czytelników planował nowe powieści. Wszystko tragicznie i nieodwołalnie skończyło się 19 lipca 1985 roku.

Konspekty trzech powieści Janusza, które niestety już nie powstaną, prezentowaliśmy w „Fantastyce" z lutego 1986 roku. Dziś, w drugą rocznicę śmierci Autora przedstawiamy nigdzie dotąd nie publikowane, wydobyte z maszynopisów, opowiadanie „Adaptacja" z 1979 roku. Uważny czytelnik dopatrzy się być może podobieństw tego tekstu do najbardziej chyba pod względem konstrukcyjnym precyzyjnej powieści w dorobku Janusza – wręcz zegarkowej „Paradyzji".

Jest parę takich krótkich tekstów Zajdla, nie znanych bądź znanych wąskiemu gronu, które wyglądają na przymiarkę do którejś z powieści bądź na odprysk od już wykonanej powieściowej roboty. Jest sporo opowiadań znanych wyłącznie z wersji prasowej, nie drukowanych nigdy w książkach. Teksty te, wraz z „Adaptacją", konspektami powieści, a także z wyznaniem Janusza na własny temat wejdą do przygotowywanego przez wydawnictwa „Alfa" tomiku Janusza A. Zajdla „List pożegnalny". „Książka i Wiedza" – współpracująca z naszą redakcją – rozpoczyna swą nową serię (Biblioteka „Fantastyki") zbiorem opowiadań „Dokąd jedzie ten tramwaj", ukazującym socjologiczny aspekt pisarstwa Zajdla. Nad obszernym zbiorem opowiadań Janusza podjęło prace Wydawnictwo Poznańskie, a Wydawnictwo Literackie przygotowuje wydanie zebrane powieści Zajdla. Wznowienie w najbliższym czasie powieści „Limes inferior" zapowiedziały „Iskry"... Zanosi się więc na mały festiwal twórczości Zajdla, co na pewno ucieszy zwolenników Jego twórczości i przysporzy Mu nowych, ale jednocześnie postawi nas przed koniecznością odpowiedzenia sobie na smutne pytanie: o ile ciekawiej, mądrzej, zadziorniej i oryginalniej wyglądałaby dziś polska SF, gdyby Janusz był wśród nas, spierał się z nami i wypuszczał na świat Swoje n o w e książki?

(mp)

ADAPTACJA

Janusz A. Zajdel

Przymglonym jeszcze wzrokiem próbowałem rozejrzeć się wokoło, lecz oświetlenie było słabiutkie i wydobywało z mroku jedynie zarysy przedmiotów. Widziałem jakieś ażurowe konstrukcje po prawej stronie mojego legowiska. Przeciągnąłem się, wydobywając ręce spod szorstkiego, ciemnego koca. W stawach zatrzeszczało, mięśnie były sztywne, umysł opornie wracał do przytomności. Spróbowałem usiąść na posłaniu, ale głowa zderzyła się z twardą dość, lecz lekko ustępującą przeszkodą. Pomacałem ją dłonią i wyczułem zwisającą nade mną wybrzuszoną ku dołowi siatkę.

Wysunąłem głowę poza brzeg legowiska. Teraz dopiero dotarło do mojej świadomości, że leżę na drugiej kondygnacji trzypiętrowej pryczy z metalowych rurek. Po drugiej stronie małego pokoiku stały takie same legowiska, oddzielone od mojego wąskim przejściem, nad którym ledwo jarzyła się sufitowa lampa.

Poczułem, że do przegubu lewej ręki przywiązaną mam cienką tasiemkę. Na jej końcu zwisał plastykowy woreczek. Znajdowało się w nim kilka tubek koncentratu, jakieś tabletki w przezroczystym opakowaniu i kostka mydła.

Opuściłem nogi z legowiska i ostrożnie zsunąłem się na podłogę. Była chłodna, gładka i niemiła dla bosych stóp. Chwiejnie przebyłem odległość dzielącą mnie od prostokąta drzwi. Były zamknięte od zewnątrz. Na ich wewnętrznej powierzchni nie było ani śladu klamki lub innego urządzenia otwierającego. Brzegi framugi przylegały ściśle do krawędzi odrzwi za pośrednictwem gumowych uszczelnień, jak w kabinie ciśnieniowej.

Spojrzałem za siebie wzdłuż przejścia między pryczami. U szczytu ściany ciemniała pozioma, wąska wnęka okna z połyskującą szybą, lecz zasłonięta od zewnątrz okiennicą. Jeden z kątów pokoju, przy drzwiach, odgrodzony był przepierzeniem nie sięgającym sufitu, z wejściem przesłoniętym kotarą.

Za przepierzeniem była kabina sanitarna. Brudna umywalka, kran z leniwie sączącą się zimną i żółtawą wodą, opatrzony tabliczką głoszącą, iż woda nadaje się do picia. Na ścianie, przerzucony przez dwie rolki jak taśma transportera, biegł od sufitu do podłogi jeden długi ręcznik, podzielony poprzecznymi liniami na pola ponumerowane od jednego do dwunastu...

Przyjrzałem się swemu odzieniu. Był to rodzaj luźnej piżamy z grubej, kraciastej flaneli w nieokreślonych, brudnych barwach.

Opłukałem twarz. Woda cuchnęła nieprzyjemnie, powietrze w pokoju też miało jakiś niemiły, obcy zapach. Gdy wracałem na pryczę, zauważyłem, że światło rozjaśnia się powoli. Policzyłem współtowarzyszy. Było nas razem dwunastu. Niektórzy już poruszali się, otwierali oczy i podobnie jak ja przed chwilą usiłowali rozpoznać otoczenie.

– Chyba jesteśmy u celu, chłopcy! – powiedziałem, usiłując nadać głosowi beztroski ton, lecz gardło miałem nieco ściśnięte i zabrzmiało to raczej niezbyt wesoło.

Ktoś następny próbował, jak ja, otworzyć drzwi. Inni złazili z legowisk, liczyli tuby koncentratów.

– To wygląda na coś w rodzaju pudła – powiedział Toni, skrobiąc się w czubek głowy.

– Na tych koncentratach można przeżyć parę dni. Jest zatem nadzieja, że długo tu nie posiedzimy. To zapewne tylko wstępny etap adaptacji – zauważył jakiś optymista z górnej kondygnacji pryczy.

– Chłodno tutaj – stęknął ktoś inny. – A poza tym, nie widzę naszych osobistych bagaży.

– Na wszystko przyjdzie pora – pocieszał optymista. – Jeszcze nie zacząłeś żyć na dobre, a już masz same zmartwienia! Na razie trzeba się cieszyć, że wszyscy jesteśmy tutaj żywi i zdrowi.

– To mieliśmy zagwarantowane! – zaoponował malkontent. – Mówili, że nie ma żadnego ryzyka.

– Więc tym bardziej powinniśmy być dobrej myśli: wszystko idzie planowo...

W naszej klitce było jednak zdecydowanie chłodno, a jej małe rozmiary nie pozwalały rozgrzewać się w ruchu więcej niż dwom osobom na raz. Do tego jeszcze podłoga nieprzyjemnie chłodziła bose stopy, bo żadnego obuwia nam nie dostarczono. Dlatego też większość czasu spędzaliśmy szczękając zębami pod cienkimi kocami na pryczach. A czasu było pod dostatkiem, bo przez następne trzy doby, znaczone kolejnymi przyciemnieniami i rozjaśnieniami lampy, nikt się nami nie interesował. Zapasy koncentratów spożywczych zaczynały się wyczerpywać, nasza cierpliwość także. Co chwilę wybuchały kłótnie i dyskusje, niektórzy z nas gotowi już byli próbować siłą wydostać się z tego zamknięcia.

– Chcą nas rozmiękczyć! – mówił Toni, klnąc obficie z pryczy nade mną. – Pewnie zdarzają się kłopoty ze zbyt nerwowymi przybyszami, różny element musi się tu trafiać, więc na wszelki wypadek na początku pakują wszystkich ostrzegawczo do karceru.

– Bzdura! – oponował nasz etatowy optymista. – W początkowym okresie zawsze bywa rozgardiasz i bałagan. Pamiętacie chyba, jak było na kursie przygotowawczym? Przez kilka dni wszyscy łazili jak zbłąkane barany, zanim się coś na dobre zaczęło.

Czwartego dnia nie było już nic do jedzenia, ale za to sytuacja, przynajmniej w pewnym stopniu, się wyjaśniła. Wkrótce po porannym rozbłysku światła odezwał się donośny głos. Dobiegał on z kratki w suficie, którą dotychczas braliśmy za wywietrznik. Rozpoznaliśmy głos kierownika naszego transportu, który powitał nas wylewnie, oznajmił, że wszystko przebiega zgodnie z planem i obecnie, po osiągnięciu celu podróży, przebywamy w izolowanym pomieszczeniu dla odbycia krótkiej kwarantanny. Przeprosił przy tym za dotychczasowy brak informacji, wynikły z nawału problemów stojących przed kierownictwem i miejscową administracją w tych pierwszych trudnych dniach.

Kierownik był dla nas osobą godną zaufania, nastroje w naszej grupie poprawiły się i wszyscy z zadowoleniem przyjęliśmy zapewnienie, że od tego dnia będziemy mogli swobodnie opuszczać naszą komórkę. Obiecano nam ponadto, że będziemy sukcesywnie i wyczerpująco informowani o wszystkim, co nas dotyczy. Trzeba przyznać, że zapowiedź tę realizowano później dość konsekwentnie, przynajmniej w porównaniu z licznymi innymi obietnicami.

Mimo solennych zapewnień, przez całą kolejną dobę siedzieliśmy nadal zamknięci i co gorsza, głodni. Kierownictwo jak gdyby zapomniało, że przydzielone nam zapasy dawno się skończyły.

Drzwi otworzyły się dopiero następnego dnia. Tłocząc się i przepychając, wypadliśmy hurmem z kabiny, zderzając się z podobną grupą wybiegającą z drzwi naprzeciw. W prawo i w lewo od nas, wzdłuż długiego korytarza biegnącego przez środek długiego budynku, działo się dokładnie to samo: grupki ludzi odzianych w kraciaste, sprane piżamy wylegały ze swych klitek wypełniając korytarz, rozglądały się przez chwilę, by

następnie ruszyć ławą w stronę wielkich, dwuskrzydłowych odrzwi widniejących u jednego z końców korytarza. Tych, którzy pierwsi dopadli wrót, spotkał jednakże zawód: były one szczelnie zamknięte – podobnie jak dotychczas drzwi poszczególnych pomieszczeń.

Parę setek bosych mężczyzn o nieogolonych twarzach zamarło na kilka sekund, tłum zafalował niezdecydowanie i o wiele już wolniej ruszył w przeciwną stronę, gdzie w końcu korytarza widniały mniejsze drzwi.

Znajdowała się za nimi obszerna sala z ławami i stołami, na których stały rzędy plastykowych misek. W głębi, w dużym kotle parowała gęsta zupa. Pachniała dość apetycznie, więc głodny tłum zamruczał z zadowoleniem, a po chwili, z miskami w dłoniach stał już karnie w długiej kolejce do kotła, odkładając na potem demonstrowanie niezadowolenia z dziwnych manewrów kierownictwa.

Gdy wszyscy zasiedli już do jedzenia ozwał się głośnik w suficie jadalni. Kierownik oznajmił nam, że właśnie zakończył się etap kwarantanny i odtąd możemy swobodnie opuszczać nasze pokoje, kontaktować się wzajemnie i przechadzać wzdłuż korytarza. Jednakże – jak powiedział – czeka nas jeszcze pewien okres przebywania we wnętrzu budynku dla zakończenia etapu adaptacji naszych organizmów do zmienionych warunków środowiska. Być może – mówił – nie zauważyliśmy tego dotychczas, lecz już od paru dni stopniowym zmianom ulega skład atmosfery i ciśnienie, obniża się temperatura i skraca się doba. Nagłe wprowadzenie tak znacznych modyfikacji środowiska mogłoby spowodować niepożądane reakcje w mniej odpornych organizmach. Należy zatem, we własnym interesie cierpliwie powstrzymać się jeszcze przez kilka dni przed opuszczeniem baraku adaptacyjnego. Specjalnie spreparowane pożywienie, uwzględniające potrzeby naszych organizmów i zawierające coraz to większą domieszkę miejscowych produktów spożywczych, będzie nam dostarczane przez specjalny rurociąg wprost do stołówki.

Uzyskana swoboda poruszania się znaczyła niewiele wobec naszych oczekiwań, lecz w porównaniu ze stanem poprzednim, to już było coś... Toni wprawdzie znowu klął i wyrzekał, porównując rzeczywistość z treścią prospektów, które nas tu zwabiły, ale większość współtowarzyszy uważała, że nie jest jeszcze najgorzej i że wszystko wymaga czasu, nim się unormuje. Rozumieliśmy trudności, jakie muszą towarzyszyć pionierskim przedsięwzięciom, a jak dotychczas nie było wyraźnych powodów, by wątpić w dobre intencje kierownictwa lub posądzać je o opieszałość czy zaniedbania w kwestii naszych interesów.

Toni uważał jednak, iż z tym pionierstwem to spora przesada: przed nami przybyło tu wiele podobnych transportów i cały proces adaptacyjno-osiedleńczy powinien przebiegać z dawna utartym, naukowo opracowanym i praktycznie wypróbowanym torem. Być może miał rację, lecz któż wie, czy nie tak właśnie, jak my, zaczynali tu wszyscy przed nami? Może przejście przez uciążliwe fazy początkowe miało dodać nam hartu dla dalszej działalności?

Okna były nadal zasłonięte, co wobec wyjaśnień dotyczących różnicy długości prawdziwej doby i naszej „sztucznej", wewnętrznej, teraz już nas nie dziwiło. Jedzenie dało się polubić, do niskiej temperatury też przywykliśmy, zażywając nieco więcej ruchu w przestronnym korytarzu.

Wieczny malkontent Toni, z właściwym sobie sarkazmem zauważył wkrótce, iż racje żywnościowe maleją z dnia na dzień. Wysnuł stąd złośliwą konkluzję, że kierownictwo zamierza nas, w ramach adaptacji do miejscowych warunków, przyzwyczaić do mniejszego zapotrzebowania na żarcie. Uświadomiłem mu wszakże, iż jest idiotą: przecież wraz ze skracaniem doby maleją też przerwy między posiłkami, a zarazem i racje żywnościowe powinny proporcjonalnie maleć. Toni nie przyjął mojej argumentacji twierdząc, iż porcje żarcia maleją znacznie szybciej niż doba, ale było to gołosłowne pomówienie, nie dające się w dodatku udowodnić przy kompletnym braku zegarków.

Zegarki razem z innymi prywatnymi rzeczami były w naszych osobistych bagażach, których do tej pory nam nie oddano. Kierownik obiecał solennie, że dostaniemy wszystko przed otwarciem baraku, lecz w terminie, kiedy miało to nastąpić nie otwarto wrót wyjściowych, a jedynie obiecano odsłonić okna. Wyjaśniono przy tym, że opóźnienie naszego wyjścia z zamknięcia wynika z obiektywnych trudności technicznych, jakie napotyka ekipa kierownicza. O charakterze tych trudności nie powiedziano ani słowa, a my nie mogliśmy nawet o nie spytać, ponieważ w baraku – tak przynajmniej sądziliśmy wówczas – nie było żadnego środka łączności z kierownictwem poza głośnikami, działającymi wszakże tylko w jedną stronę...

Nieco później mieliśmy przekonać się, że nie jest aż tak źle. Kierownictwo doskonale znało nękające nas problemy, nasze potrzeby, pytania i wątpliwości padające w rozmowach między nami. Najczęściej powtarzające się pytania znajdowały odzwierciedlenie w informacjach i pogadankach wygłaszanych przez głośniki. Kazało nam to przypuszczać, że barak wyposażony jest w sieć ukrytych, lecz wyjątkowo czułych mikrofonów, poprzez które kierownictwo troskliwie i nieustannie wsłuchuje się w nasze głosy. Nie udawało nam się wprawdzie zlokalizować tych mikrofonów, ale pośrednim potwierdzeniem ich istnienia były pojedyncze przypadki znikania niektórych spośród nas, zmęczonych psychicznie przedłużającą się prowizorką, zbyt głośno i nerwowo wyrażających swoje zniecierpliwienie.

Głośniki wyjaśniały potem, iż ten czy ów został przeniesiony na specjalny oddział adaptacyjny z powodu wykrycia u niego nieprawidłowości działania systemu nerwowego.

Toni – jak to zwykle on – utrzymywał, że oprócz mikrofonów w każdym pomieszczeniu baraku znajdują się także ukryte kamery wizyjne, lecz nie potrafił wskazać bezpośrednich dowodów na prawdziwość tych insynuacji.

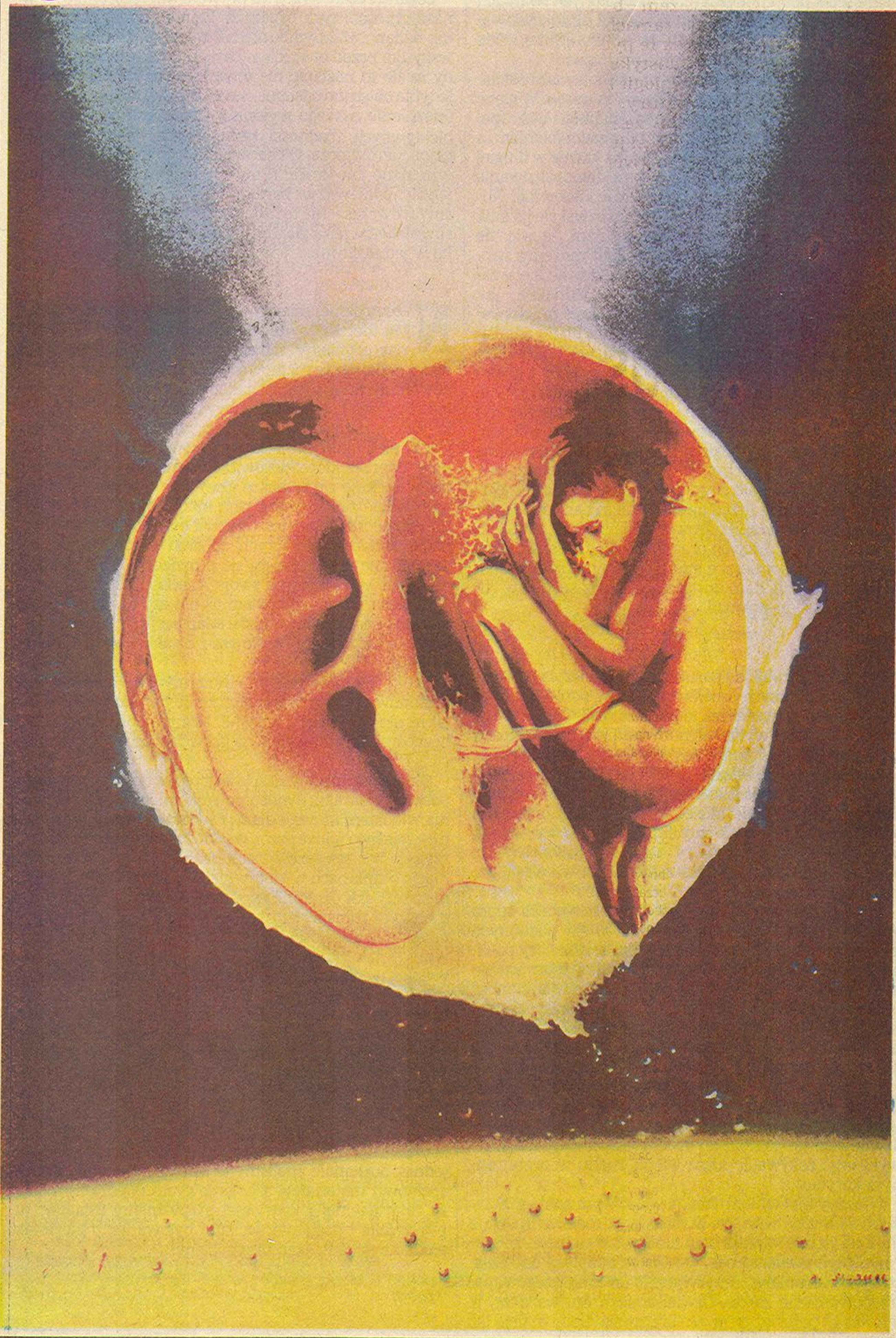
Okna odsłonięto wreszcie w trzecim tygodniu naszego pobytu w baraku. Wobec powszechnego zainteresowania widokiem nowego dla nas świata – którego notabene niewiele było widać przez wąskie i mocno przybrudzone szyby – bez większego zainteresowania przeszła informacja o zmianach w kierownictwie naszej grupy. Nowy, nieznany głos oznajmił nam, że ekipa szefów przybyłych z naszym transportem została usunięta ze stanowisk z powodu opieszałości i nieudolności w działaniu. Z ich to winy – jak powiedziano – nastąpiła nieuzasadniona zwłoka w realizacji harmonogramu naszej adaptacji i przejścia do kolejnego etapu procesu osiedleńczego. Nowe kierownictwo – jak zapewniano – wywodzi się z ludzi doświadczonych, z dawna tutaj osiadłych i doskonale znających miejscowe warunki. Będzie ono w stanie szybko nadrobić powstałe opóźnienia i stworzyć pełnię warunków realizacji zamierzonych celów.

Komunikat nie precyzował wprawdzie jasno owych celów ani też terminów ich realizacji, apelując jedynie o zaufanie dla nowych szefów i odrobinę cierpliwości. My jednak doskonale znaliśmy te cele i zamierzenia z prospektów i materiałów szkoleniowych. Wiedzieliśmy, że za cenę trudnej i wytrwałej pracy mamy osiągnąć tu przyzwoite i dostatnie warunki bytowania, o które tak trudno było tam, skąd przybyliśmy.

(1979)

Janusz A. Zajdel

Siudmak III



Czy literatura science fiction jest ucieczką od rzeczywistości? Czy twórca SF może w sposób bezpieczny i wolny od politycznego samookreślenia wysnuwać diagnozy będące w istocie alegorią współczesności? Mówiąc brutalniej: czy SF piszą ludzie nie mający odwagi spojrzeć rzeczywistości w oczy, uciekający w wyimaginowane światy, lecz zarazem – bojąc się pomówienia o moralną dezercję – konstruujący w ramach swoich światów wizje o charakterze parabolicznym? Na te pytania próbuje odpowiadać Stanisław Bereś w szkicu „Fantastyka: azyl czy kostium?". Autor jest adiunktem w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego, historykiem literatury, krytykiem, poetą. Laureat nagrody literackiej „Fantastyki" za rok 1984.
Naszym Czytelnikom znany jest już tekst Stanisława Beresia „Powieść w tabletkach" (esej o twórczości Stanisława Lema), zamieszczony w numerze 11/86.

Fantastyka: azyl czy kostium?

Stanisław Bereś

Sytuacja pisarza, umieszczającego akcję swoich utworów w rekonstruowanej pracowicie, bliższej lub odleglejszej przeszłości bądź w imaginowanej z większym lub mniejszym talentem predykcyjnym przyszłości bywa na ogół dość dwuznaczna. Wykraczanie poza ramy własnej epoki, poza opłotki prezentystycznie widzianej współczesności nieodmiennie rodzi podejrzenia o chęć dezercji przed pytaniami, dylematami, konfliktami i problemami, jakie stawia przed twórcą bieżąca chwila historyczna. Rzecz jednak charakterystyczna, że dotyczy to wyłącznie prozaików uprawiających powieść historyczną lub fantastyczno-naukową w krajach, gdzie brzemię spraw aktualnych wydaje się szczególnie uciążliwe, nadzieje na przyszłość nadmiernie wygórowane, a kanon znaków sfery *res publica* rygorystyczny i sztywny. Nie zna wszak tego problemu literatura angielska, niemiecka, czy amerykańska. Nader oczywiste jest to natomiast w Polsce, gdzie istnieje silna tradycja utylitarności sztuki. Instynktownie przecież już wiemy, od wieków zresztą, że literatura jest po to, aby walczyć o wolność, wychowywać i oświecać, krytykować wady i nauczać, nieść światło nadziei i witać jutrzenkę swobody. Przemierzanie więc otchłani czasu przeszłego i przyszłego często poczytywane jest za próbę ucieczki z realnego czasu, za usiłowanie zdystansowania się wobec tego wszystkiego, co dane jest „tu i teraz". I symptomatyczne przy tym skądinąd, że powieść historyczna uważana jest ogólnie za jakby szlachetniejszą wersję literatury „eskapistycznej". Jej uprawnienia moralne sięgają znacznie dalej niż science fiction. Może dlatego, że od Liwiusza wiemy, iż *historia testis temporum, lux veritatis, vita memoriae, magistra vitae, nuntia vestustatis*.

Ale to tylko jedna strona zagadnienia. Nader często pisarska emigracja poza własny czas daje krytykom asumpt do konstruowania następnej apokryzy. Głosi ona na ogół, że twórca parający się „tematem" historycznym czy fantastyczno-naukowym wybiera ten obszar penetracji po to, by osłonięty maską innej realności, przebrany w kostium epoki minionej bądź wirtualnej mógł w sposób bezpieczny i wolny od ryzyka politycznych samookreśleń rozsnuwać mimo wszystko diagnozy, obrazy i wizje będące w istocie alegorią współczesności. Mówiąc jeszcze inaczej, jest to domniemanie literackiej strategii; podejrzenie, że pisarz nie chcąc czy nie mogąc orzekać wprost o rzeczywistości decyduje się na taki tryb artystycznego „mówienia" o świecie, który pozornie tylko zorientowany jest na problemy czasu minionego czy mniemanego, lecz w istocie jest zawoalowanym obrazem otaczającej go, społeczno-politycznej realności.

Szczególnie wyraziście przekonanie to zostało wyartykułowane przez J. Kornhausera i A. Zagajewskiego na kartach głośnego ongiś „Świata nie przedstawionego", gdzie dowodzili oni, że niemalże cała współczesna literatura polska wykazuje mniej lub bardziej wyraźną skłonność do ujęć alegorycznych, groteskowych, historycznych, fantastycznych; do umykania w język paraboli i Ezopa; do osłaniania się maskami kulturowych aluzji, historycznych analogii, bądź wreszcie po prostu nieprzezroczystością języka artystycznego. W „Alegorii sparaliżowanej" czytamy:

Punktem odniesienia dla nowej alegorii może być ogląd pewnej sytuacji, dla którego naturalną obiektywizacją jest zazwyczaj postawa epicko-realistyczna, który jednak z takich czy innych pozaliterackich i wewnątrzliterackich powodów zostaje przeniesiony do środowiska alegorycznego i tam, w sposób pośredni, właściwy alegorii, zrealizowany. Taka właśnie alegoria dominuje we współczesnej literaturze polskiej. Przedstawione światy, historyczne lub futurologiczne, magiczne lub „manieryczne", są tylko pewnego rodzaju znakiem, który w dalszej perspektywie ma wskazywać współczesną rzeczywistość. Dzieje się tak u Lema, w powieściach Kuśniewicza, Parnickiego, Bocheńskiego, a także w poezji, w wielu wierszach Herberta, w niektórych wierszach Grochowiaka, w inny sposób w wierszach Karpowicza (...).[1]

Mówiąc krótko, mamy tu do czynienia z dwoma oskarżeniami jednocześnie: pierwsze zarzuca pisarzom eskapizm, a zatem ucieczkę przed nurtującymi społeczność problemami w inny wymiar czasowy lub kulturowy, drugie artykułuje przekonanie, iż wybór ten jest próbą zwolnienia się od odpowiedzialności za rezygnację z bezpośredniego trybu orzekania o rzeczywistości. Pisarz podejmując grę, która gwarantuje mu integralność jego literackiego świata, a zarazem dzieła uzyskuje jednocześnie alibi przed pomówieniem o alienacyjność zaproponowanej problematyki. Sąd ten można zresztą przedstawić w jego wersji potocznej znacznie brutalniej: istnieje spora grupa autorów, którzy nie mają dość odwagi i determinacji, by wkroczyć na obszar intelektualno-ideowych zmagań o kształt rzeczywistości, a przeto odchodzą w rejony bezpieczne. Z kolei bojąc się pomówienia o moralną dezercję konstruują w ramach swoich tematycznych enklaw wizje o charakterze parabolicznym. Tak oto lęk zostaje sprzymierzony z artystycznym oportunizmem i połowicznością. To szeroko skądinąd rozpowszechnione mniemanie nosi zatem wszelkie cechy „nożyc logicznych": w równym stopniu dyskredytuje pisarzy poszukujących tematów „neutralnych", jak i tych, którzy uznając obiektywną lub subiektywną niemożność „mówienia wprost" przenoszą się w świat historycznej, kulturowej czy fantastycznej alegorii.

Warto przez chwilę zastanowić się nad tym problemem. Nie ulega wątpliwości, że pozycja reprezentanta gatunku science fiction w kontekście tego typu mniemań jest mocno kłopotliwa. Spory udział w jej upodrzędnieniu ma zapewne generalnie niska ocena, jaką pośród innych modeli prozy współczesnej zdaje się zajmować naukowa fantastyka. Mimo licznych przykładów przeczących tej zasadzie gatunek ten wciąż jeszcze uważany jest za twórczość pozbawioną szerszych aspiracji intelektualnych, zamkniętą w getcie własnych tematów, ujęć i wyobrażeń, niechętną artystycznej innowacji i eksperymentowi formalnemu, silnie skomercjalizowaną niskimi wymogami odbiorców, nie wnoszącą ambitniejszych treści poznawczych. Według obiegowej opinii jest to typ literatury przeznaczonej dla nastolatków, *sui generis* wariant prozy rozrywkowo-młodzieżowej. Wkroczenie zatem pisarza w te regiony sztuki nader często traktowane jest jako akt profanacji artystycznego warsztatu, a zarazem sprzeniewierzania się misji twórczej, której celem jest wszak „wymierzanie sprawiedliwości widzialnemu światu". Jeśli w powszechnym odczuciu fantastyka realizuje wyłącznie funkcje ludyczne i jest jedną z odmian literatury „wagonowej", to mariaż z nią jawi się jako deprecjacja wzniosłego miana twórcy w sensie dwojakim: degradacji artystycznej i zdrady spraw publicznych.

Wydaje się, że w tej mierze science fiction płaci wysoką cenę zbiorowych uprzedzeń. W jakiś sposób oczywiście sama zapracowała na taką reputację, eksponując utwory płytkie myślowo, uwięzione w fabularnych schematach, a czasem wręcz tandetne, niemniej ich ilość zapewne nie przekracza norm znanych w tzw. „normalnej" literaturze. I tutaj przecież, tak jak w innych nurtach, tendencjach i gatunkach powieściowych pojawiają się propozycje wartościowe, o wysokich walorach intelektualno-poznawczych. A jednak wszystko na nic. Wyprawa w futurologiczną fikcję ciągle okazuje się gestem szczególnie nagannym i podejrzanym. Uchodzi pisarzowi fascynacja mitologią ludową, egzotyką włóczęgi, życiem przedwojennych flisaków czy c.k. Galicji, nawet magią seksu bardziej fantastycznego niż najbardziej zuchwałe pomysły SF. Fascynacja przyszłością to – w opinii zbiorowej – ostateczne wyłamanie się spośród spraw realnego świata.

Wiemy jednakże, iż polska fantastyka naukowa nie posiada zbyt długiej historii. Jej model powojenny zaczął formować się wraz z pisarstwem Stanisława Lema w początkach lat pięćdziesiątych. A przecież już wtedy, wraz z pojawieniem się powieści takich jak „Astronauci" i „Obłok Magellana" ujawniły się pierwsze pomówienia o eskapizm lub „ideologiczne przemytnictwo". Działo się to co prawda w latach dominacji koncepcji tzw. realizmu socjalistycznego, którego realizacje miały skądinąd tyle wspólnego z rzeczywistością, ile najbardziej wymyślna *fantasy*,

jednakże synchroniczność tego typu opinii i pierwszych prób w tym gatunku daje wiele do myślenia. Wydaje się, że podręczny schemat interesującego tu nas modelu myślenia o fantastyce jakby oczekiwał już na rozwój tego typu twórczości. W samej pospieszności narodzin tego schematu ukrywa się jakby obawa przed wolnością, jakiej dostarczy twórcom fantastyczno-naukowym kreacja, a zarazem lęk przed możliwością jej użycia jako kostiumu problemów współczesnych. Czy tak było w istocie? Przykład Lema jest szczególnie instruktywny, gdyż mamy tu do czynienia z pisarzem, którego trudno pomówić o brak literackiego talentu, predykcyjnej wyobraźni i najwyższych spośród możliwych w literaturze kompetencji poznawczych. Jego też sytuacja jako pisarza i Jana Chrzciciela polskiej SF w obliczu frapującego nas tutaj dylematu może być swoistym testem dla całej rodzimej fantastyki; testem obiektywizującym szczelność tych pojęciowych „nożyc".

Twórczość fantastyczno-naukowa Lema, stanowiąca niemal modelowy przykład niezwykle świadomej i konsekwentnej wyprawy w scjentyczną kreację, rzeczywiście od najwcześniejszych lat spotykała się z opiniami, sugestiami, insynuacjami czy pochwałami wyraźnie podkreślającymi ten dwuznaczny aspekt jego zamknięcia się w wieży z kości słoniowej science fiction. Zgodny chór krytycznych głosów od samego początku nieodmiennie obwieszczał, że przeniesienie się autora „Szpitala przemienienia" w świat kosmicznej próżni, przemykających z przyświetlną szybkością rakiet, dyskutujących komputerów i kwarcowych elektrycerzy jest wyborem bastionu, który oddzielić ma pisarza od rzeczywistości społecznej, zwalniając go tym samym od presji sterowanych centralnie doktryn i nacisku oddolnych nastrojów zbiorowych, od falowania trendów politycznych i opcji kulturalnych. Obraz ten utrwalił się tak dalece, że do dziś istnieje coś na kształt przekonania, że fantastyka naukowa jest jakby świadomie wybraną przez Lema oazą, której nie nadkruszyły kolejne modele estetyczne, zmieniające się wytyczne polityki kulturalnej, nowe orientacje światopoglądowe bądź społeczne przypływy i odpływy nadziei. Głównie jednak króluje opinia, rzadko zresztą formułowana *expressis verbis*, że „stamtąd", z galaktycznych bezkresów, niezmiernie daleko jest do realnego i dotykalnego świata. Już w 1954 roku odtwarzano retrospektywnie pojawienie się takich mniemań: *Kiedy Stanisław Lem wydał w 1951 roku swoich „Astronautów" – złośliwi krytycy uznali: „Oho, patrzcie państwo! Jedni wymigują się od współczesności pisząc hurtem sztuki historyczne, a ten znalazł inne wyjście: uciekł... w przyszłość. I to dokąd? Na Wenerę"* [2]. Przeniesienie się artysty problematyką swych utworów w przyszłość i powołanie do życia nowego typu powieści od razu właściwie potraktowano jako pojawienie się w literaturze kosmicznej odmiany sielankopisarstwa.

A przecież równocześnie nikt naprawdę nie uważał tej sielanki za krainę, na której fantastyczne wytwory można przymknąć oczy i potraktować tak jak inne płody eskapizmu. Było wręcz przeciwnie. Od samego początku na SF spoglądano podejrzliwie, uważając widocznie, że może ona zrodzić nowy, trudny do kontrolowania sposób dyskutowania o rzeczywistości. Czy tak się stało to druga sprawa, niemniej nader łatwo o przykłady, które pokażą ten pełen obawy lub nadziei sposób myślenia już o pierwszych utworach gatunku.

(...) pamiętajmy, że współczesnymi są wszystkie książki Stanisława Lema: wędrując wyobraźnią przez najdalsze choćby przestrzenie i w najodleglejszym chociażby czasie – mierzy pisarz sens swych wędrówek najistotniejszymi problemami ideowo-społecznymi naszej przestrzeni i naszego czasu [3].

Co (...) uczynić z powieścią, która poprzez historyczną tematykę, poprzez historyczny kostium mówi o sprawach dzisiejszych, aktualnych? Co uczynić z tzw. literaturą przyszłościową, z powieściową fikcją ukazującą człowieka podróżującego w międzygwiezdnej przestrzeni? Przecież ta walka już się rozpoczęła [4].

Utopia (...) – oto dopiero kłopot prawdziwy. Nie wtedy, rzecz jasna, gdy jest metaforą współczesności, bowiem wówczas zyskuje siłę konkretną, promieniującą z obserwacji świata widzialnego – ale przestaje być utopią, jest fantastyczną maską prawdy współczesnej, nie zaś samodzielnym opisem przyszłego bytowania ludzkości [5].

Powieść przyszłościowa stanowi niejednokrotnie pretekst do spojrzenia z dystansu na współczesność. Aspekt ten istnieje również i w książce Lema [6].

Te cztery wypowiedzi ujawniają, że podjęcie kostiumu, maski, paraboli pojawiło się niejako u podstaw rozważań o fantastyce w latach powojennych. Jeśli udało się już czmychnąć pisarzowi przed Scyllą pomówień o eskapizm, to na pewno dopadła go Charybda podejrzeń o uprawianie literatury aluzyjnej. Nie sposób bowiem uciec od presji polityki, społeczeństwa i „zadań" pisarstwa zaangażowanego. Każde spojrzenie przez ich pryzmat przekonuje, że w sztuce nie istnieją obszary obojętne i neutralne. Fantastyka pojęta jako azyl równa się całkowitemu wypowiedzeniu przez artystę społecznej służby; użycie jej w roli kostiumu oznacza odejście od „słusznej" linii, odrzucenie punktu widzenia rzeczywistej lub wyimaginowanej „większości", a zatem wybór nie tej formy służby, która byłaby od niego oczekiwana. Spojrzenie na współczesność z dystansu, to wybór perspektywy bezpiecznej dla autora i jego dzieła, to unik przed podjęciem bezpośredniego dyskursu o sprawach doświadczanego świata. Pisarz kreując rzeczywistość fantastyczną – pozornie tylko uwodzącą czytelnika swą tematyczną autonomią – będącą zakamuflowanym znakiem konkretnej realności polityczno-społecznej wybiera sytuację uprzywilejowaną, „komfortową", dogodniejszą i łatwiejszą.

Domniemanie, iż pisarz używa prezentacji fantastyczno-naukowej jako szaty ochronnej może pobrzmiewać niekiedy tonem przygany. Znacznie częściej jednak konstatacja tego typu stanowi wyraz aprobaty dla zręczności artysty, który potrafi – mimo różnych ograniczeń – przemycić jakąś część trudnej i niejednoznacznej prawdy o współczesności. Nader liczne są wypowiedzi, które z dużą sympatią wykazują w prozie Lema obecność wyraźnych aluzji, nawiązań i podtekstów adresowanych wprost do rzeczywistości społecznej. Pozornie jest to liść do wieńca chwały autora „Solaris". Pozornie jednak, gdyż opinie te całą praktycznie twórczość tego pisarza zdają się sprowadzać na grunt działań zastępczych i kompensacyjnych. Fantastyka naukowa jawi się wówczas wyłącznie jako kostium spraw obyczajowych, politycznych i socjalnych, podczas gdy jej walor prognostyczny i ludyczno-fabularny jakby ulatuje z niej pod brzemieniem przewrotnie praktykowanych „prac społecznych". Niespodziewanie bowiem science fiction traci swą autonomię i przeradza się w bardziej wymyślny model literatury również zorientowanej na krytykę konkretnych warunków bytowania zbiorowości. Typowym przykładem takiego – wcale nie izolowanego – przekonania jest opinia Szarugi:

Z uporem maniaka nasza krytyka literacka upatruje w twórczości Stanisława Lema „współczesny sposób widzenia przyszłości" przypisując mu zafascynowanie rozwojem techniki i podbojem kosmosu. Nie twierdzę zresztą, iż sądy te są w całej rozciągłości niesłuszne, tym niemniej w istotny sposób odbiegają one od właściwego, jak mi się zdaje, tropu odczytywania tego pisarstwa. Jeśli zgodzilibyśmy się na taką propozycję rozumienia tej twórczości, wówczas konsekwentnie winniśmy traktować utwory Ezopa jako zafascynowanie krajem zwierząt, zaś „Podróże Guliwera" Jonathana Swifta traktować jako opis krain, których realność cielesna nie ulega wątpliwości. W takiej interpretacji i „Utopia" Tomasza Morusa jawiłaby się przede wszystkim jako opis państwa przyszłości. Nietrudno chyba udowodnić, iż takie przedstawianie utworów Lema wynika z bardzo powierzchownego odczytania, w którym krytyk daje się zwieść natarczywie przed oczy podsuwanym rekwizytem.

Proponuję (...) spróbować drogi nieco innej, polegającej na odczytaniu twórczości Lema w ten sposób, by wykazać, iż jest to „przyszłościowy" sposób odczytania współczesności. Rzecz jasna, taki zabieg będzie zasadzał się przede wszystkim na odrzuceniu rekwizytów, a więc całej zabawy w podróże kosmiczne i wynalazki techniki.

Punktem wyjścia będzie stwierdzenie, iż konwencja przekazu przyjęta przez Lema posiada taki sam charakter, jaki cechuje twórczość wspomnianych wyżej pisarzy: Ezopa, Swifta czy Morusa, dla których dobór rekwizytów jest tylko przybraniem szaty ochronnej. W każdym z ich dokonań mamy do czynienia przede wszystkim z krytyką świata zastanego, z analizą sytuacji, w jakiej znajduje się sam uruchamiacz narracji. Jest wiele przyczyn po temu, aby pisarstwo Lema potraktować analogicznie (...) [7]

Uderzające jest jak mało miejsca w ramach tego rodzaju interpretacji pozostawione zostaje ewentualnym, niekłamanym pasjom predykcyjnym pisarza, a jak wiele zostaje w niej zawłaszczone przez obywatelskie obligacje; jak dalece to, co jawi się jako podstawowa tkanka tej twórczości – poświadczona już chociażby wieloletnią wiernością „tematowi" – sprowadzone zostaje do roli kostiumu, przebrania, maski, osłaniających faktyczny sens wysiłków twórcy. Mamy tu zatem jakby do czynienia z „konspiracyjną" wizją literatury, która zdaje się tracić przywilej do praktykowania „prywatnych obowiązków", przenosząc się w całości w obszary kryptografii. Krytyka literacka staje się w tym momencie niejako spadkobierczynią instrumentalno-narodowego modelu postrzegania literatury, wyzuwającego ją z podmiotowych aspiracji na rzecz całkowitego niemal ubezwłasnowolnienia „obowiązkami zbiorowymi". Tak oto fantastyka przestaje być sobą. Jej wyprawy w przyszłość i wyobraźnię krążą z woli krytyki po trajektorii bieżących problemów społecznych, ona zaś przeradza się w szyfr „nocnych rozmów Polaków".

Jest jednak w tym okradaniu SF z samoistności coś bardzo pociągającego, skoro nawet autor „Kalendarza i klepsydry" zdecydował się zabrać głos w tej delikatnej materii:

Ważna, tajemnicza i zdumiewająca jest wolta literacka, którą wykonał Lem w latach pięćdziesiątych. Ten niesamowicie utalentowany prozaik o inklinacjach lirycznych, ten poeta prozy rozrachunkowej i prozy rozliczającej moralność czasu pieców gazowych, ten epik naszej gorącej, tragicznej i fascynującej współczesności (...) ni z tego ni z owego zaczyna pisać powieści science fiction. Oczywiście, mogę łatwo się domyślić, że uczynił to dlatego (...), żeby nie utonąć w tym bagnie socrealizmu, żeby nie podtruć się samookłamywaniem, żeby nie poddusić się zdradą literacką i zdradą światopoglądową. Tak, Lem mógł odejść w chłodne cienie Azylu. Tam chciał przeczekać najgorsze lata literatury i najgorsze lata kraju. W azylu fantazji. W mateczniku wyobraźni. Ale dlaczego tam został na zawsze? (...) Dlaczego nie skusił go powrót do łatwego życia współczesności tak łaskawej dla literatury, dla jej buntów myślowych i emocjonalnych, nawet dla technologii tej literatury, nawet dla sposobów jej wytwarzania.[8]

Tym razem nie jest to już obraz twórcy każdym pociągnięciem pióra uprawiającego wyrafinowaną grę literacką, której celem jest kamuflaż okre-

ślonych treści i próba przemycenia społeczno-politycznych rozpoznań pośród fantastyczno-naukowych „rekwizytów" i gęstwin groteskowo-scjentycznych wyobrażeń predykcyjnych, lecz na powrót wizerunek artysty, który wypowiada rzeczywistości swoje *désinteréssement*. A zatem powraca znowu, znany już z lat pięćdziesiątych ton: fantastyka naukowa to swoisty rezerwat pisarza, Ziemia Obiecana, która zwalnia go od podjęcia zadań, do których nie czuje się powołany, które z subiektywnych bądź obiektywnych powodów uznaje za niemożliwe do wiarygodnego rozważania na poziomie realistycznej relacji. Ale jest tutaj także coś więcej. Proza SF to nie tylko azyl dla szukających łatwizny i świętego spokoju, lecz również obrończyni integralności pisarskiej, tarcza chroniąca przed terrorem społeczno-politycznej realności.

Nie sposób oczywiście negować zasadności bądź prawdopodobieństwa zgłaszanych z taką natarczywością rozpoznań. Bez wątpienia bowiem twórczość Lema stanowi jakąś formę azylu przed uroszczeniami „widzialnego" świata, niewątpliwie spora część wizji rozsnuwanych w jego utworach stanowi przejrzyste klisze „tu i teraz". Zapewne też tego typu strategia artystyczna gwarantuje mu w jakiejś mierze pozycję „uprzywilejowaną" i zwalnia go od rozterek tradycyjnie rozumianego pisarstwa zaangażowanego w sprawy przebudowy bądź krytyki świata, niemniej absolutyzacja tego rodzaju diagnoz prowadzi w prostej linii do karykaturyzujących uproszczeń. Żadna decyzja artystyczna nie jest w tym momencie jednoznaczna, każda poddana jest wartościowaniu zrodzonemu w kręgu pojęć o absolutnym zdeterminowaniu twórczości przez zawłaszczającą współczesność. Literatura staje się wytrawioną z immanencji, prostą funkcją życia społecznego rodzimej zbiorowości.

Dawał temu zresztą bezpośrednio wyraz sam Lem, odżegnując się od kwalifikacji, które jego powieściowe światy odnoszą jedynie do miar społecznie partykularnych. *Audiatur et altera pars*, a zatem oddajmy głos podsądnemu:

Zdarzało mi się używać Ezopowego języka, ale raczej dość rzadko. W swojej ostatniej książce Konwicki pisze o mnie z ogromną sympatią, a jednocześnie wyraża chyba całkiem serio przeświadczenie, że oddaliłem się od normalnego pisarstwa taktyką niejako unikową, i nie może zrozumieć, czemu do tego porzuconego terenu nie wróciłem. Jak gdybym gwiazdy i komputery wziął sobie za azyl. Jakbym pisał książki w duchu eskapistycznym, to znaczy ucieczki od rzeczywistości. Uważam, że tak nie jest. Jesteśmy wszyscy chorzy na polonocentryzm. Są po temu bardzo ważne, nieraz tragiczne przyczyny, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. A jednak mimo tego, co dzieje się w Polsce i z Polską, jest ona malutkim skraweczkiem świata (...) i to jeszcze tak złączonym ze sprawami tej całości, że one będą decydowały w końcu i o polskich losach. Dzięki obserwowaniu własnych książek, a nie doraźnej samowiedzy zorientowałem się, że w mojej naturze leży dążenie do ostatnich wniosków, do ekstremów, skrajności, ale tylko takich, które umieszczone są w obrębie tego, co możliwe. (...) Można to nazwać wykraczaniem aż po ostatni horyzont spraw i kwestii, które dziś są jeszcze do pomyślenia i do ryzykownego przewidywania. (...) Jest w tej rozbieżności konsekwencja, jest w tym metoda, jest autentyczne poszukiwanie granic, czy stref przygranicznych człowieka, rozumu, społeczności. Uznawać to wszystko za pola obsiane jak kukurydzą – samymi dziwolągami, które wyhodowałem, żeby się w nich schować, to, delikatnie mówiąc, pewne nieporozumienie.[9]

Nie ma naturalnie wiarygodnego sposobu na rozstrzygnięcie kontrowersji pomiędzy pisarzem twierdzącym, że wybór science fiction jest kwestią autentycznej pasji futurologicznej i charakterystycznego dlań zmysłu fantastyczno-groteskowej kreacji, a zgodnym chórem krytyków, rozpoznających w jego literackiej decyzji poszukiwanie azylu i ucieczkę z terenów prozy realistycznej. Lem zapewnia żarliwie: rzeczywiście interesuje mnie świat możliwych lub wyobrażonych spełnień, jakie niesie potencjalnie człowiekowi przyszłość. Krytycy wyrokują kategorycznie: on nie chce borykać się z niedogodnościami bezpośredniej dyskusji o świecie i zwalnia się od pełnej odpowiedzialności za oblicze dnia dzisiejszego. W tym miejscu można tylko rozłożyć ręce. Faktycznie przecież trudno orzec o ile pisarstwo Lema, a dotyczy to każdego pisarza reprezentującego naukową fantastykę, jest gestem eskapistycznym, a także nie sposób ustalić gdzie przebiega linia demarkacyjna pomiędzy pragnieniem uprawiania czystej gry wyobraźni w obszarze predykcyjnych scenariuszy i scjentycznych modeli przyszłościowych a chęcią odmierzenia „sprawiedliwości widzialnemu światu" poprzez konstruowanie abstrakcyjnych na pozór wizji socjalnych, wykazujących z nim wyraźną adekwatność diagnostyczną i stanowiących jakby strukturalną replikę konkretnej rzeczywistości ustrojowo-społecznej. I nie jest tu już ważne arbitralne zadekretowanie tego czy innego stanu rzeczy. Istotniejszą i zastanawiającą rzeczą jest przecież to właśnie, że gatunek ten samym swoim pojawieniem się na arenie literatury współczesnej do takiej polaryzacji sądów doprowadził.

Zgódźmy się jednak dla myślowego eksperymentu z tezą, że świat Innych, fotonowych rakiet, kosmicznej próżni i dylatacji czasowej jest rzeczywiście tylko kostiumem spraw współczesnych. Cóż wyniknie z podobnego założenia dla oceny możliwości partycypowania fantastyki w toczącej się nieustannie dyskusji nad stanem naszej obolałej rzeczywistości? Najlepiej w tym celu przyjrzeć się konkretnej analizie. Ciekawą próbę spojrzenia na SF jako na pewien typ ujęcia alegorycznego przynosi cytowana już „Alegoria sparaliżowana" Zagajewskiego, która poddaje oglądowi „Kongres futurologiczny", traktowany zresztą jako próbka większej populacji tekstów tego autora. Niestety i ta ocena pobrzmiewa tonem przygany:

„Kongres futurologiczny" ma do opowiedzenia w gruncie rzeczy dramat. Dramat społeczny, dramat świadomości. Obiera metodę alegorii, przedstawia jakąś daleką, fikcyjną rzeczywistość. Musi zatem zaznaczyć, że to tylko fikcja, a naprawdę chodzi o dramat. Zostawia więc ślady, strzałki komizmu, które obracają na nice świat przedstawiony, odbierają jednoznaczność przygodom bohatera. Dzięki temu powinno się „wrócić" do dramatu. Lecz takie dodawanie i odejmowanie (...) nie sprawdza się. Sprzeczności rozsadzają alegorię. Dramat niknie, rozpływa się. W końcu „Kongresu futurologicznego" jest śmieszność, nie dramatyczność, komizm zwycięża, zabawa bierze górę.[10]

Oczywiście nie jest prawdą, że alegoria czy ujęcie paraboliczne z natury swojej wytrawione jest z napięcia i dramatyczności. Zostawmy jednak ten problem na boku, by wrócić do obserwacji zjawiska, które nas już wcześniej zafrapowało. Otóż okazuje się, że nawet fantastyka ambitna, angażująca się w sprawy wspólnego nam wszystkim świata niegodna jest wkroczenia pomiędzy adwokatów „rzeczy gromadzkiej". Kompromituje ją krzykliwa szata, odległość paranteli, brak konkretności, feeryczna zjawiskowość, wykrętna groteskowość i wszystkie siedem grzechów głównych. Zawsze okaże się ona *półśrodkiem, który daje ułudne poczucie artystycznego opanowania świata*[11]. Czyżby grzeszyła nie chcąc rezygnować z wizjonerstwa, z mirażu, z marzenia o świecie lepszym, ciekawszym, czy po prostu innym? Może prowokuje do napaści swoim tandetnym – najczęściej – „arystokratyzmem" gwiazdowym, który nie chce przystać na zanurzenie się w błocie codzienności? Mechanizm to skądinąd nie nowy i już w połowie lat trzydziestych opisywał go dosadnie Miłosz:

Ale niełatwo trzymać w Polsce głowę nad powierzchnią – to jest jakby piekło z anegdoty, gdzie męki obmyślone są sprytnie: w kloace siedzą delikwenci zanurzeni po szyję, diabeł stoi obok z kosą i zamachuje się, straszy – wtedy wszyscy delikwenci ze strachu dają nurka i powtarza się to z dokładnością mechanizmu[12].

Każdy, kto nie chce się zanurzyć zdaje się znajdować w sytuacji niezasłużenie uprzywilejowanej, bo nie podlega wszak presjom i obligacjom, które na co dzień dławią i męczą „normalną" literaturę. Nader znanym w takim momencie obyczajem jest ściąganie delikwenta za połę do wspólnego dołu. Tym badziej, że chodzi o pięknoducha ze złą reputacją, o gatunek – jakże często – sytuowany w okolicach literatury pornograficznej, brukowej, „trzeciego rzutu", popularnej; o gatunek osłaniający myślową i konceptualną goliznę tyleż wymyślnymi co i beztroskimi harcami w kosmosie. Czyżby jednak broniąca wysokich norm literatury i zasady przypisania do rzeczywistości krytyka mogła się kierować w swych deprecjonujących na ogół sądach aż tak niskimi pobudkami?

Do jakże wielu pytań prowokuje ten zdawałoby się „niepoważny" gatunek. Czy rzeczywiście science fiction, fantasy czy scjentyczna groteska mogą stanowić dla pisarza schronienie i azyl? Jak dalece są w stanie bronić swej integralności w tym warownym bastionie tematu i gatunku? Czy posługiwanie się fantastycznym kostiumem dla roztrząsania spraw współczesności jest również formą alienacji z rzeczywistości? Intuicja i losy powojennej prozy polskiej zdają się wskazywać, że tego typu gra z procesami miotającymi zmiennymi falami literatury gwarantuje SF pewien stopień autonomii, którą okupić musi określonymi spłatami: zakłóceniem toku komunikacyjnego pomiędzy pisarzem a czytelnikiem oraz swoistym wyjałowieniem z istoty dramatu trawiącego tkankę współczesności. Jakie są jednak granice odporności tych rzekomo lub prawdziwie irrealnych światów? Co naprawdę oznacza stała proliferacja pretensji i uroszczeń zgłaszanych wobec tego typu literatury ze strony rzeczników „tu i teraz"? Czy możliwe jest wiarygodne podejmowanie przez naukową fantastykę dylematów znużonej i rozdartej problemami realności? Dwuznaczna jest pozycja utworów reprezentujących ten gatunek. Jedni ganią je za artystyczną tandetę, drudzy za ucieczkę od świata, trzeci za połowiczność partycypacji w sprawach „ziemi". Gdzież jest zatem właściwe miejsce dla fantastyki i jakie jest jej prawdziwe oblicze? Czy rzeczywiście jej tożsamość kształtują niedostatki talentu, zaciszne strefy azylu i splątane fałdy kostiumu?

Stanisław Bereś

Przypisy

1. J. Kornhauser, A. Zagajewski, *Świat nie przedstawiony*, Kraków 1974, s. 59–60.
2. J. Nik, *Sezam*, „Ilustrowany Kurier Poranny" 1954, nr 283.
3. A. Włodek, *Dlaczego nie czytałem „Obłoku Magellana"?*, „Życie Literackie" 1954, nr 47.
4. W. Sadkowski, *Lem – pisarz współczesny*, „Trybuna Ludu" 1959, nr 105.
5. L. Flaszen, *„Obłok Magellana"*, „Życie Literackie" 1956, nr 7.
6. T.L., *Stanisław Lem: „Obłok Magellana"*, „Życie Literackie" 1961, nr 47.
7. L. Szaruga, *Lema przypadki komiczne*, „Nurt" 1972, nr 8, s. 27.
8. T. Konwicki, *Kalendarz i klepsydra*, Warszawa 1976, s. 68–69.
9. S. Lem, S. Bereś, *Lem über Lem. Gespräche*, Frankfurt am Main 1986, s. 101–102.
10. J. Kornhauser, A. Zagajewski, *Świat nie przedstawiony*, op.cit s. 63.
11. Ibidem, s. 65
12. List Czesława Miłosza do Jarosława Iwaszkiewicza z dnia 18 IV 1934 r. IBL PAN.

Morski Eugeniusz (1909–1975)

Poeta, tłumacz, prozaik

Urodził się 27 sierpnia 1909 r. w Petersburgu. W 1922 r. przyjechał do Polski i osiedlił się w Poznaniu. W latach 1930–1934 studiował w Państwowej Wyższej Szkole Budowy Maszyn w Poznaniu. W czasie studiów należał do grupy literackiej „Promethidion" i w latach 1932–1939 był współredaktorem jej organu „Prom". Tu debiutował wierszami w 1932 r., w bibliotece „Promu" opublikował swoje tomiki poetyckie. Po wyzwoleniu pracował w „Polpressie" – w Łodzi i w Warszawie. W 1947 r. podjął pracę w Poznaniu, w rozgłośni Polskiego Radia i w redakcji dodatku literackiego do „Głosu Wielkopolskiego" pt. „Świat". Od 1960 r. kierownik Biura Ogłoszeń RSW Prasa w Poznaniu. Zmarł w Poznaniu 19 lutego 1975 r.

Autor kilkunastu tomików poetyckich, dramatów, powieści i zbiorów opowiadań, m.in. „Magnolie" (1932), „Ryże bogi" (1938), „Skrzydlaty świat" (1946), „Kapciuch" (1954), „Słońce na talerzu" (1958), „Kręgi pajęczyn" (1967), „Żona na raty" (1970). Jako autor SF debiutował powieścią „Na szlakach komet" drukowaną w „Nowym Świecie" w 1956 r. W rok później wspomniana powieść ukazała się w wydaniu książkowym pod zmienionym tytułem **„W pogoni za czarnym karłem"** (Wyd. Poznańskie 1957).

Historia Eugeniusza Morskiego jest jednym z pierwszych, powojennych opisów obcych cywilizacji (marsjańskiej i wenusjańskiej), które zostają dostrzeżone podczas inauguracyjnych lotów człowieka na inne planety. Kosmonauci przeżywają wiele niezwykłych przygód, walczą z potwornymi zwierzętami (pomysły Morskiego – zob. „pożółkłe kartki" – zapowiadają późniejsze rozwiązania Stanisława Lema). Na krok przed ostateczną katastrofą bohaterowie dalekiego zwiadu zostają ocaleni przez ekipę ratunkową wysłaną z Ziemi.

Powieść mieści się w nurcie polskiej, eksploracyjnej odmiany SF, zapoczątkowanej po raz wtóry (po roku 1945) książkami Stanisława Lema („Astronauci"), Władysława Umińskiego („Zaziemskie światy. Pierwszy lot międzyplanetarny"), Krzysztofa Borunia i Andrzeja Trepki („Proxima"), Zbysława Góreckiego („Delta powraca na Ziemię"). I – podobnie jak jej poprzedniczki – jest także powieścią socjologiczną, refleksją światopoglądową skierowaną pod adresem mieszkańców naszej planety (takim ostrzeżeniem staje się m.in. obraz cywilizacji wenusjańskiej). Książka Eugeniusza Morskiego, wyrosła z polemik lat pięćdziesiątych, jest także rozpisanym na role dialogiem dydaktycznym dotyczącym postaw humanistycznych, przeobrażeń psychiki człowieka, roli naukowego spojrzenia na świat. Adwersarzem uczonych staje się inżynier Bowski zafascynowany potęgą ciemnych sił tworzących naszą podświadomość: postać tragiczna, budząca litość i trwogę, a przecież bliska rozterkom i wahaniom człowieka XX wieku.

Bibliografia wybrana:

– B. Kogut, *Na linii mody* (w:) „Życie Literackie" 1957/46.

– A. Łaszczyński, *Fantastyka i prowincja (O dwu poznańskich książkach)* (w:) „Tygodnik Zachodni" 1957/32.

Nidecka Julia (ur. 1947)

Inżynier chemik, autorka SF

Urodziła się 10 września 1947 r. w Warszawie. W 1966 r. ukończyła Technikum Chemiczne i rozpoczęła pracę w Zakładzie Fizjologii Roślin SGGW. W latach 1967–1969 pracowała w Farmaceutycznej Spółdzielni Pracy „Unia" jako technik-analityk. W 1973 r. ukończyła studia wieczorowe na Wydziale Chemii Politechniki Warszawskiej uzyskując tytuł inżyniera chemika. Od 1970 r. pracuje w Centralnym Laboratorium Ochrony Radiologicznej w Warszawie. Jako autorka SF debiutowała w 1976 r. na łamach sierpniowego numeru „Młodego Technika" opowiadaniem „Megalomania". Kolejne opowiadania drukowała również w „Młodym Techniku" oraz w „Przeglądzie Technicznym". Kilka z nich weszło w skład antologii: „Drugi próg życia" („Nasza Księgarnia", 1980), „Phantasma" (Suhrkamp Verlag, Frankfurt n. Menem), „Spotkanie w przestworzach" (KAW 1982). W 1983 r. nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej ukazał się zbiór opowiadań Julii Nideckiej **„Goniący za słońcem"** (Zawartość: Co to jest, Megalomania, Sny o rozumie, Wilki na wyspie, Taśmy prawdy, Biotechnika, Kwiaty w bukiecie, Solidarność, Goniący za słońcem, Wagary).

Opowiadania Julii Nideckiej sięgają do motywów socjologicznej fantastyki naukowej. Science fiction jest kostiumem pozwalającym wypowiedzieć ogólne prawdy o człowieku, jego dążeniach i aspiracjach. Pojawiają się w tych utworach elementy ostrzeżenia, dystopii społecznej („Wilki na wyspie"), refleksji nad przemijalnością ludzkiego życia, brakiem tolerancji, który prowadzi do utraty wartości humanistycznych. ■

Tego dnia zadanie dziewczyny polegało na obserwacji nieba ze wzgórza i sygnalizowaniu ewentualnego niebezpieczeństwa. Wpatrując się w lecące nisko chmury Bara przez cały czas myślała o inżynierze i o Bowskim. Dziś z rana optymizm Daga Rossy przekonał ją zupełnie, teraz jednak znów była bliższa pesymizmowi literata.

„Żeby wreszcie coś się stało" – pomyślała zrezygnowana. Godziny mijały powoli. Brak ożywienia przy stacji i cisza w słuchawkach świadczyły, że nic się nie dzieje. W pewnej chwili wydało się dziewczynie, że w obłokach pędzącego kurzu zamajaczył jakiś kształt. Przyjrzała się uważnie. Gdyby znajdowała się na Ziemi, pomyślałaby, że gdzieś w pobliżu chłopcy puszczają latawiec. Nieokreślonego koloru trojkątny twór z długim falującym ogonem wisiał wprost nad głową. Poruszał się bardzo wolno pod wiatr, jakby uwiązany na napiętej lince. Ponieważ latawce te obserwowano niejednokrotnie, dziewczyna nie zaniepokoiła się wcale. Przyglądała mu się jednak z zaciekawieniem, gdyż wydawało jej się, że tym razem latawiec pojawił się bliżej niż zwykle. Ali Keer w swojm czasie wyraził przypuszczenie, że są to produkty wulkaniczne, które nie mogą się rozproszyć w gęstej jak woda atmosferze planety. „Skąd jednak ten regularny kształt?"

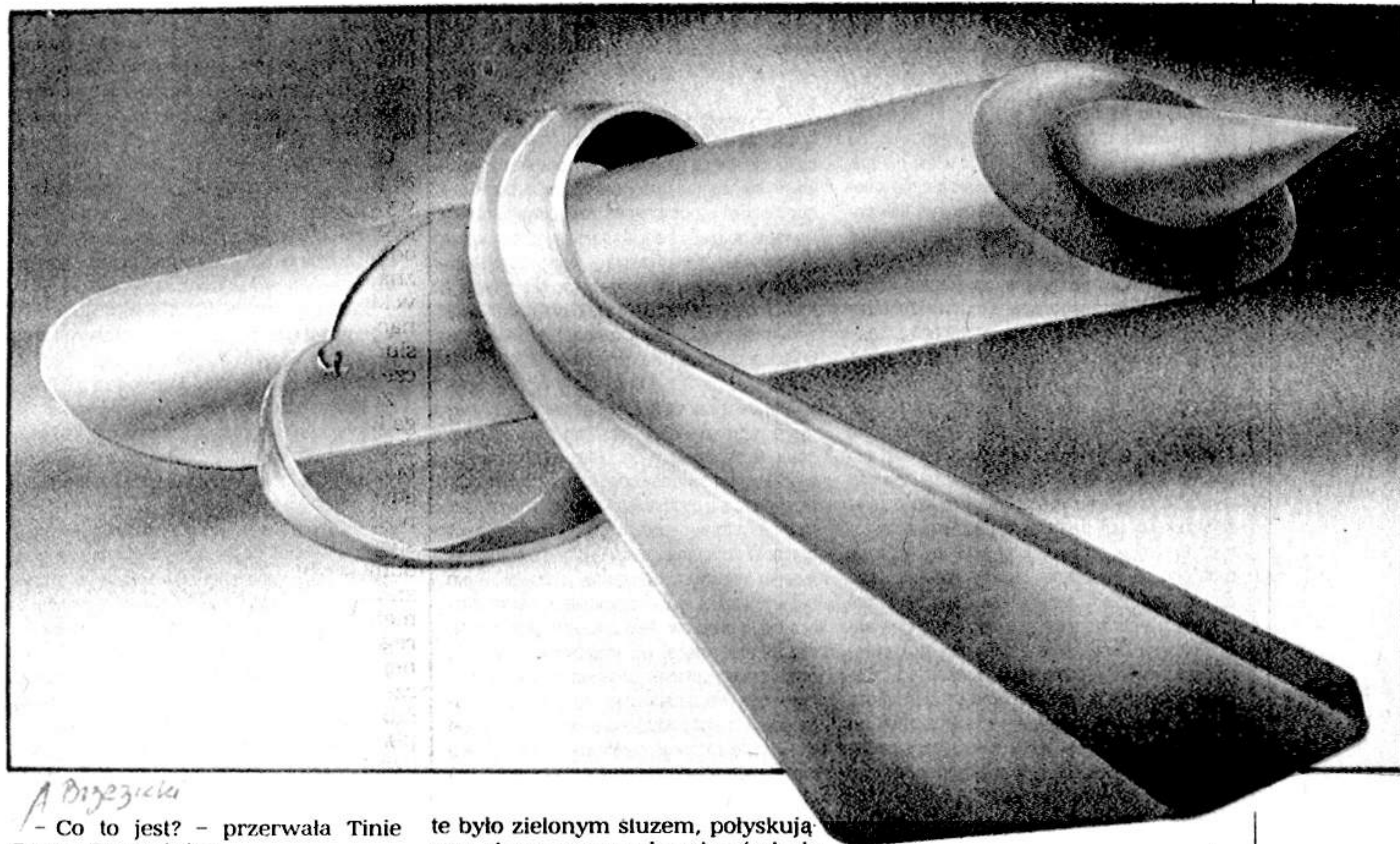
Gdy tak pomyślała, wydało jej się, że przy połyskującej zimnym, rudawym światłem antenie wszczął się jakiś ruch: siedzący przy polowym odbiorniku Dag Rossa dawał jakieś znaki, a zaraz potem Iwo Eiro biegł w kierunku rakiety. Patrzyła za biegnącym, gdy nagle usłyszała trzaski w słuchawkach, zagłuszające pojedyncze słowa Daga Rossy.

Zdenerwowana sięgnęła ręką po gałkę znajdującą się na przedniej stronie hełmu, chcąc uregulować odbiór, lecz nie zdążyła tego dokonać, gdyż ujrzała tajemniczy latawiec, unoszący się tuż nad radiostacją. Zastygła przerażona, niezdolna do wydobycia głosu. Tajemniczy trójkąt, zniżywszy się na wysokość kilku metrów, rozrósł się do wielkości sporego domu. Po lśniącej, jakby wilgotnej powierzchni przebiegały skurcze, podobne do bryzy na wodnej fali. Zauważyła, że nie jest zupełnie płaski; niektóre jego partie świeciły dziwnym, zielonkawym światłem. Spojrzała niżej. Pracujący przy stacji ludzie biegli w rozsypce. W tyle Dag Rossa podtrzymywał słaniającą się Tine, która ramionami osłaniała głowę.

„To moja wina, nie ostrzegłam na czas" – pomyślała Bara i nagle otrząsnąwszy się z przerażenia, nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, co czyni, skoczyła w kierunku inżyniera i przyjaciółki. Wiedziała tylko jedno, że musi zdążyć z pomocą. Z prawej strony, gdzie stała rakieta, słyszała suche, urywane trzaski, jakby ktoś zamykał hermetyczne drzwi komory wyjściowej. Chciała obejrzeć się w tym kierunku, lecz nagle coś czarnego runęło na nią. Upadła

Eugeniusz Morski

W pogoni za czarnym karłem



Andrzej Brzezicki

pomiędzy dwa kamienie. Przytłoczyła ją i przygniatała jakaś elastyczna gąbka czy pierzyna. Jednocześnie ciemność napłynęła na oczy.

Gdy po pewnym czasie wróciła do przytomności, poczuła, że coś zimnego i mokrego spoczywa na jej czole. Drgnęła i otworzyła oczy. Znajdowała się w laboratorium. Doktor Emmanuel Carim przytrzymywał jej na czole zimny okład. Patrzyła w ciemny otwór rękawa jego kitla, który pochylił się tuż przed jej oczyma.

– Ocknęła się! Patrzy! – posłyszała radosne wołanie Tiny. Po chwili siedziała już na koi i mrużąc oczy w silnym świetle spoglądała na zatrwożone twarze przyjaciół.

– Wyobraź sobie, że gdyby nie Eiro, zostalibyśmy również przygnieceni – mówiła Tina siedząc w nogach Bary i usiłując ukryć wzruszenie. – To Eiro zestrzelił ten trójkąt. Pobiegł do rakiety po sztucer, mimo że właśnie odezwały się sygnały. Dag Rossa był wściekły na Eiro, że opuścił stanowisko. Teraz Keer, Watt i wszyscy badają potwora, śpieszą się, aby zdążyć przed nadejściem nocy...

– Co to jest? – przerwała Tinie Bara – Czy to żyje?

– Profesor twierdzi, że nie, Dag Rossa i wszyscy, że tak, ale moim zdaniem...

– Chodźmy – powiedziała Bara – . – Muszę to zobaczyć.

– Nie wolno, doktor zabronił ci wstawać!

– Głupstwo! Czuję się świetnie! – I nie zwracając uwagi na protesty przyjaciółki, dziewczyna zaczęła wciągać kombinezon.

Pod przechyloną od wstrząsu anteną leżał bezkształtny, pagórkowaty twór, mniejszy jednak, niż się pierwotnie wydawało. Mógł mieć najwyżej piętnaście metrów długości, nie licząc ogona. Mężczyzni pracowali w milczeniu, usiłując za pomocą pił, toporów i tasaków dokonać sekcji potwora. Od czasu do czasu Rigo Watt i Dag Rossa półgłosem wymieniali między sobą uwagi. Dziewczyna od razu spostrzegła, że to co leży przed nią, nie przypomina w niczym znanych jej istot żyjących. Ostrza noży zagłębiały się w jakąś smolistą masę, drżącą jak galareta, pod każdym potrąceniem. W niektórych miejscach ciało potwora pokryte było zielonym śluzem, połyskującym złowrogo w rudawej poświacie dogasającego dnia.

Na przedzie, w otworze przypominającym gigantyczną jamę ustną, widniały obrzmiałe zgrubienia, podobne do grzybów rosnących na drzewach. Poza tym, w miejscu, gdzie zwykle mieszczą się organa powonienia i wzroku, lśniły czarne, jakby ebonitowe tarcze. Tarczami tymi szczególnie interesował się inżynier, oddzielając je nożem od tułowia i wkładając do blaszanej skrzynki po kliszach fotograficznych. Nie widać było krwi ani śladów kośćca, jednakże na tkaninie kombinezonu po dotknięciu świeżo rozciętych miejsc, pozostawały szybko czerniejące plamy.

– Mamy nareszcie coś, co przekona naszego profesora o tym, że przyroda posiada bujniejszą wyobraźnię od najbardziej pomysłowych biologów – powiedział w pewnej chwili Dag Rossa pochylając się w stronę Bary (...). – Dotychczasowe badania ustaliły, że zestrzelony potwór, którego profesor nazwał elektrozaurem, przypomina w pewnym sensie drętwę elektryczną, wyposażoną poza tym w rozwinięty system organów telekomunikacyjnych: jest to organizm zupełnie pierwotny, stanowiący ogniwo przejściowe pomiędzy światem roślinnym a zwierzęcym. Elektrozaur, a prawdopodobnie i latające lasy są po prostu olbrzymimi infuzoriami, których anatomia i fizjologia jest nam zupełnie nieznana.

Eugeniusz Morski, W pogoni za czarnym karłem. Powieść fantastyczna, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1957, wybór ze stron 29–40.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

Sytuacja wyjściowa jest taka: na Ziemi ma panować pokój, co jest pragnieniem oczywistym wszystkich mieszkańców naszej planety, no, może z wyjątkiem tych, którzy zarabiają na produkcji i handlu bronią. Ale tych zainteresowanych niepokojem jest zdecydowanie mniej niż tych, którzy chcą pokoju. W związku z tym najwyższe ziemskie gremia uchwalają, że trzeba się pozbyć zapasów broni, że trzeba z nimi zrobić coś takiego, by wyekspediować je z naszej planety, ale też nikomu nie zaszkodzić, żeby – krótko mówiąc – było spokojnie, bezpiecznie i żeby problemu pozbyć się raz na zawsze. I wtedy wymyślono, że całą ziemską broń należy zmagazynować na Księżycu, bo i tak pożytku z niego wiele nie ma, jest pusty i stosunkowo bliski, a nikt nie ma innego pomysłu na jego zagospodarowanie. Jak pomyślano, tak zrobiono. Powierzchnię Księżyca podzielono na sektory, w których ulokowano broń poszczególnych krajów, opiekę nad całością tego gigantycznego arsenału powierzono Lunar Agency i prawie wszyscy odetchnęli z ulgą.

Nowe przypadki przesławnego IJONA TICHEGO przez Mistrza Lema opisane ku uciesze nas wszystkich

Kiedy się to pisze, człowiek dziwi się nieustannie, że wszystko to takie proste i że właściwie ludzie powinni już dawno tak zrobić i zacząć żyć po nowemu, w pokoju i dostatku. Oczywiście, na obecnym etapie rozwoju technologii pomysł jest tylko marzeniem utopistów, ale wyraża jakieś ukryte zbiorowe tęsknoty nas wszystkich przerażonych kolejnymi próbami nuklearnymi, straszonych filmami w rodzaju „Gier wojennych", żyjących pod presją totalnej zagłady. Ale Lem – bo zarysowany przed chwilą obraz Ziemi bez broni jest właśnie punktem wyjścia jego nowej powieści „Pokój na Ziemi" – nie jest tak naiwny, by wierzyć, że wszystko przebiegnie spokojnie i życie ludzi zamieni się w sielankę. Broni na Ziemi może nie być, ale nadal obecne jest myślenie o niej, bo posiadanie broni jest jakby nieodłączną cechą bycia człowiekiem. Nie było w historii człowieka ani jednego takiego dziesięciolecia, byśmy mogli zobaczyć go bez broni. Jeśli nawet nie „nosił" jej we własnym domu, to zabierał na wyprawy. Zawsze zajmowała ważne miejsce w jego myśleniu o sobie, o innych, o świecie. Co z tego więc, że w powieści Lema nie ma już broni na Ziemi, skoro praktycznie rzecz biorąc nikt nikomu nie dowierza, skoro wszyscy podejrzewają się wzajemnie o jakieś knowania, o próby zawładnięcia Księżycem itd. Wszyscy chcą wiedzieć wszystko, Ziemia przeniknięta jest przez siatki szpiegowskie, krzyżujące się sfery wpływów wywiadów, kontrwywiadów i subwywiadów. Bronią jest informacja – to sytuacja na Ziemi.

Ale co dzieje się na Księżycu? Tam dopiero jest wesoło... Otóż rozbrojenie Ziemi, powszechne i całkowite, nastąpiło w takim momencie rozwoju technologii, że właściwie wszystkim zawładnęła elektronika, każdy rodzaj broni podporządkowany jest umysłowi nieludzkiemu, a człowiek sprawuje nad tym kontrolę z dość dużego dystansu. Kiedy więc cały potencjał sztucznej energii intelektualnej, ukierunkowanej na doskonalenie siły niszczącej, został wyprawiony na Księżyc, ewolucja technologiczna postępowała tam nadal, choć już bez udziału i nawet kontroli ze strony człowieka. Księżyc stał się wielkim arsenałem samodoskonalącej broni, która zaczęła mutować w najróżniejszych kierunkach, zaczęła wytwarzać sama z siebie coraz doskonalsze odmiany. Oczywiście, że poszczególne państwa musiały spodziewać się takiego obrotu rzeczy – w końcu ludzie nie są głupcami, ale zapewne spodziewano się, że to samodoskonalenie przebiegać będzie tylko w obrębie poszczególnych sektorów i w razie potrzeby będzie można sięgnąć po swoją – o wiele doskonalszą – broń, aby jej użyć zgodnie z własnymi potrzebami. Nic z tego. Na Księżycu nastąpiło zlanie się olbrzymiego potencjału militarnego, technicznego, intelektualnego w jeden organizm i to właśnie zaniepokoiło ludzi.

Siłą rzeczy zrodziło się podejrzenie, że Księżyc może zagrozić Ziemi. Poza tym ludzie nie lubią, gdy coś się dzieje, a oni nie wiedzą co. Zaczęto więc wysyłać zwiadowców, którzy mieli naocznie przekonać się o zaistniałej sytuacji. Ale zwiadowcy ginęli i to w okolicznościach bardzo tajemniczych. W końcu na Księżyc wybrał się Ijon Tichy, jeden z głównych bohaterów lemowskiej prozy beletrystycznej, pojawiający się w całym rozległym cyklu utworów. Taki człowiek musi oczywiście zdziałać więcej niż ktokolwiek inny i Tichy omija szereg pułapek, doświadcza wielu przygód i wreszcie wraca na Ziemię. I tu okazuje się, że na Księżycu został poddany tajemniczemu zabiegowi, w wyniku którego przerwane zostało połączenie pomiędzy jego półkulami mózgowymi. Właściwie jest to jedyny nowy pomysł pojawiający się w tej powieści i dlatego zostaje „wygrany" przez Lema bez litości dla czytelników. Tichy nie może dać sobie rady sam ze sobą i usiłuje dowiedzieć się, co za informacje posiada ta półkula jego mózgu, z którą nie może się porozumieć. Znajomy psycholog podpowiada, że w rzeczywistości nie mogłoby to odbywać się dokładnie tak, jak opisuje Lem, ale nie dałem mu posłuchu, bo przecież powieść to nie podręcznik neurologii i w imię celów artystycznych pisarz może sobie pozwolić na wiele.

Okazuje się jednak, że nie tylko Tichy chce się dowiedzieć tego, co „wie" milcząca półkula jego mózgu. Do ukrytych w niej informacji dotrzeć chcą najróżniejsze ziemskie siły polityczne, wojskowe; zresztą – nie wiadomo jakie. Te informacje mają olbrzymie znaczenie dla wszystkich, którzy chcą odgrywać jakąś rolę w ziemskiej polityce, w podziale władzy itp. Podejrzewają oni, że Tichy stał się swego rodzaju magazynem informacji, które utkwiły w jego pamięci, ale o których istnieniu sam nie wie, nie mogąc do nich dotrzeć. Rozpętuje się więc wokół niego istne pandemonium: ktoś go chce porwać, ktoś tylko udaje, ktoś go chce ochraniać przed kimś innym itd. Narasta sytuacja groteskowa, ale też narasta groza. Na Ziemi, która jest miejscem pokoju ujawnia swe istnienie wielopiętrowa siatka szpiegów i kontrszpiegów zainteresowanych informacjami na temat broni, ewolucji militarnych systemów księżycowych. Pokój jest tylko pozorem, szlachetnym hasłem, którego nie wypada nie akceptować, ale które jakoś uwiera ludzi, nie pozwala im na całkowitą realizację. To właśnie – jak sądzę – jest najważniejszym przesłaniem powieści. Reszta jest tylko dodatkiem, sztafażem, parawanem.

Czytając tę książkę przeżywa miłośnik prozy Lema rozczarowanie. W pierwszej chwili wpada w zachwyt, że oto po różnych antybeletrystycznych deklaracjach pisarz wraca do fabuły i zabawy w opisywanie przygód bohatera, że jednak Lem powraca do fabuły (tym bardziej że słychać o gotowej powieści „Fiasko", której początek i zakończenie publikuje w odcinkach miesięcznik „Odra"). Ale w miarę lektury okazuje się, że w „Pokoju na Ziemi" (podobnie jak w „Fiasku") odwołuje się Lem do swoich wcześniejszych pomysłów, że wiele tu z klimatu „Kataru", że Ijon Tichy nie jest już dawnym Ijonem Tichym, lecz ledwie jego cieniem i mógłby nazywać się w zupełnie inny, dowolny sposób. A tak nie powinno być, skoro sugeruje Lem jakąś ciągłość. Cóż wynika z tego, że przywieziony przez bohatera powieści proszek księżycowy powoduje rozpad ziemskich systemów elektronicznych? Nic, jeśli chodzi o tę właśnie powieść, jest tylko zupełnie niepotrzebnym przypomnieniem pomysłu (nie dosłownie) z „Sexplosion" (vide: „Doskonała próżnia"). To zaś, co Lem nazywa tu zdalnikiem jest w pewnym stopniu powielone w pierwszej części „Fiaska" itd. Nie w tym jednak rzecz.

Zastanawiałem się, co ta powieść znaczy w twórczości Lema, pisarza światowej sławy. I myślę, że jest ona jednak objawem pewnego kryzysu. Z jednej strony autor prawdopodobnie zniechęcił się słabym odzewem swojej eseistyki, wąskim jej odbiorem, jej elitarnością. Grupa ją czytała i pewnie jakoś tam na swój zimny sposób przeżywała, ale mało kto poza nią był zainteresowany i miał siłę przedzierać się przez lemowską stylistykę i dość ciężki sposób wykładu. Dla mas Lem jest beletrystą! Więc postanowił wrócić na ring jeszcze raz jako autor fabuł powieściowych, wbrew wcześniejszym deklaracjom (np. z wywiadu udzielonego Stanisławowi Beresiowi). I wtedy – z drugiej strony – okazało się, że Lem jest na obszarze współczesnej fantastyki reliktem przeszłości. Że świetnie się czyta jego powieści z lat na przykład sześćdziesiątych, jeśli się wie, że to są powieści z lat sześćdziesiątych. Ale te same książki napisane dzisiaj, w tamtej poetyce, klimacie, stylistyce – rozczarowują. Lem nie jest twórcą tak dynamicznym, jak autorzy współczesnych fabuł science fiction, nie potrafi być tak literacko bezwzględny, jak oni i tak odważny, jeśli chodzi o wyobrażenie sobie i opisanie szczegółów, najróżniejszych drastyczności. Jest z innej epoki! Jeszcze wyraźniej pokaże to powieść „Fiasko" (piszę to, bo już ją znam w całości) i wtedy – myślę – trzeba będzie się artystyczną sytuacją Lema zająć szerzej. Jest to bowiem sytuacja żyjącego i tworzącego klasyka, który nie może doścignąć wychowanych i ukształtowanych w jego cieniu, pod jego skrzydłami, których sam wykarmił. Ale tak to już jest...

Leszek Bugajski

Stanisław Lem: *Pokój na Ziemi*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987. Cena 260 zł.

TOMBAK?

Zapowiadałem ten efekt, ale teraz przy jednym z jego pierwszych przejawów doznaję krytycznej konfuzji. Do fantastów dołączają i będą dołączać autorzy spoza getta SF. Robi tak Jacek Natanson (ur. 1948), autor debiutujący już w połowie lat siedemdziesiątych realistyczną powieścią „Mały bilard z grzybkiem". Jeśli jednak ktoś oczekiwał, że ci neofici przyjdą i będą nam mówić dokładnie to do czego w getcie przywykliśmy – grubo się mylił.

Proponuje Natanson fantastykę zdecydowanie nieortodoksyjną. Jest to jednocześnie rzecz bardziej literacko i językowo świadoma niż większość statystycznej produkcji SF. Wywiedziono tę powieść gdzieś od Artla, Kafki czy może od „Paradis" bliższego nam Głowackiego. „Złote Brighton" to ironiczna szarża, wyrafinowany koszmar senny, sensacyjne przejścia polskiego stypendysty angielskiej fundacji w dziwnie nierzeczywistym mieście angielskim, a właściwie w akademiku, w którym się dzieją rzeczy wzięte z narkotycznego transu, ze snu erudyty, erotycznego bądź sensacyjnego kina, z polskich doświadczeń, rojeń i kompleksów.

Powieść niewiele ma wspólnego z gatunkowymi konwencjami od Lema po Ballarda. Mimo że książkę wydało WL w serii fantastycznej, mimo że tak rzecz określił wydawca na tylnej okładce, mimo że rzucili się na tomik ludzie wykupujący książki z charakterystycznymi emblematami – powieść wygląda na zaimplantowaną w gatunku trochę na siłę. Jej odbiór jest niejednakowy, przetestowałem niewiele osób, jakąś szóstkę; zdecydowani przeciwnicy powieści i równie zdecydowani zwolennicy, dostrzegający świeżość propozycji dzielą się po połowie. Sam, jak mówię, nie do końca wiem co o tym sądzić. Dość wcześnie rozszyfrowałem książkę jako koszmar czy sen, bez zaglądania nawet do zakończenia, a mimo to nie przerywałem lektury. Rzecz nie jest nudna, mimo że wariacka przygoda goni przygodę, w wyniku czego napięcie utrzymuje się stale na tym samym poziomie. Autor miesza do tego mnóstwo drobnych erudycyjnych smaczków kulturowych, a jednocześnie przesyca książkę tym typem angielskiego humoru, że nie wiadomo, czy z autentycznym przejęciem pucuje czytelnikowi tandetę, czy przeciwnie – struga z czytelnika wariata.

Zbudowano bowiem „Złote Brighton" z polskich rojeń o komforcie, o magii, o wielkim świecie, o chętnych kobietach, o policyjnych intrygach, o czarach, spiskach, basenach, kortach... Pije się tu wódkę, zakąsza owocami, które znoszą kaca, ogląda filmy, na których występuje się samemu w sytuacji erotycznej, której nigdy nie dopełniło się w życiu, ucieka się przez miasto przed policjantami, spiskuje, jest się zamykanym w złocistych toaletach i pokojach i narażonym na atak piranii w komfortowym basenie, jest się obiektem czarów, ulega się przemianom i atakom silnego bólu głowy, myje się piękne plecy kobietom, których nigdy świadomie się nie skonsumuje, zaczyna i urywa rozmowy, by toczyć je jak gdyby nigdy nic po kilkudziesięciu stronach...

Myślę, że Natanson dobrze się bawi, bawi i nas, ale zarazem trochę drażni się z czytelnikami. Oferuje im tandetę, tyle że szczególną, bo w dobrym stylu. Jest to tombak błyszczący jak szczere złoto, a poza tym wykonano z niego cacko jubilerskie o kształtach dość wyrafinowanych. Ociera się autor o pornografię, wabi i kusi, ale jej nam nie darowuje. Symuluje chwilami powieść sensacyjną, awanturniczą, ale okazuje się – też nie o to mu chodzi. Udaje przez chwilę, że ukaże nam portret wyrachowanego polskiego naukowca-stypendysty-aktywisty, a tu nie... rzecz rozchodzi się w diabolizmach, satanizmach, przemianach, szaleństwie i magii. Też zresztą podanej dyskretnie i nie do końca. Nawet wódkę pije się w tej książce inaczej niż w innych polskich powieściach, mniej tragicznie, i rozrabia inaczej niż w życiu.

Nic nie jest tu dokończone, skonsumowane (o ile dobrze pamiętam Buñuel rozgrywał ten efekt w „Dyskretnym uroku burżuazji"), a jednocześnie wszystko ma gdzieś w książce ciąg dalszy i splata się w jedną wartką opowieść. Być może zmęczyłby nas tym Natanson i zanudził na śmierć, gdyby nie jego duża, przyznaję, wynalazczość fabularna, szczególny zmysł niedorzeczności i pełen dystansu, spokojny, oszczędny język, w jakim koszmar jest przekazywany czytelnikowi. Książka spełnia się w tym stylu i transie, zapewne nie chodzi w niej o nic więcej, tylko o wprawienie nas w szczególny stan zdziwienia, może zauroczenia. *„Warto też słuchać radia, oglądać TV, czytać gazety, pod warunkiem, że człowiek jest dobrze przygotowany i wie, jak je interpretować. To, co ci się wydaje nudne i bezsensowne, ma swoje ukryte drugie i trzecie dno".* To jeden z fragmentów powieści, przy którym mamy wrażenie, że jesteśmy dość dokładnie na tropie autora, że nadążamy i wiemy o co mu chodzi. Nielicznych fragmentów – trop zresztą jest zły, autor w żadnym razie nie gra w proste, demaskatorskie schematy SF socjologicznej.

Tak więc „nie wiem jak interpretować" tę powieść, „nie wydaje mi się nudna", choć może jest „bezsensowna". Tym szczególnym rodzajem bezsensu, który bywa wartością i dobrze smakuje po wywodach banalnie logicznych, wylewających kawę na ławę... Natanson proponuje czytelnikom ciekawy stosunek do rzeczywistości i nierzeczywistości, niezły język i duże, zręcznie wykonane, połyskliwe cacko literackie, które nie bardzo wiadomo do czego służy. Może kiedy zaczniemy się zastanawiać co mamy w fantastyce do powiedzenia nowego okaże się, że jest w tym cacku sporo części czy rozwiązań, które zechcemy sobie od Natansona pożyczyć.

Maciej Parowski

Jacek Natanson: *Złote Brighton*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986. Cena 250 zł.

Pamiętnik władcy

Najnowszą książkę Roberta Silverberga reklamowano jako powieść historyczną – czym jest w istocie, przyjdzie nam dopiero osądzić. Nie ma ona oczywiście wiele wspólnego z „Trylogią" lub Kraszewskim – co w pełni zrozumiałe – znacznie jednak dziwniejsze może się wydawać to, że niewiele ma w ogóle wspólnego z historią, choć przypisywano ją do gatunku na Zachodzie popularnego na równi z westernem i kryminałem. Autorzy historycznych paperbacków, a jest ich spora grupa, sięgają najczęściej po tematykę „płaszcza i szpady", idąc dobrze przetartym przez Dumasa-ojca śladem. Silverberg zaś, choć być może – przecież zdarzało mu się to już wcześniej – opuścił pole fantastyki, by szukać popularności gdzie indziej, jak zwykle daleko odbiegł od schematów. Sięgnął po tematykę mistyczną raczej niż historyczną, w czas narodzin cywilizacji, a bohaterem swej powieści uczynił... Gilgamesza.

„Nie mamy powodu wątpić, że Gilgamesz z Uruk był postacią historyczną" – pisze autor w posłowiu i zapewne ma rację. Lecz przecież tego króla znamy przede wszystkim z literatury, a nie z długich list władców, ocalałych sprzed 4500 lat. Niemałej trzeba byłoby odwagi, by próbować zmierzyć się z poematem o Gilgameszu, jednym z pierwszych i jednym z największych dzieł literatury wszystkich czasów. Silverberg nie miał też zapewne takich ambicji. Wybrał bohatera niewątpliwie fascynującego, zgrabnie uczynił go narratorem powieści, która przybrała formę pamiętnika władcy i poszedł szlakiem, który sam niegdyś przecierał.

Schemat fabularny „Gilgamesza króla" wywodzi się wprost z poematu – i u Silverberga jest on samotnym herosem szukającym nieśmiertelności – zaś jego realizacja do złudzenia przypomina wcześniejsze dzieła tego autora. Bo przecież samotnego silverbergowskiego bohatera o pewnych cechach nadczłowieka znamy już z „Człowieka w labiryncie". Podróż w celu poszukiwania nieśmiertelności jest centralnym motywem „The Books of Skulls" (Księgi czaszek) i – nawiasem mówiąc – ta nieco podobna do „Gilgamesza" formalnie (bohaterowie są narratorami) książka jest od niego znacznie ciekawsza między innymi dzięki osadzeniu akcji we współczesnej nam, racjonalnej Ameryce. Nie może dziwić również zainteresowanie autora historią i sprawna, przekonywająca konstrukcja świata innego niż nasz: ze znacznie większym epickim rozmachem temat ten został rozwinięty w trzytomowych „Kronikach Majipooru". Wydaje się więc, że znacznie właściwsze byłoby klasyfikowanie „Gilgamesza króla" nie jako powieści historycznej, lecz zapewne bardzo niekanonicznej fantastyki. A dokładniej mówiąc, nawet fantasy.

Do fantasy bowiem – nie do historii – należą bohaterowie o dwie głowy przerastający współczesnych, wojownicy budzący wśród wrogów i przyjaciół strach tak paniczny, że za życia obwołuje się ich bogami. W krainie fantasy, nie w świecie historii żyją ci, którzy oszczepem zabijają lwy, słonie chwytają żywcem i zmagają się z zagrażającym im złem, przybierającym – za sprawą bogów – postać nadnaturalnego, przerażającego byka. Do fantasy, a nie najniezwyklejszej nawet historii przypisać należy świat, w którym bogowie żyją, można ich dotknąć, można się od nich uczyć i można ich nawet pokonać. Niezwykła to jednak fantasy. Silverberg dokłada wielu starań by – z powodzeniem – balansować na najcieńszej nitce prawdopodobieństwa. Niektóre jego demony nie są demonami, lecz siłami natury, Gilgamesz zaś bywa nie tylko nadludzkim wojownikiem, lecz także „zwykłym" królem, wraz z gronem doradców rozwiązującym zawiły problem irygacji rolniczego i zagrożonego powodziami kraju. I choć, jak na bohatera fantasy przystało, setkami konsumuje uległe kobiety, kocha się także nieszczęśliwie, jak śmiertelnik, w kapłance, której nie może ze względów religijnych zdobyć i w walce z nią omal nie ponosi klęski. Co ważniejsze jednak, nie udaje mu się znaleźć upragnionej nieśmiertelności, a podróż, którą odbył, by zwyciężyć śmierć, kończy się zgodą na nią. *„Bałem się śmierci jak nikt przede mną, by jej ujść szedłem do krańca świata i w tej walce poniosłem klęskę, lecz kiedy wróciłem, już się jej nie lękałem. Taka jest prawda".* Tym oto stwierdzeniem kończy król relację o swym życiu, pozostawiając czytelnika nieco zakłopotanym. Nowy Silverberg okazał się nie w pełni nowy; jak zwykle jest interesujący, dający się doskonale czytać, biegły w konstruowaniu akcji, zręcznie poruszający się na pograniczach konwencji – lecz ta ograniczona doskonałość zaczyna już z lekka nużyć.

Krzysztof Sokołowski

Robert Silverberg: *Gilgamesh the King*, London 1985

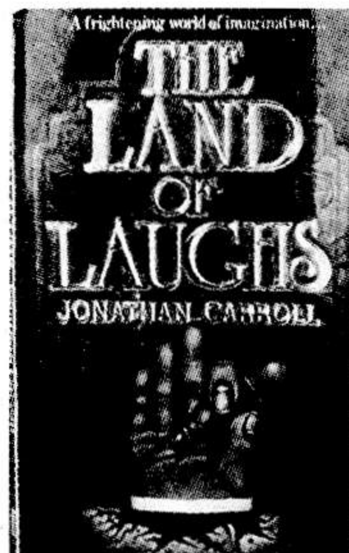
Początek spokojny – koniec makabryczny

Z autorem „Krainy Chichów" Jonathanem Carrollem rozmawia Franz Rottensteiner

Franz Rottensteiner: – *„Krainę Chichów" można, uważam, określić wieloma terminami, ale jest to przede wszystkim kawał świetnego pisarstwa, ze starannie nakreślonymi, wiarygodnymi postaciami, ze stosowną dozą niezwykłości. Książka ta pod wieloma względami realizuje klasyczną receptę M.R. Jamesa na historie o duchach: zacząć spokojnie, w codziennych dekoracjach, jakby nigdy nic... itd. Z pewnością zna Pan ten często przytaczany cytat. Czytając „Krainę Chichów", z dużym opóźnieniem stwierdzamy, że coś tu jest zdecydowanie nie w porządku i że czytamy w istocie powieść o sprawach nadprzyrodzonych. W dodatku mamy do czynienia z unikatową mieszanką humoru i horroru. Opowieści z dreszczykiem są zwykle albo na wskroś przerażające, albo na wskroś komiczne, jak utwory Thorne'a Smitha czy F.A. Ansteya. Ciekaw jestem, czy taki był od początku Pana zamysł? Czy należy Pan do tych autorów, którzy starannie planują utwór przed rozpoczęciem pisania, czy też do tych, którzy dają się zaskakiwać własnym bohaterom i pozostawiają im wiele swobody w działaniu i rozwoju?*

Jonathan Carroll: – „Chichy" były, jak sądzę, jedynym moim utworem, w którym od początku do końca stosunkowo dobrze wiedziałem, czego chcę. Zawsze fascynowali mnie pisarze-abnegaci, à la Salinger, Pynchon, B. Traven – zrobić swoje najlepiej jak się potrafi, a potem powiedzieć: gwiżdżę na zasłużone fanfary, które towarzyszą publikacji – to wydaje mi się wprost... heroizmem w epoce wieczorów autorskich, ubocznej produkcji reklamowej, której zyski liczą się w miliony dolarów, i tak dalej. Poza tym, jakiś czas temu natknąłem się na przepiękne opowiadanie Bellowa, „The Gonzaga Manuscripts", o facecie, który, zauroczony pewnym autorem, usiłuje odnaleźć jego zagubione dzieło. Finał opowiadania jest smętnie komiczny, ale ledwo skończyłem je czytać, poczułem, że coś mi się pichci pod czaszką. Tom Stoppard powiedział kiedyś w wywiadzie, że pisać można tylko o tym, co człowieka gryzie, a ten... motyw poszukiwania rzeczywiście mnie gryzł, i to nie na żarty. Startując z tego miejsca naszkicowałem coś luźno na pojedynczej kartce papieru i zabrałem się do roboty. Pisanie jest porządkowaniem własnego wewnętrznego chaosu, toteż mając podstawowe ramy opowieści, wrzuciłem do środka wszystko co kocham (i trochę z tego, czego nienawidzę): bullteriery (prawdziwy Kulfon, bullterier, śpi w tej chwili pod moimi nogami w całym majestacie swoich dwunastu lat), wieczne pióra, życie na amerykańskim Środkowym Zachodzie (praktykowałem je przez rok)... A najważniejsza była idea, na której trzymała się cała książka: że wielka sztuka, p r a w d z i w i e wielka sztuka, ożywa z chwilą dopełnienia. Po pierwszym wydaniu „Chichów" napisałem coś takiego do „Library Journal": „Opowieści grozy trochę za często idą na łatwiznę podejrzanych drzwi otwieranych po ciemku i skrzypiących podłóg, za często zwalają całą robotę na zielone monstra z pazurami. Pisząc »Krainę Chichów« starałem się opowiedzieć historię, od której czytelnikowi włos się zjeży na głowie właśnie dlatego, że potworem może być właściwie wszystko, co nas otacza: znajomi, jedzenie na stole, półki pełne książek, które czytaliśmy i uwielbialiśmy jako dzieci. Moja książka jest też po części opowieścią o cudzie i grozie tworzenia. Porusza problem osiągnięcia artystycznego: czy wielki pisarz jest zarazem wielkim alchemikiem, zdolnym przemienić słowo zapisane na papierze w człowieka w niebieskim kapeluszu, który rzeczywiście staje pod naszymi drzwiami? A jeżeli jest do tego zdolny – to czy jest to wspaniałe, czy potworne? Każdy czytelnik biorąc książkę do ręki podejmuje ryzyko. Jeżeli książka jest dobra, czytelnik wkracza w świat, nad którym sam nie panuje i który pozostawi go z uczuciem zadziwienia, ale często także wielkiego żalu. Mimo że doskonale rozumiemy motywy, nigdy nie darujemy George'owi z »Myszy i Ludzi«, że zabił Lennie'ego. Usiłowałem wykazać, że w literaturze, tak samo jak w życiu, to, co nas zachwyca, może się w każdej chwili odwrócić o sto osiemdziesiąt stopni i zranić nas lub przerazić bezgranicznie".

Co do schematu „początek spokojny – koniec makabryczny", wedle którego napisane są i „Chichy" i „Głos..." – często właśnie na tej podstawie stawiano mi zarzut, że nie podołałem, i w jednej książce, i w drugiej. Thomas Disch napisał w „Twilight Zone" (w trzy minuty po tym jak wydrukowali mi opowiadanie!!!) recenzję z „Głosu", w której utrzymywał, że pierwsza część książki, przedstawiająca w szczegółach wzajemny stosunek dwóch braci, jest fantastyczna, za to kiedy przechodzę do partii niesamowitych – daję plamę, i to na całego. Zdaje mi się, że ludzie wolą, żeby w powieści typu „horror" autor brał się do rzeczy już od pierwszej strony. King i Straub tak właśnie robią i wygląda na to, że odnoszą tym sposobem niejakie sukcesy (?!) – ale mnie to w gruncie rzeczy nie interesuje. Ja się lubię „bawić" z czytelnikiem. Czy nie po to w końcu jesteśmy – my, czytelnicy – żeby nas można było zaskoczyć, zaszokować, zamącić nam w głowach? Gość, który



zaczyna książkę od „Była burzliwa noc...", za szybko, jak na mój gust, odkrywa karty. Owszem, czytelnik od razu zaczyna się pocić ze strachu, ale jednocześnie wie, że się na coś zanosi: jest przygotowany, że to c o ś nastąpi. To trochę tak jakby autor mówił: „Wystaw szczękę, za chwilę ci w nią przyłożę". Może to podłe z mojej strony, ale ja chcę przyłożyć czytelnikowi właśnie w chwili, kiedy on się spodziewa, że go pogłaszczę (albo coś w tym stylu), tak żeby przeżycie czytania było maksymalnie szokujące i niepokojące. Z tego samego powodu w moim pisaniu jest sporo komizmu – czytelnik przygotowuje się na szok, a w zamian za to nagle wybucha śmiechem. Chcę ich zbijać z pantałyku, żądam, żeby porzucili wszelkie oczekiwania i otwarli się na to, co będzie, cokolwiek to będzie.

– To, co Pan mówi, brzmi logicznie, ale czy istotnie aż tak bardzo różni się od tradycyjnego podejścia pisarza? Przecież te same emocje może przeżyć czytelnik, który przypadkiem natyka się na książkę i autora, nie wiedząc, czego się ma po nich spodziewać. A w wielkim złym świecie, w którym wydawcy myślą schematami (słyszałem, że w USA jest pod tym względem jeszcze gorzej), pisarz bardzo szybko zostaje „zaszufladkowany". Jak długo więc można się „bawić" z czytelnikiem? Z chwilą, kiedy pisarz stanie się znany, czytelnicy będą z góry wiedzieli, czego się po nim spodziewać. Wtedy może się pan z nimi bawić, ile Pan chce, ale oni i tak będą wiedzieli, że prędzej czy później do akcji wkroczy horror, że bal się skończy i zacznie się „na serio". Jest w tym pewne niebezpieczeństwo. W swojej ekstremalnej wersji, tę szczególną teorię fantastyki sformułował Tzvetan Todorov (nazwisko, jak sądzę, niezbyt znane większości Amerykanów, ale tu należące do czołówki teoretyków literatury), zdaniem którego gatunek, do którego przynależy dany utwór, można zmienić przez proste dodanie lub ujęcie paru wersów (tak to przynajmniej wygląda w polemicznym ujęciu Lema). Ja osobiście oceniam książkę jako całość, a wobec tego rozczarowujące zakończenie, czy mało wiarygodna motywacja, potrafią zniszczyć całe poprzednie wrażenie – co jest być może niesprawiedliwością w stosunku do autora, który dał nam przedtem sporo przyjemności. Tak właśnie czułem się wobec „Głosu naszego cienia": czy to zakończenie istotnie było konieczne? Zbyt wiele opowieści grozy kończy

się szaleństwem lub śmiercią. Zupełnie inne uczucia towarzyszą lekturze takiego, dajmy na to, Cortazara.

– Jeżeli chodzi o pytanie o skuteczność zabawy z czytelnikiem, to jak dotychczas, miałem szczęście do recenzentów i do czytelników. Jack Sullivan napisał w „Herald Tribune", że udało mi się stworzyć coś zupełnie nowego – właśnie w „Głosie" (w porównaniu z „Chichami"). W tym samym duchu utrzymanych jest kilka innych recenzji. Myślę, że ma Pan rację mówiąc, że czytelnicy szufladkują autora na podstawie tych jego utworów, które już znają. I jeżeli miałbym już zostać zaszufladkowany, to najprawdopodobniej jako ten, co zaczyna opowieść normalnie, a potem, w połowie drogi, skręca za ciemny róg w obszar Krainy Nigdy-Nigdy. Tak samo dzieje się w mojej najnowszej książce, więc chyba leży mi ten styl, skoro stosuję go już po raz trzeci. Dlaczego? Bo właśnie tak zaczynają się najczęściej opowieści w mojej głowie. Dam Panu przykład: kiedy zaczynałem „Kości Księżyca", miałem tylko pomysł na dwoje ludzi, mieszkających w bloku nad facetem, który pewnego pięknego dnia za pomocą siekiery morduje własną matkę i siostrę. Na początek miałem wyłącznie tyle: narratorka, jej niezwykły mąż i Chłopiec z Siekierą. Napisałem tyle i wyjechałem na wycieczkę do Grecji. Kiedy leciałem samolotem, ni stąd, ni zowąd pojawił mi się w głowie fragment prozy. Była to jedyna inspiracja twórcza, jakiej na razie doznałem. Cytuję: „Pamiętam, morze pełne było ryb o tajemniczych imionach – Mudrake, Corn Sweat, Yasmuda – a za dnia niewiele było do roboty. Chmury jak łuki przesuwały się po niebie. Ich muzyka była srebrzysta i smutna. Twój ojciec jeździł szybkim sportowym samochodem, który wydawał odgłos wesołej pszczółki i woził mnie nim gdzie chciałem". Dosyć dziwaczne, nie? Mniejsza o to, wiedziałem, że ten fragment musi gdzieś wejść, tylko gdzie? Wpadłem na pomysł, że kobieta śni cykl snów o fantastycznej krainie zwanej Rondua, gdzie dzieją się rzeczy niezwykłe. Sny ciągną się i ciągną, stają się coraz bardziej obecne w jej życiu, aż wreszcie pewnego dnia zaczynają się krzyżować – w sensie dosłownym – z jej codzienną egzystencją. Dalej wiedziałem już, dokąd mam iść. Znów byłem w znanym punkcie: początek spokojny, normalny, a im dalej, tym dziwniej. Dlaczego? Bo życie, jak ja je widzę, bez przerwy balansuje na granicy czegoś takiego. Zdarzenia niezwykłe zaskakują nas jak grom z jasnego nieba, stajemy wobec nich z rozdziawioną gębą, ale one na szczęście zawsze szybko znikają, równie nagle jak się pojawiają. A co by było, gdyby tak zostały na dłużej, gdyby nie znikały? Jak wizyta Abbeya w Galen, jak duchy, które wracają, żeby straszyć Lennoxa w Wiedniu, jak sny mojej nowej bohaterki w „Kościach"? Kiedy czytam takiego autora jak Cortázar (jeden z moich idoli), zawsze po przeczytaniu utworu mam wrażenie, że świat nie jest całkiem jednoznaczny. Oczywiście, zdarzenia z utworu Cortazara są niemożliwe w prawdziwym życiu – ale gdyb były możliwe? I skąd pewność, że jutro nie będą możliwe? To jest właśnie to, co lubię. A co do kończenia powieści śmiercią lub szaleństwem...no cóż, tak się te historie kończyły w mojej wyobraźni, kiedy już dochodziłem do ostatnich stron. Poza tym, wcale nie jestem pewien, czy Lennox w zakończeniu „Głosu" jest aż tak bardzo stuknięty – może to wszystko istotnie się zdarzyło i Lennox ma wszelkie podstawy sądzić, że będzie dla niego lepiej, jeżeli zostanie na wyspie w Grecji, bo inaczej brat wróci i jeszcze gorzej zamąci mu w głowie. Może Abbey rzeczywiście widział w Galen to, co widział. Może tak. Z przyjemnością wysłucham pańskiej wersji zakończenia „Głosu" – jakie zakończenie byłoby lepsze? Pytam z autentycznej ciekawości. Mam tylko nadzieję, że to, co pan zaproponuje, nie każe mi zazgrzytać zębami z zazdrości, bo pańskie zakończenie okaże się o wiele słuszniejsze od mojego.

– To co Pan mówi o „Kościach Księżyca" brzmi fantastycznie, nie mogę się doczekać tej książki. Niezależnie jednak od tworzywa fabularnego, które w „Krainie Chichów" oceniam znacznie wyżej niż w „Głosie naszego cienia", zawsze uderzała mnie w Pańskich książkach jakość postaci, z pewnością nie mniej istotna niż akcja czy temat. Pańscy bohaterowie są wyrazistymi postaciami, niezależnie od wymogów akcji. To rzadka cecha w literaturze niesamowitej (jeżeli wolno mi ją tak określić), gdzie postacie funkcjonują zazwyczaj jako dekoracyjne elementy tworzywa utworu.

– Jeżeli chodzi o to, że moje postacie są „indywidualnościami", jak był pan łaskaw je nazwać, to jest to dla mnie wyjątkowo ważne. Należę do tych autorów, którzy zaczynają od wymyślenia bohatera, a dopiero potem umiejscawiają go w sytuacji. Niektórzy pisarze postępują odwrotnie: najpierw tworzą sytuację lub scenerię, a dopiero potem kogoś w nie wpasowują – ale to nie ja. Na przykład nową książkę, „Kości Księżyca", zacząłem od kobiety – bystrej, zdolnej, pociągającej... Jak ona wygląda? Jak wygląda jej życie? – to był mój punkt startowy. Myślę, że wiem, dlaczego literatura fantazji i grozy tak często bywa głupawa: postacie przypominają rekwizyty z hollywoodzkiej dekoracji – wystarczy je obejść od tyłu, żeby zobaczyć kije, na których są osadzone. Dlatego właśnie, dlatego, że nie możemy ich dobrze poznać, bo są... nie całkiem ludzkie, możemy reagować jedynie na horror, który je spotyka, a nie na to, co ten horror z nimi robi, co przecież – kiedy się nad tym zastanowić – jest właśnie największym horrorem. Sądzę, że jedną z przyczyn wielkiej popularności Kinga jest fakt, że King to rozumie i czyni swoje postacie przynajmniej interesującymi i prowokującymi wyobraźnię. Dzięki temu kiedy w ich życie wkracza horror, czytelnik im współczuje. To samo mogę powiedzieć jeszcze tylko o jednej znanej mi powieści grozy: o książce Ann Rivers Siddons, „The House Next Door" (Dom po sąsiedzku). Ciekawa rzecz: znajomy filmowiec z Hollywood mówił mi, że większość filmów grozy robi klapę, szczególnie filmowe wersje książek Kinga. „The Shining" (Lśnienie), owszem, było przebojem, ale nie takim znowu wielkim. Myślę, że to dlatego, że kinomani reagują na horror wprost – na to, jak film potrafi ich przestraszyć – a nie na skutki działania horroru na protagonistę. Weźmy tych nastolatków, którzy piszczą i zasłaniają oczy. Katharsis? Tak. Wiarygodność psychologiczna? Nie.

– Skoro już wspomniał Pan kilku pokrewnych pisarzy, to czy Pan, jako czytelnik, jest fanem gatunku fantazji, a przynajmniej jego obserwatorem? Jeżeli tak, to co Pan sądzi o tym gatunku? Mam tu na myśli szczególnie takich autorów jak Le Fanu, H.P. Lovecraft, Ray Bradbury, i tak dalej – cały kanon.

– Czy jestem fanem gatunku fantazji? Nie, raczej nie. W gruncie rzeczy, jestem neofilem (nie mylić z nekrofilem) i skłaniam się raczej ku literaturze współczesnej. Moi ulubieni autorzy to James Salter, Mark Helprin, Cortázar, Stephen Millhauser, Lem, Stanley Elkin, i jeszcze paru. Naturalnie, czytałem sporo autorów gatunku fantazji, ale, z małymi wyjątkami, uważam, że – i dawni, i współcześni – są to, jak ich nazywam, „pisarze idei". Przez to określenie rozumiem, że facet ma pomysł na książkę, może nawet świetny pomysł, ale cała rzecz rozłazi mu się w pisaniu, bo jedyne, co go obchodzi, to żeby czytelnik dostrzegł jego i d e ę i w konsekwencji, za nią właśnie go podziwiał. Rozwój akcji rzadko wykracza poza schematy i sprawdzone sytuacje, bohaterowie rzadko walczą o wiarygodność. A co najgorsze, te książki są z reguły cholernie długie. Odnosi się wrażenie, że autorzy uwielbiają sam proces pisania, a nie to co piszą. Bradbury'ego lubię bardzo. Tu ciekawostka: w wydanej przez laty przez Bradbury'ego antologii „Timeless Stories For Today and Tomorrow", tylko jeden autor miał aż dwa opowiadania, a tym autorem był – ahem – mój ojciec, Sidney Carroll. Z tego powodu ojciec i Bradbury przyjaźnili się przez długie lata, a jedno z moich najwcześniejszych wspomnień dotyczy wizyty w domu Bradbury'ego, kiedy byłem b a r d z o młody i kiedy zabrano mnie do garażu o ścianach zawieszonych jego kolekcją masek. Wydaje mi się też, że Bradbury miał psa imieniem Ryszard Zajęcze Serce. Mój tata, na dobre czy złe, porzucił przed laty pisanie opowiadań na rzecz pisania dla filmu. Dochrapał się swoistej pozycji obiektu kultu, bo to on właśnie napisał scenariusz do filmu Paula Newmana „The Hustler". Jest też moim najsurowszym krytykiem. Jak również najwierniejszym wielbicielem. Odwrotnie niż Tom Abbey i jego tatuś, mój ojciec i ja jesteśmy w doskonałej komitywie.

– Jakich ma Pan mistrzów, jako pisarz? Czy są autorzy, którzy mają na Pana wpływ, lub tacy, którym chciałby Pan dorównać, albo ich przewyższyć?

– Jako pisarz, nie wzoruję się specjalnie na nikim. Myślę, że w tej chwili w obrębie języka angielskiego najpiękniej pisze Salter, zwłaszcza w „Light Years" (Lata świetlne) – powieści o małżeństwie i zdradzie. Helprin ma wspaniały dar wyobraźni – mam na myśli szczególnie wybór „Ellis Island". Moim marzeniem jest pisać pięknie, sugestywnie i z wyobraźnią. To diabelnie wysokie wymagania, ale dobrze jest zaszczepić sobie w głowie takie marzenie i na nie pracować. Ile razy ktoś zadaje mi pytanie „jak kto" piszę, myślę, w sensie wrażliwości, najbardziej o Cortazarze. Świat jako *trompe l'oeil*, rzeczywistość jako coś, na czym często nie można polegać totalne pomieszanie. Cortázar mimo wszystko zdawał się uważać ten dylemat za interesujący, a miejscami wręcz wspaniały, zwłaszcza w takich opowiadaniach jak zamieszczone w tomie „Dla wszystkich ten sam ogień". Jednak w moich powieściach i opowiadaniach bohaterowie odkrywszy przewrotność świata (i rzeczywistości) doświadczają najczęściej przerażenia, albo – dosłownie – zniszczenia. Proszę nie myśleć, że uważam się za zawodnika z ligi Cortázara. Chciałbym do niej należeć, ale





całe podobieństwo jakie między nami widzę sprowadza się do tego, że jak sądzę, przepisano by nam takie same szkła do patrzenia na świat. Czy to krótkowzroczność, czy nadwzroczność, czy jeszcze coś innego – myślę, że wzrok mamy podobny.

– Książki odgrywają istotną rolę w pisarstwie fantastycznym, czy to jako źródła wiedzy, mądrości i zła, czy też jako alternatywne rzeczywistości literacie lub quasi-realne. Nierzadko bywa, że te rozmaite rzeczywistości przeplatają się lub przemieniają jedna w drugą. Najsłynniejszym przykładem przemiany kreacji w rzeczywistość jest oczywiście Borgesowski „Tlön, uqbar i orbis tertius", także „Nie kończąca się historia" Michaela Endego, ale można przy tej okazji wymienić również taką papkę powieściową jak „Typewriter in the Sky" (Maszyna do pisania w niebie) L. Rona Hubbarda (który jest lepiej znany jako twórca scjentologii niż jako autor fantazji). A teraz mamy „Krainę Chichów". Widać, że książki Pana fascynują. Co w nich jest takiego frapującego dla Pana jako autora fantazji?

– Nie myślę o sobie jako o autorze fantazji, tak się jednak składa, że wszystko co dotychczas robiłem, rzeczywiście kwalifikuje się do gatunku fantasy. Ale też nie chcę być fałszywie skromny. Niedawno usiadłem do pisania swojej „dużej" książki, będącej w zamyśle klasyczną „love story" o trzech mężczyznach i jednej kobiecie (mniej więcej tak). Ta książka kiedyś ujrzy światło dzienne, ale pisząc ją (napisałem około jednej czwartej) uświadomiłem sobie, że jestem jeszcze za młody, żeby się do niej zabierać. Za młody, gdyż taka książka wymaga znacznie więcej mądrości i wrażliwości niż mam ich obecnie. Krótko mówiąc, na razie czuję się swobodnie działając na polu, które nas obu interesuje, ale uważam, że pisarz – jeżeli ma się rozwijać – powinien ćwiczyć mięśnie na różnych „typach" pracy i mam przeczucie, że prędzej czy później i ja się przekwalifikuję. Kiedy byłem w Hollywood, pewien producent filmowy zaproponował mi pracę nad scenariuszem typu „love story". Propozycja była interesująca i kusiła mnie (jeszcze jak!), ale tu czekało na mnie sporo roboty, więc odmówiłem. Jestem za daleko od tematu.

Wracając do pytania – dlaczego książki są takie ważne? Dlatego, że jak wszelka dobra sztuka, pozwalają nam zobaczyć świat przez inną parę oczu, a to największy dar, jaki możemy otrzymać. Fakt, że artysta czuje potrzebę darowania nam tego, nie czyni tu żadnej różnicy: artyści oferują nam swoje widzenie za frajer – w zasadzie – a to czyni nasz świat terenem bardziej rozległym, bardziej interesującym. To z kolei pasuje jak ulał do koncepcji książki jako klucza do rzeczy dziwnych i niezwykłych, którą to koncepcję napotykamy w literaturze fantastycznej: jeżeli przeczytamy właściwą książkę (czy też właściwe Słowo, jak w przypadku dzieła Borgesa), stajemy się uprawnieni do poznania tajemnic świata. A na poziomie bardziej przyziemnym, odnosi się to do każdej przyzwoitej książki, którą się przeczytało. Tajemnice świata przechowywane są w umysłach różnych ludzi. Niektórzy z nich piszą, my to czytamy – i wówczas poznajemy tajemnice (ich tajemnice) – oto cały sens poszukiwań tej odmiany złotego runa. Jeżeli o mnie chodzi, to należę do tych czytelników, którzy, jak Holden Caulfield z „Buszującego w zbożu", po przeczytaniu książki, która ich zachwyciła, mają ochotę zadzwonić do autora i powiedzieć mu, jakie to było wspaniałe. To samo dzieje się z Tomaszem Abbeyem, tyle że on ulega obsesji na punkcie Marshalla France'a, która – jak każda obsesja – jest niebezpieczna w skutkach.

– Fakt pozostaje faktem: Pańskie utwory mieszczą się w nurcie fantastycznym, przynajmniej dotychczas. Może więc fantastyka jest jedyną formą wyrażania tego, czego nie da się wyrazić inaczej? Co Panu w tej dziedzinie najbardziej odpowiada?

– Co mi najbardziej odpowiada w literaturze fantastycznej? Odpowiem jak lizus: to, co zebrał pan w swojej ostatniej antologii. Pokrywa się to w znacznym stopniu z moimi zainteresowaniami dotyczącymi gatunku fantazji. Uwielbiam kuglarzy słowa (jak Cortázar i Marquez), którzy dowcipkują sobie swobodnie aż do momentu, kiedy plastykowa pukawka, którą się bawią, zaczyna strzelać ostrymi nabojami – i to prosto w ciebie (Lem) – i którzy po lekturze pozostawiają cię silnie poturbowanego, z uczuciem niepokoju (Borges, Buzzati). Nie lubię opowieści o mieczach i smokach, ani H-I-P-E-R-B-O-L-I Rona Hubbarda, z uwzględnieniem karygodnego języka (styl!). Co do horroru, mogę zrozumieć, dlaczego rzeczy Steve'a Kinga mają ostatnio takie wzięcie: bo one są przerażające, a ponadto łatwo dostępne i trafiają w samo sedno koszmarnych snów większości ludzi – na przykład supermarket, w którym straszy, jak w „The Mist" (Mgła). Ciekawe, że ile razy czytam recenzje z książki Kinga w czymś takim jak „New York Times Sunday Book Review", odnoszę nieodparte wrażenie, iż recenzenci są w kłopotliwej sytuacji, gdyż w głębi duszy zachwycają się książką, ale nie chcą się do tego publicznie przyznać. Co za głupota. Przecież King nie próbuje „zaliteracczyć" czytelnika na śmierć, on chce tylko wciągnąć go w akcję i napędzić mu stracha, co mu się przeważnie udaje, kiedy ma wenę. Dlaczego taki recenzent nie potrafi tego zwyczajnie pochwalić i kropka? Zdaje mi się, że to dlatego, że King jest człowiekiem sukcesu. Czy to nie dziwne, że w Ameryce jest ten ciągły przymus osiągnięcia sukcesu, a kiedy go już osiągniesz, każdy marzy tylko o tym, żeby cię pognębić i wyszydzić? Tyle o schizofrenii. Może właśnie z tego powodu od dwunastu lat siedzę tutaj. Jedną z lepszych powieści typu „horror", jakie w ostatnich latach czytałem, jest „The House Next Door" Anne Rivers Siddons. Poza tym nie czytuję zbyt wiele horroru, najwyżej od czasu do czasu jakieś opowiadanie w antologii. Ktoś przysłał mi egzemplarz nowej antologii Ramseya Campbella dla wydawnictwa Pan, „Terror Omnibus", ale zerknąłem na spis treści i zobaczyłem nazwiska autorów, którzy zawsze dotąd pozostawiali mnie bez wrażenia. Za dużo tam „Jednym ciosem ściął głowę dziecka i z szatańskim uśmieszkiem patrzył, jak mała główka wiruje, zataczając chwiejne kręgi po splamionej krwią podłodze". Subtelność równa uderzeniu młotkiem w kciuk. Jestem gorącym orędownikiem straszenia bez wykrwawiania (czytelnika) na śmierć. Im mniej (lipy), tym więcej (treści) – że sparafrazuję stare porzekadło.

Przełożyła
Jolanta Kozak

Czechosłowacka fantastyka naukowa w roku 1986

Rok fantastyczno-naukowy rozpoczyna się w Czechosłowacji zazwyczaj w kwietniu, w Pardubicach. Na Parconie '86 oceniany był dorobek wydawniczy sezonu 1985. O imprezie i przyznanych na niej nagrodach pisaliśmy w „Fantastyce" nr 8/86.

Z ogromnym zainteresowaniem oczekiwany był w 1986 roku trzeci tom jednego z czołowych autorów czeskiej literatury fantastyczno-naukowej Jaroslava Veisa (ur. 1946). Jedenaście opowiadań „Moře času" (Morze czasu) tworzy cykl opowieści o życiu i twórczości ekscentrycznego pisarza Forcefama White'a. Veis nie sprawił zawodu swym miłośnikom.

Z nowymi opowiadaniami wystąpił również Ladislav Szalai (ur. 1951), który stał się odkryciem ostatnich lat. „Zapomenutý vesmír" (Zapomniany wszechświat) jest jego drugą, samodzielną publikacją, wydaną niestety w bardzo niskim nakładzie (5 tys. egzemplarzy). Najsilniejszym atutem Szalaia jest przede wszystkim poczucie humoru, które znalazło swój wyraz w jego kolejnej książce „Tajná společnost SF" (Tajne stowarzyszenie SF) napisanej wspólnie ze Zdeňkiem Rosenbaumem (ur. 1945).

Akces do science fiction potwierdził swoją drugą publikacją Eduard Martin (ur. 1951). Podobnie jak w poprzedniej książce, również w tomie „Největší skandál v dějinách lidstva" (Największy skandal w dziejach ludzkości) tematem utworu stała się miłość, a przede wszystkim kwestia małżeństwa.

Spośród autorów głównego nurtu, do SF dołączył satyryk Miroslav Skála (ur. 1924). Jego powieść „Tamtamy" rozgrywa się na bezludnej wyspie, gdzie uciekli ludzie niezadowoleni ze współczesnej cywilizacji. W książce teoretyka i krytyka literatury Otokara Chaloupki (ur. 1935) „Jenom zrnko písku" (Tylko ziarnko piasku), bohater buduje pierwszą maszynę czasu i pokonuje barierę tempolarną.

W roku 1986 nastąpił dalszy rozwój fandomu; liczba klubów przekroczyła już 50 i wiele z nich przeprowadziło regionalne imprezy. Do udanych należy zaliczyć słowacki TATRACON, pilzneński PLCON i CHRONOCON, brneński DRACON i praski MINICON. Na Miniconie zostały ogłoszone wyniki ankiety na najpopularniejsze z utworów SF przełożonych na język czeski. Oto wynik:

1. John Wyndham – „Dzień tryfidów"
2. Brian W. Aldiss – „Non stop"
3. Arthur C. Clarke – „Odyseja kosmiczna"
4. A. i B. Strugaccy – „Piknik na skraju drogi"
5. Arthur C. Clarke – „Spotkanie z Ramą"

Za najpopularniejszych pisarzy SF uznano Arthura C. Clarke'a, Stanisława Lema, braci Strugackich, Isaaca Asimova i Johna Wyndhama.

W kategorii opowiadań zwyciężyło opowiadanie Daniela Keyesa – „Kwiaty dla Algernona".

Pavel Weigel
nasz czechosłowacki korespondent

1976 (dokończenie)

1161. von DITFURTH Hoimar: *Dzieci Wszechświata.* Tłum. [z niem.] Anna Danuta Tauszyńska. Wstęp Maciej Iłowiecki. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 404, nlb.8, tabl. 10. 20 000 egz. – Biblioteka Myśli Współczesnej.
1162. DOLIŃSKA Wiktoria: *Co mówią nasze sny?* Posłowie Jan Madowski. Kraków, Wyd. Literackie. 16° ss. 125, nlb. 2. 50 000 egz.
1163. DONIMIRSKI Andrzej: *Przybysze z Kosmosu – rzeczywistość czy fantazja? O niektórych hipotezach* [dotyczących] *pochodzenia naszej cywilizacji.* Katowice. Wyd. Śląsk. 16° ss. 282, nlb. 2, tabl. 18, portr. 1, mapy, wykresy, bibliogr. 30 000 egz.
FAKTY, hipotezy, zagadki. W: *Kroki...* – zob. ASF.
1164. FUCHS Walter R [obert]: *Pod obcymi słońcami.* [Tłum. z niem. i przedm. Marcin Kubiak]. Warszawa. Wiedza Powszechna. 8° ss. 209, nlb. 3, tabl. 12. 20 000 egz. – Złota Seria Literatury Popularnonaukowej („wendtowska").
★ **1165.** (?) HELLER Michał: *Początek świata.* Kraków. Wyd. „Znak". 8° ss. 195, nlb. 1. 5 000 egz.
1166. JETHON Zbigniew, NOWICKA Krystyna: *Rozdroża nauki.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 130, nlb. 2. 90 000 egz. – Biblioteka „Szczęśliwej siódemki".
1167. [KONDRATOV Aleksandr]: *Tajemnice trzech oceanów.* Tłum. z ros. Magdalena Hornung. Przedmowa S. Kalenik. Wyd. II. Warszawa. Wiedza Powszechna. 8° ss. 271, nlb. 1, tabl. 4. 20 000 egz. – Złota Seria Literatury Popularnonaukowej („wendtowska"). – Na k.tyt.aut.: Aleksander Kondratow.
1168. [KONDRATOV Aleksandr]: *Zaginione cywilizacje.* Tłum. [z ros.] Stefan Michalski. Wyd. III. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 236, nlb.6, tabl. 36. 30 000 egz. – Na k.tyt.aut.: Aleksander Kondratow.
1169. MARKS Andrzej: *W poszukiwaniu kosmitów.* Warszawa. Lud. Spółdz. Wyd. 16° ss. 250, nlb.2, tabl.12. 10 000 egz.
1170. MUSTAFA Akbara Jussuf [właśc. MARCINKOWSKI Józef]: *Pamiętnik jasnowidza.* Wstęp Marian Pilot. Warszawa. Lud. Spółdz. Wyd. 16° ss. 260, nlb.3 50 000 egz. – Właśc. okultystyczne.
1171. NOWACKI Edmund, ANIOŁ Andrzej: *Nowe oblicze biologii.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss.270, nlb.2. 10 000 egz. – MS/ASF.
1172. [OKONOV Edgar, VARDĚNGA Gěnrich]: *Wszechświat cząstek.* Tłum. z ros. Ewa Skrzypczak. Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 16° ss. 343, nlb.1. 5 000 egz. – Biblioteka Problemów, t. 217. – Niektóre rozdziały dotyczą atomistycznych „zagadek nauki" – Na k.tyt.aut.: E. Okonow, G. Wardenga.
1173. PŁUŻAŃSKI Marek: *Siedem sensacji w nauce.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° s.157,nlb.3. 30 000 egz. – Biblioteczka „Szczęśliwej siódemki".
1174. TREPKA Andrzej: *Życie we Wszechświecie.* Katowice. Wyd. „Śląsk", 16° ss. 364, nlb.4. 20 000 egz.

Futurologia (F):

1175. HOLLANEK Adam: *Błysk milionów świec.* Warszawa 1975 [antydat.]. Książka i Wiedza. 8° ss. 249, nlb.2. 6 000 egz.
1176. KOŁODZIEJCZAK Bugusław: *Co będzie jutro? Rozważania o przyszłym polu walki.* Warszawa. Wyd. MON. 8° ss. 246,nlb. 2. 3 000 egz. – Biblioteka Wiedzy Wojskowej.
1177. KOPECKI Kazimierz: *Człowiek w świecie energii.* Warszawa. Książka i wiedza. 8° ss. 389, nlb.2. 3 000 egz. – Prognozy. Perspektywy.
1178. RYCHARD Juliusz: *Stulatek – człowiek w średnim wieku.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 122, nlb.2. 20 000 egz. – Opowieści 2000 roku.
1179. SZANIAWSKI Ignacy: *Zawód i praca. Między diagnozą i prognozą.* Wyd. II rozsz. Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 8° ss. 402, nlb.1, tabl.1, bibliogr., err. 2 000 egz.

1977

SF dla dorosłych (ASF):

1180. BATEROWICZ Marek: *Rękopis z Amalfi.* Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 69, nlb.3. 10 000 egz. – Debiuty.
1181. [BULYČĚW Kirill]: *Żuraw w garści.* [GOLOVANOV Ăreslav, BUSMAN Ŭlij]: *Kontakt.* Tłum. [z ros.] Tadeusz Gosk. Waszawa. Iskry. 16° ss. 243, nlb.3. 50 000 egz. – Fantastyka, Przygoda – Na k.tyt.aut.: Bułyczow Kirył, Jarosław Gołowanow, Julij Gusman. – Właśc. nazw. pierwszego aut.: Igor' Možějko.
1182. CHRUSZCZEWSKI Czesław: *Fenomen kosmosu.* Powieść. Wyd. II. Poznań. Wyd. Poznańskie. 8° ss. 255, nlb.5. 30 000 egz.
1183. DWORAK Zbigniew, DANAK Roman: *Jana Ciągwy władza nad materią.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 288, nlb.4. – Fantastyka, Przygoda. – Autorzy znani też pod wspólnym pseudonimem: Zbigniew Skawski.
1184. LEM Stanisław: *Eden.* Wyd. V. Warszawa. Iskry. 16° ss. 361, nlb.2. 50 000 egz. – Fantastyka, Przygoda.
1185. LEM Stanisław: *Maska.* Wyd. II. Kraków. Wyd. Literackie. ss. 273, nlb.3. 50 000 egz.
1186. *ODKRYWANIE planety.* Antologia opowiadań pisarzy krajów socjalistycznych. Aut.: Aleksandr Siłěckij [i in.]. Red., wstęp i oprac. Andrzej Wójcik. Warszawa ZG SZSP. Centrum Literackie Gremium – OKMFiSF. 4° ss. 56. 220 egz.
1187. PETECKI Bohdan: *Messier 13.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 257, nlb.3. 50 000 egz. – Fantastyka, Przygoda.
POŁOM S.: *Siódmy...* – zob. AF.
1188. POZNER Vladimir: *Księżycowa nostalgia.* Tłum. z franc. Ewa Fiszer. Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 286, nlb.2. 40 000 egz.
SADZIEWICZ M.: *Powrót...* – zob. AF.
1189. [SNĚGOV Sěrgěj]: *Dalekie szlaki.* Tłum. [ros.] Tadeusz Gosk. Wyd. II. Warszawa. Iskry. 16° ss. 550, nlb.2. 50 000 egz. – Fantastyka, Przygoda – Na k.tyt.aut.: Siergiej Snięgow.
1190. [STRUGACKIJ Arkadij, STRUGACKIJ Boris]: *Piknik na skraju drogi.* Wyd. II. *Las.* Wyd. I. Tłum. [z ros.] Irena Lewandowska. Posłowie Stanisław Lem. Kraków. Wyd. Literackie 16° ss. 287, nlb.4. 20 000 egz. – Stanisław Lem poleca. – Na k.tyt.aut.: Arkadij i Borys Strugaccy.
TRUCHANOWSKI K.: *Dzwony...* – zob. U.
1191. [VARŠAVSKIJ Il'ă, BILĚNKIN Dmitrij, GRĚŠNOV Michail]: *Kwiaty Albarossy.* [Tyt. okł.]. Tłum. z ros. Michał Siwiec. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 78, nlb.6. 30 000 egz. – Stało Się Jutro. Opowiadań fantastycznych zbiór dziewiąty. – Na k.tyt.aut.: Ilia Warszawski, Dymitr Bilenkin, Michał Griesznow. – Na k.tyt. tytuły wszystkich opow.
VONNEGUT K.: *Pianola. Śniadanie...* – zob.U.

cdn.

Przygotował Jacek Izworski

Folkcon'87

Już po raz trzeci, po „Dniach Fantastyki '84" i imprezie sprzed dwu lat „SF – różne media", mieliśmy przyjemność współpracować z prężnie działającym staszowskim klubem miłośników fantastyki „Gea". Tym razem tematem przewodnim spotkania pisarzy, krytyków i miłośników fantastyki z całego kraju były związki fantastyki z folklorem, baśnią i mitem, a także literatura „fantasy". Spotkanie to, nazwane „Folkconem", odbywało się w dniach 7–10 maja w ośrodku wypoczynkowym tarnobrzeskiego „Siarkopolu" w Chańczy koło Staszowa. Lista instytucji, które przyczyniły się do zorganizowania „Folkconu" jest długa i oprócz klubu „Gea" oraz naszej redakcji obejmuje Staszowski Dom Kultury, Wojewódzki Dom Kultury, a także Wojewódzką Bibliotekę Publiczną w Tarnobrzegu, Muzeum Okręgowe w Sandomierzu, Radę Główną PSMF i zarząd miejsko-gminny ZSMP w Staszowie. Okazało się, że stare przysłowie o sześciu kucharkach nie zawsze się sprawdza – opracowany wspólnym wysiłkiem organizatorów program był bardzo bogaty i nie sposób napisać tu o wszystkim, co w ciągu tych czterech dni działo się w Staszowie i jego okolicach.

Jeszcze przed oficjalnym otwarciem konwentu rozpoczęły się pokazy filmowe, trwające do zakończenia imprezy (w programie przeglądu znalazły się między innymi takie przeboje światowego kina SF, jak na przykład „Legenda" Ridleya Scotta). Przez cały czas czynny był też salon gier komputerowych, oblegany tłumnie przez najmłodszych miłośników fantastyki. Jednakże właściwa inauguracja „Folkconu" odbyła się w kilka godzin później; oprócz wystąpień organizatorów, uświetniło ją wręczenie dorocznych nagród PSMF „Złota Sepulka". Za rok 1986 nagrody przyznano w następujących kategoriach: książka roku – „Don Wollheim proponuje" (Wydawnictwa „Alfa"), debiut roku – Grzegorz Komorowski, inicjatywa wydawnicza roku – seria gier o tematyce fantastycznej firmy „Encore", fanzin roku – „Collaps". Nagrodę za działalność klubową przyznano gdańskiemu klubowi miłośników fantastyki „Collaps".

Jednym za najistotniejszych składników programu imprezy była jej część seminaryjna. O ludowych korzeniach fantystyki, baśni, micie i „fantasy" mówili w Staszowie m.in.: Janusz Myjak, Grażyna Lasoń, Małgorzata Skórska, Grzegorz Filip i Janusz Banaszewski. Oprócz nich trzy prelekcje wygłosił warszawski kolekcjoner, Wiktoryn Grąbczewski, od wielu lat wytrwale tropiący diabła w polskich baśniach i podaniach. Wystąpienia pana Grąbczewskiego przyjęto z dużym zainteresowaniem, podobnie jak i przywiezioną przez niego wystawę. Niestety, ze względów technicznych mógł on przedstawić w Staszowie zaledwie nieznaczną część zbiorów ze swojego prywatnego „muzeum diabła".

Najwięcej jednak emocji rozbudził wśród gości konwentu „spór o polską fantasy". W dyskusji, prowadzonej przez Macieja Parowskiego, rolę oskarżyciela polskiej fantasy odgrywał Krzysztof Sokołowski, bronił jej Mirosław Kowalski, a głos zabierał... praktycznie każdy, kto znalazł się w pobliżu. W tej sytuacji, rzecz jasna, niemożliwe było wydanie jakiegokolwiek jednoznacznego wyroku, ale chyba żaden z dyskutantów nie uznał za stracone tych kilku godzin poświęconych refleksji nad rodzącym się dopiero w Polsce gatunkiem.

Z braku miejsca ograniczyć się trzeba tylko do wymienienia innych atrakcji „Folkconu": wystawy malarstwa Leszka Wawrzyka, pokazów slajdów, zwiedzania Muzeum Siarki i zamku w Baranowie Sandomierskim oraz zapory wodnej w Chańczy, spotkań i prelekcji w okolicznych ośrodkach. W trakcie konwentu czynna też był księgarnia, zaopatrzona w gry fantastyczne i wydawnictwa klubowe.

Szkoda doprawdy, że ograniczony czas imprezy zmuszał niekiedy uczestników do wybierania między filmem a prelekcją. Ze Staszowa wywieźliśmy jednak jak najlepsze wrażenia (w czym niemały udział miało malownicze położenie ośrodka, w lesie nad jeziorem). Mamy nadzieję, że tu jeszcze wrócimy. ■

Czego właściwie ludzie najbardziej zawsze zazdrościli bogom? Chyba przede wszystkim nieśmiertelności... Wielu wprawdzie może się pocieszać ufnością, że przynajmniej istotna część ich osobowości pozostaje nieśmiertelna (mam na myśli duszę w ujęciu chrześcijańskim) – ale w owej starożytnej „zazdrości wobec bogów" chodziło o coś innego. Chodziło o uczestnictwo w ziemskim życiu, o realny, wieczny byt na realnej Ziemi – i w dodatku w postaci doskonałej, wiecznie młodej i zdolnej do stawiania czoła temu wiecznemu życiu. Taka była właśnie nieśmiertelność bogów na greckim Olimpie i taka pozostała największym marzeniem człowieka.

SMUTNE NAMIASTKI NIEŚMIERTELNOŚCI

Z tamtej strony lustra

Maciej Iłowiecki

Wiemy, oczywiście, że jest to niemożliwe. Niektórzy – może dla samouspokojenia? – przypuszczają nawet, iż taki rodzaj nieśmiertelności okazałby się w końcu zgoła nie do zniesienia. Ale nikomu to nie grozi: śmierć wpisana jest w ludzką kondycję, bez niej nie bylibyśmy ludźmi.

Żadna to wprawdzie pociecha, ale i tak bunt wobec prawdziwej nieuchronności nie zdoła nic zmienić. W gruncie rzeczy chodzi też o coś innego – o powszechne chyba odczucie, iż żyjemy zbyt krótko, umieramy przedwcześnie. Fakt ten dociera zwykle do naszej świadomości dopiero w pewnym wieku, prędzej czy później dociera jednak zawsze.

Tak już jest w przyrodzie, iż poczucie nieuniknionego kresu przypisano tylko jednemu gatunkowi na Ziemi – właśnie ludziom. Być może, ta okrutna samowiedza gatunku Homo sapiens jest rodzajem opłaty za posiadanie świadomości? Zwierzęta oczywiście mają bardzo silny instynkt ochrony życia – instynkt zresztą uważany za najsilniejszy. Zatem s t r a c h jest odczuciem, które zwierzęta doskonale znają (kto wie, czy nie znają go – choć w zupełnie inny, niewiadomy nam sposób – także rośliny). Wszyscy jednak wiemy, że czym innym jest strach przed konkretnym zagrożeniem, przed drapieżcą, który chce pożreć, czym innym zaś lęk przed kresem, który czeka nas i tak, niezależnie od tego, ilu drapieżcom zdołalibyśmy ujść, ilu niebezpieczeństw uniknąć bez szkody.

Filozof znajdzie pociechę w stwierdzeniu, iż wszystko, co istnieje, jest przejściowe i nie trwa wiecznie, być może nawet nie jest wieczny cały Wszechświat. My zajmijmy się teraz sprawami, którymi zająć się można nie opuszczając gruntu nauki.

Jest oczywiste i najpewniejsze z rzeczy tego świata, że każda żywa istota musi umrzeć, ponieważ narodziny i śmierć związane są nierozdzielnie z indywidualnym bytem biologicznym, że życie osobnicze musi mieć swój kres. Jednak nie bez przyczyny, mówiąc czy pisząc o tym, trzeba dodawać do słowa „życie" przymiotnik „osobnicze", do pojęcia „byt biologiczny" – przymiotnik „indywidualny" lub „jednostkowy". Życie w ogóle, jako zjawisko, występujące w świecie rzeczy martwych, jest bez porównania trwalsze, niż poszczególne żywe istoty – jest w jakimś sensie nieśmiertelne. W tym sensie, że – przynajmniej w postaci nam znanej, na Ziemi – trwa już miliardy lat i może trwać aż do końca Układu Słonecznego, czy raczej do wygaśnięcia Słońca (chyba, że przeniesie się potem dalej, w Kosmos). Istnieją zresztą poglądy – myślą tak niektórzy spośród znawców przyrody – iż życie jest wieczne w tym sensie, jak wieczny jest Wszechświat, trwa razem z nim. Inni uważają, że życie w czasowej skali Wszechświata jest zjawiskiem przejściowym i nietrwałym, rodzajem „efektu ubocznego" pewnych warunków, przypadkowo zaistniałych w danym miejscu i czasie. Zresztą poglądy na tę sprawę mogą być także inne – ale zostawmy je na boku, ponieważ zastanawiamy się nad długością życia jednostek, nie zaś nad długością trwania życia, jako zjawiska przyrodniczego.

Jakkolwiek zatem długo może trwać życie (do końca znanego nam Wszechświata?), trwanie struktur materialnych, będących jego nosicielami, jest zawsze skończone i raczej krótkie (potem zobaczymy, że i to stwierdzenie nie jest zupełnie ścisłe – bo przecież geny są także strukturą materialną, będącą nosicielem życia – a przecież ta struktura odtwarza się nieustannie, zatem trwa...). W każdym razie jednostka jest śmiertelna, ale samo życie trwa, zaś gatunki istnieją nieporównanie dłużej niż pojedyncze istoty, które razem tworzą gatunek. Można powiedzieć, że gatunek jest jakby „mniej śmiertelny" niż pojedynczy osobnik tego gatunku, a samo życie „bardziej nieśmiertelne" niż gatunek. Przy okazji trzeba zwrócić uwagę, że nie należy mylić nieśmiertelności z niezniszczalnością; nieśmiertelnych bogów z greckiego Olimpu nie można było zabić, zniszczyć – ale życie na Ziemi, choć wedle naszych proporcji nieśmiertelne, jest jednak zniszczalne. Może je całkowicie zniszczyć w tym zakątku Kosmosu jakaś wielka, niespodziewana katastrofa kosmiczna albo po prostu użycie broni jądrowych w III i ostatniej wojnie światowej.

Wracamy do sprawy jednostkowego trwania życia. Jest rzeczą ciekawą, że skończone trwanie pojedynczych żywych istot nie wynika wyłącznie z nietrwałości samej ich struktury (ze swej natury dynamiczny, zmieniający się układ, jakim jest organizm, nie może trwać zbyt długo); nietrwałość, śmiertelność jest również p o t r z e b n a ewolucji, jest korzystna dla gatunku! Dlaczego? Dlatego – upraszczając – że dzięki nietrwałości jednostek miejsce gorzej przystosowanych mogą zająć lepiej przystosowani, eliminacja jednych zapewnia byt drugim. Ewolucyjne zmiany rozwojowe mogą wystąpić dlatego właśnie, że kolejne pokolenia zastępują poprzedników. Gdyby jednostki trwały wyjątkowo długo, mechanizmy ewolucji nie mogłyby działać, życie – jak to się określa – nie mogłoby „piąć się" po drabinie rozwojowej... Cały problem sprowadza się więc do tego, czy jednak, mimo wszystko, poszczególne jednostki mogłyby żyć dłużej, niż żyją. Czy owa nieuchronność jednostkowej śmierci określona jest ściśle w czasie i jeśli tak, co ją określa? Dotarliśmy do zasadniczych pytań współczesnej biologii – a kto wie, czy nie do pytań najciekawszych i najważniejszych właśnie dla ludzi.

Napisałem wyżej, iż sytuacja ludzi jest wyjątkowa, ponieważ tylko oni wiedzą, że muszą umrzeć. Ale też spośród swych biologicznych krewniaków – ssaków – ludzie jednak żyją najdłużej. Przyjrzyjmy się trochę tym sprawom.

W przyrodzie, w warunkach naturalnych nie zdarza się prawie nigdy (czyli zdarza się bardzo rzadko), by jakieś zwierzę „dożyło swoich dni", to znaczy umarło „ze starości". Przeciętna długość życia zwierząt na swobodzie jest o wiele krótsza, niż ich potencjalna, możliwa długość życia. Górna granica życia (biologowie określają ją czasem skrótem GGŻ) – to znaczy czas, jaki może przeżyć zwierzę, chronione przed głodem i wszelkimi naturalnymi przeciwnikami – otóż GGZ jest bardzo różna u różnych gatunków. Rozpiętość czasowa nawet pomiędzy gatunkami jednej gromady (np. ssaków) jest doprawdy niesłychana, nie mówiąc już o gatunkach odległych od siebie w sensie ewolucyjnym.

Na przykład krążąca nad wodą jętka żyje (w postaci dojrzałej), zaledwie kilka godzin, ale nieruchomy żółw słoniowy dożywa dwustu lat. I właśnie żółw słoniowy jest na Ziemi najdłużej żyjącym zwierzęciem – nikt nie wie, dlaczego.

Pszczoła robotnica, furkocząca nad wiosenną łąką, może przeżyć tylko 5 tygodni. Mysz domowa – w najlepszych warunkach – 3 lata. Psy i koty dożywają najwyżej do 25 lat i stanowi to często powód naszego smutku. Nikt też nie wie, dlaczego na przykład gwiżdżący pięknie kos dożywa najwyżej 5 lat, zaś jaskółka – dwa razy tyle. Ale mewa czy kukułka mogą przeżyć i 40 lat, a papuga kakadu żyje spośród ptaków najdłużej – do 115 lat! Dlaczego słoń może dożyć 60 lat, zaś największe na Ziemi zwierzę – płetwal błękitny (ważący tyle, co 65 słoni!) dociąga z trudem do 45 lat? Dlaczego stuletni krokodyl bywa jeszcze żwawy i wcale nie okazuje oznak starości, zaś poczciwy koń przed czterdziestką staje się już niesprawnym staruszkiem?

Wśród ssaków – wspomniałem – najdłużej żyje właśnie człowiek. Przyjmuje się, że

górna granica życia (GGŻ) człowieka wynosi około 100 lat. W tym miejscu trzeba wyjaśnić, że stwierdzane przez demografów stałe „wydłużanie życia" dotyczy jego średniej długości i rzeczywiście w ciągu ostatnich 100 tysięcy lat średnia długość życia wzrosła prawie trzykrotnie. GGŻ gatunku Homo sapiens nie bardzo bowiem zmieniła się od właśnie około 100 tysięcy lat, tyle że dawniej do tej górnej granicy „nie zdążył" dożyć prawie nikt (wykończony przez choroby, niedostatek, brak opieki), dziś zresztą dożywają też zaledwie jednostki. Podobno najstarszym człowiekiem na Ziemi – mającym dobrze udokumentowany wiek – był w 1980 r. Japończyk Shigechigo Izumi, mający wtedy 115 lat (brak wieści, czy jeszcze żyje). Słynne doniesienia o mieszkańcach Kaukazu, mających podobno i półtora wieku, nie są ściśle udokumentowane, choć jest pewne, że w górach Kaukazu (a także w pewnych okolicach w Andach) ludzie żyją najdłużej i nie bardzo wiadomo, dlaczego właśnie tam można znaleźć najwięcej ponad stuletnich starców. Istnieje sporo teorii na temat starzenia, ale o nich napiszę kiedy indziej – dziś zajmujemy się długością życia i... nieśmiertelnością.

Zatem GGŻ człowieka wynosi około 100 lat, choć zdarza się, iż ludzie dożywają i do 120 lat.

Najdłużej ze ssaków – po człowieku – żyje słoń (60 lat), ale najbliżej z człowiekiem spokrewniony szympans w dobrych warunkach dożywa najwyżej 50 lat. Porównanie człowieka z szympansem prowadzi do wniosku, że są to organizmy pod względem biologicznym bardzo podobne (jak napisał kiedyś znakomity polski biolog, prof. Henryk Szarski – człowiek i szympans *„są zbudowane w zasadzie tak samo i z tego samego materiału")*. Dlaczego zatem szympans żyje dwukrotnie krócej? Albo – sprawę ujmując inaczej – starzeje się dwukrotnie szybciej?

Istnieje sporo hipotez na temat różnic w długości życia pomiędzy pokrewnymi gatunkami. Niewątpliwie istnieje na przykład związek między długością życia a długością okresu, w którym organizm dojrzewa i rośnie. Szympansy dojrzewają (stają się zdolne do rozrodu) dużo wcześniej, niż ludzie. Zaś długowieczne żółwie słoniowe i krokodyle rosną prawie do końca swego długiego życia. Więc ludzie swe wyróżnione wśród ssaków 70–100 lat życia zawdzięczaliby długości swego dzieciństwa?

Dowiedziono też, że u ssaków istnieje wprost proporcjonalna zależność pomiędzy GGŻ, długością trwania ciąży i... rozmiarami mózgu. To znaczy, im dłuższa ciąża, tym wyższa górna granica życia i większy (bardziej rozwinięty) mózg. Zależność tę można wyjaśnić: długa ciąża potrzebna jest po to przede wszystkim, by zdążył się ukształtować duży mózg (bo rozwój mózgu u zarodka trwa najdłużej). Ale u noworodka ssaka nawet po urodzeniu rozwój mózgu nie jest zakończony, dlatego ssaki wymagają opieki rodziców, mają właśnie „wydłużone dzieciństwo". Matka, która opiekuje się dziećmi, nie jest zdolna do rozrodu (tak jest u ssaków), żeby zatem móc wydać na świat kilka pokoleń – musi żyć dłużej! Można więc także powiedzieć, iż swą długość życia zawdzięcza człowiek wielkości i skomplikowaniu swego mózgu. Żyjemy – jako ssaki o określonej, „ssaczej" fizjologii – najdłużej ze wszystkich ssaków, ponieważ mamy ludzki mózg. Ponieważ go jednak mamy, musimy jako jedyni na Ziemi uświadamiać sobie swój własny kres i rzuca to jakiś cień na ludzkie życie. Dziwne to swoją drogą zależności!

Oczywiście, nadal nie wiemy (czy też wiemy niewiele), dlaczego u niessaków grają rolę inne zależności, dlaczego niektóre zwierzęta mają „gruczoły śmierci" (np. ośmiornica, u której po wydaniu na świat potomstwa zaczyna się wydzielać „hormon śmierci", zabijający zwierzę!), dlaczego niektóre gady i ptaki mogą żyć tak długo. Jaki zegar naprawdę to wszystko reguluje?

Rozpiętości górnej granicy życia w świecie roślin są jeszcze o wiele większe. Ogromna liczba roślin żyje jeden sezon – od wiosny do jesieni. Ale są drzewa, żyjące kilka tysięcy lat... Przypuszcza się dziś, że najstarszą, żyjącą na Ziemi żywą istotą jest pewien cyprysnik meksykański, drzewo rosnące we wsi Santa Maria del Tule, blisko miasta Oaxaca de Juarez w Meksyku Środkowym. Obwód pnia 45 metrów, wiek drzewa – 6 tysięcy lat! Drzewo to kiełkowało z ziemi półtora tysiąca lat przed powstaniem wielkiej piramidy egipskiej w Gizeh, w czasach, kiedy rolnicy egipscy nie utworzyli jeszcze swego pierwszego na świecie państwa (czasy predynastyczne). W tym czasie w Meksyku nie było zapewne jeszcze w ogóle ludzi, dotarli tam później z północy. Młodsza o tysiąc lat od cyprysnika z Meksyku jest pewna sekwoja (Sequoia gigantea) w Kalifornii (wysokość 147 metrów, obwód pnia – 35 m), mająca około 5 tysięcy lat. Najstarszym drzewem w Polsce jest słynny Bartek, dąb we wsi Bartkowie, w dolinie Bobrzy w Górach Świętokrzyskich – na pewno żyje już 1000 lat (niektórzy uważają, że 1200), był sporym drzewem za czasów Bolesława Chrobrego.

Cóż znaczy nasze ludzkie 100 lat (których i tak mało kto dożywa) wobec kilku tysięcy lat niektórych drzew?

Przyroda okpiła nas zresztą jeszcze okrutniej. Otóż żyją na Ziemi istoty biologiczne, które w pewnym sensie osiągnęły nieśmiertelność! Są to wśród roślin bakterie, wśród zwierząt pierwotniaki, jednym słowem istoty jednokomórkowe. Stworzenia te mogą oczywiście ginąć z wielu przyczyn i giną miliardami, ale nigdy nie starzeją się, nigdy taki twór nie „umrze ze starości", nie zdąży tego uczynić, ponieważ przedtem podzieli się na dwa potomne – i tak kolejno, przez miliardy pokoleń aż do dziś. Czyż podział, powstanie dwóch istot z jednej, można uznać za śmierć?

Słynny niemiecki popularyzator biologii Vitus B. Dröscher napisał w swej książce „Reguła przetrwania" (PIW 1982) charakterystyczne zdanie: *„Z żalem wypada nam stwierdzić, że przyroda tę tak godną pozazdroszczenia właściwość, jaką jest nieśmiertelność roztrwoniła na najprymitywniejszych przedstawicieli świata zwierząt: na mikroskopijne jednokomórkowe istoty, takie jak – na przykład – ameby, pantofelki czy wiciowce".*

Zwróciłem już wcześniej uwagę, że taki rodzaj „nieśmiertelnego ciągu" przedstawiają w każdym gatunku jego geny, przechodzące z osobników rodzicielskich na potomne. Nieśmiertelne, bo tylko dzielące się. Zatem i w ludziach, w każdym z nas, tkwi jakaś cząstka nieśmiertelności – są to zestawy genów w komórkach rozrodczych. Będą one trwać w nieskończenie dzielącym się ciągu – tyle czasu, ile czasu będzie istniała ludzkość. Czyż można się dziwić, że pojawiła się i taka hipoteza (odrzucona wprawdzie przez większość biologów), iż nasze ciała są tylko „futerałami", automatami stworzonymi dla bezpiecznego przeżywania genów i przenoszenia ich w czasie, umożliwienia im stałego trwania – właśnie swoistej nieśmiertelności?

Ale, nawet jeśli to prawda, cóż nam z takiej nieśmiertelności?

Możemy jeszcze pomyśleć o innym jej rodzaju – o trwaniu w stanie przejściowym między życiem a śmiercią, w stanie zamrożenia. Wówczas – gdyby ziściły się nadzieje, że dziś zamrożone ciało kiedyś uda się przywrócić do życia, możliwe byłyby skoki w czasie, podróże w przyszłość. Na razie jest to niemożliwe wobec rozwiniętych organizmów (nie umie się ich tak zamrozić, by nie zniszczyć ich struktury, niemożliwej potem do odtworzenia) – ale już jest możliwe wobec ludzkich zarodków. Zamrożony ludzki embrion można – jak wiemy – przechowywać bardzo długi czas (może tysiące lat, nikt jeszcze nie sprawdził, jak długo) i potem przywrócić go życiu i wszczepić kobiecie, która go urodzi. Powstały dziś embrion może się więc urodzić za setki lat. To niezwykłe – ale czy o takie przedłużenie egzystencji nam chodziło?


Marek Zalejski

John Carpenter ma niespełna czterdzieści lat, jest młodszy mniej więcej o cztery lata od George'a Lucasa i mniej więcej o rok od Stevena Spielberga. Oczywiście – przynależność pokoleniowa nie jest żadnym powodem do chwały, powiedzmy więc od razu, że debiutował z nieco mniejszym niż obaj jego poprzednicy rozgłosem. „THX 1138" Lucasa (1970), mimo ewidentnego braku powodzenia, próbował przynajmniej przekazać jakieś prawdy o strukturze totalitarnego społeczeństwa. Steven Spielberg, mimo trudności z dostaniem się na studia, na wydział filmowy Uniwersytetu Południowej Kalifornii (który wykształcił nie tylko jego, lecz także samego Carpentera, Lucasa i twórcę „Conana-barbarzyńcy" Johna Miliusa), szybko znalazł pracę w telewizji przy produkcji serialu „Night Gallery", a jego film „Pojedynek na szosie" („Duel") – debiut telewizyjny (13 listopada 1971) i kinowy (1973, wersja rozszerzona z 74 do 90 minut) – przyniósł mu ogromne uznanie zarówno krytyków festiwalowych, jak i co niezbyt częste, publiczności.

Cień wielkiej dwójki

Krzysztof Sokołowski



W odróżnieniu od swych sławnych kolegów Carpenter nie próbował zmierzyć się od razu (i ambitnie) z trudnym w końcu tematem „piekła na Ziemi" i nie reformował gatunku zastępując potwory cysterną o morderczych skłonnościach. Wybrał klasyczną, czystą fantastykę naukową i w tej poetyce do dziś czuje się najlepiej, choć nie ona przynosi mu największą sławę.

„Dark Star" (1974) nie cieszyła się i nie cieszy uznaniem fanów – jak na ich poważne gusty za wiele w niej celnej i złośliwej parodii. Oto kosmiczny statek dowodzony przez niekomunikatywnego kapitana, z załogą złożoną z szaleńców. Na jego pokładzie uwalnia się ujęty przez załogę „obcy" do złudzenia przypominający wielką plażową piłkę, a inteligentna bomba tak bardzo pragnie „zadziałać", że fenomenologiczne argumenty skutkują tylko chwilowo. W końcu wybucha ona w apokaliptycznym finale wypowiadając słowa „niech się stanie światłość", a członków załogi spotyka znaczący koniec: wielbiciel surfingu „wślizguje się" w atmosferę i płonie w niej; zapatrzony w gwiazdy mistyk kończy wśród strumienia asteroidów itp. Nie cała „Dark Star" jest jednak parodią i warto zapamiętać ten film nie tylko dlatego, że pozostaje do dziś najtańszą profesjonalną produkcją SF (koszt 60 tys. dolarów), lecz także ze względu na widoczną w nim charakterystyczną dla Carpentera umiejętność rozciągania sztywnych dla innych reżyserów ram konwencji.

Carpenter zapłacił wysokie frycowe za niedostatecznie komercyjny debiut – przez trzy lata był pozbawiony możliwości realizacji filmów, zarabiając na życie pisaniem scenariuszy. Później zwrócił się w stronę innego gatunku filmu fantastycznego, realizując kilka bardzo udanych horrorów, z których jeden, „Halloween" do dziś dzierży rekord największego proporcjonalnie do nakładów zysków: koszt 320 tys. dolarów, zysk stukrotny (!). „Assault on Percint 13" (umieszczony w realiach współczesnego miasta remake „Rio Bravo" Hawksa, 1976), „Halloween" (1978) i „The Fog" (1979) wprowadziły Carpentera do czołówki współczesnych młodych amerykańskich reżyserów. Dopiero w 1981 roku wrócił on do swej ulubionej konwencji, do SF i... zapłacił za to wysoką cenę niezrozumienia.

„Ucieczkę z Nowego Jorku" znamy z ekranów polskich. Była ona dla nas swego rodzaju zaskoczeniem jako film w jakiś sposób niepełny i – niepokojący. Stosunkowo łatwo było dostrzec jej wady. To prawda, brak w niej narracyjnej ciągłości i konsekwencji i dlatego film rozpada się na kilka osobnych epizodów. Brak także kulminacji napięcia, przez co uwaga widza z czasem się rozprasza. Wady te wyrównywało jednak z powodzeniem coś szczególnego i trudnego do nazwania. Nie nastrój, nie egzotyka ostatniego w Ameryce siedliska wolnej konkurencji – raczej umiejętność wykorzystania tego, co jest żywiołem kina: ruchu.

„Ucieczka z Nowego Jorku" była filmem nie tyle reżyserowanym, co choreografowanym. Kurt Russel (Snake – Wąż – Plissken), przemierzając ulice zamienionego na więzienie Manhattanu nie szedł, nie biegł i nie walczył, lecz raczej tańczył skomplikowany taniec, któremu podporządkowany był zarówno montaż, jak i muzyka samego Carpentera, doskonałego filmowego kompozytora. Mimo woli przypominały się sceny z „The Fog", kiedy to w miasteczku na wybrzeżu Kalifornii zwykłe przedmioty rozpoczynają złowróżbny, niesamowity pląs.

Los nakręconej w 1982 r. „The Thing" (czyli obecnej na listach wszystkich wypożyczalni kaset – pod niezbyt szczęśliwie przetłumaczonym tytułem – „Rzeczy") był znacznie bardziej gorzki. Film nie był ani klęską, ani tryumfem. Tyle że odzyskano włożone w produkcję (głównie w efekty specjalne) 15 mln dolarów. Niesprawiedliwości stało się zadość, przecież obraz ten powinien być raczej kamieniem milowym na drodze rozwoju współczesnej filmowej fantastyki naukowej. Remake „The Thing from Another World" (1951) Hawksa zdumieć mógł bogactwem zarówno myślowym, jak i wizualnym. Opowieść o makabrze, jaką przeżywa grupa odciętych od świata arktycznych badaczy, wśród których zrealizował się koszmar dzieciństwa (osoba bliska i znana staje się potworem), obraz walki jaką toczą między sobą oszaleli z przerażenia mężczyźni, kończący się nieoczekiwaną sceną braterstwa i solidarności w obliczu nieuniknionej śmierci wśród szalejącego na śniegu ognia – zadziwiał swą pełnią. Akcja rozwija się wręcz wzorowo, kolejne manifestacje żywotności tajemniczego potwora fascynują (znakomite, niemal zbyt dobre efekty specjalne Roba Bottina) – wszystko składa się na film wybitny. „Carpenterowski pazur" ujawnia się już na początku filmu wspaniałą, dynamiczną sceną ucieczki samotnego husky przed ostrzeliwującym go helikopterem, długimi ujęciami psa łażącego za ludźmi po pokojach stacji, aż wreszcie wstrząsającą sceną w psiarni. Być może to perfekcja techniczna filmu zaciemniła nieco jego przesłanie?

Po „The Thing" Carpenter zwrócił się ku współczesnej Ameryce, w przeciągu roku (!) od wydania powieści realizując horror według powieści Stephena Kinga „Christine" (1983). I Ameryce pozostał wierny w swym najnowszym filmie – „Starman".

„Człowieka z gwiazd" każdy ocenić powinien sam. Nikomu nie ofiarowuję jego interpretacji, chcę tylko zwrócić uwagę na mistrzostwo, jakim reżyser ten po raz kolejny nagina konwencję do swych wymagań. „Starman" całkowicie mieści się w ramach klasycznej SF – jest w nim (autentyczny!) lot kosmiczny jako początek akcji, jest wizyta obcego, który wciela się w człowieka, jest dobry naukowiec, szalony polityk i źli lub po prostu bezmyślni policjanci. A jednak znalazło się tu miejsce i na coś więcej: na podróż przez Stany samochodem i pociągiem (jakież to amerykańskie), na ciepłą i za sprawą dwójki doskonałych i doskonale prowadzonych aktorów (Jeff Bridges i Karen Allen) bardzo prawdziwą love story z dyskretnym ukłonem w stronę inner space, na sięgnięcie po czystą, nienachalną symbolikę (ożywienie sarny, oczyszczenie przez ogień). I w tym filmie dominuje ruch: Starman do końca próbuje przyzwyczaić się do niewygodnego, ziemskiego ciała, film synkopują świetnie zdynamizowane sekwencje: jazda–ucieczka–jazda. To mógł stworzyć tylko Carpenter. I chociaż nie jest on inżynierem wzruszeń, jak Spielberg ani animatorem gigantów, jak Lucas – jak żaden z nich (herezja?) potrafi zrobić film o czystej konstrukcji, wyrażnym, choć nieodkrywczym przesłaniu, film pełen magii, którą ciągle potrafią docenić ci, którzy lubią nie tylko „fantastykę", nie tylko „podszczypywanie duszy", lecz po prostu – kino.

Siudmak III

